


TRYLOGIA NIEPOSKROMIENI

MIŁOŚĆ
WYRZUTKÓW

MEGHAN

BESTSELLEROWA AUTORKA „NEW YORK TIMESA”

MARCH

 editored

Meghan March

Miłość wyrzutków.

Trylogia Nieposkromionych #3

Przekład: Olgierd Maj

Tytuł oryginału: Rogue Royalty (Savage Trilogy #3)

Tłumaczenie: Olgierd Maj

Projekt okładki: Justyna Sieprawska

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock Images LLC.

ISBN: 978-83-283-9051-5-999

Copyright © 2018 Rogue Royalty by Meghan March LLC

Polish edition copyright © 2023 by Helion S.A.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

https://editio.pl/user/opinie/miltn3_ebook

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

[Poleć książkę](#)

[Kup w wersji papierowej](#)

[Oceń książkę](#)

[Księgarnia internetowa](#)

[Lubię to!](#) » [nasza społeczność](#)



Rozdział 1

Temperance

Siadam na krześle. Ptaki ćwierkają na drzewie nade mną, jednak ja nic nie czuję.

Nic.

Powinłam coś czuć. Żałoba ma pięć stadiów — czytałam o nich w dokumentach, które dostałam od domu pogrzebowego.

Wyparcie, gniew, targowanie się, depresja i akceptacja.

Gdzie na tej liście jest „brak jakichkolwiek uczuć”?

Dlaczego nie potrafisz czuć gniewu? Wściekłość byłaby o wiele łatwiejsza do zniesienia od tej... pustki.

Jestem rozbita.

Herbata w filiżance, którą Harriet wcisnęła mi w dłoń, już dawno przestała parować, a ja nie wypiałam nawet łyżeczki.

Moja gospodyni nadchodzi od strony domu, powiewając na wietrze połami jedwabnego szlafrocza i trzymając w dłoni kopertę.

— Temperance, kochanie, był tu jakiś mężczyzna do ciebie.

Wszystkie mięśnie mojego ciała napinają się.

— Jaki mężczyzna? — szepczę.

— Już zapomniałam, jak się nazywał. Coś, co kończyło się na -stein i brzmiało wyjątkowo snobistycznie.

Po kolei zmuszam każdą komórkę ciała do rozluźnienia się. *Oddychaj, Temperance. Wdech. Wydech. Wdech. Wydech.*

To była moja mantra przez cały ten piekielny miesiąc od czasu pogrzebu brata i nieraz miałam wrażenie, jakby czyjaś żelazna pięść ścisnęła mi płuca, próbując mnie udusić.

I chciałam tego. Czasami nadal tego pragnę.

Nigdy nie sądziłam, że sam oddech może być tak bolesny. Jednak gdy zostało się rozdartym i wypatroszonym, sama egzystencja powoduje ból.

— Wydaje mi się, że znudziło mu się dobijanie do twojego mieszkania. Powiedział, że od paru dni próbował się z tobą skontaktować.

Gdy jestem w mieszkaniu, ignoruję brzęczenie domofonu. Chyba czasami ktoś mnie odwiedza, sądząc z tego, że w lodówce pojawiło się jedzenie, ale wszystko zakrywa mgła i nie jestem w stanie powiedzieć, kto przychodził i kiedy. Tak jest lepiej. Nie chcę się z nikim widzieć. Nie miałam nawet ochoty wyjść na patio, żeby napić się herbaty z Harriet, ale postraszyła, że mnie eksmituje, jeśli przynajmniej raz w tym miesiącu nie wyjdę na słońce.

Harriet kładzie szarą kopertę na stole.

— Nie chciał mi jej zostawić, ale powiedziałam, że może albo mi ją dać, albo wsadzić sobie w tyłek, bo nie zamierzasz otwierać drzwi, nawet gdyby dobijało się do nich czterech jeźdźców Apokalipsy. Ustąpił, kiedy obiecałam, że nie pozwiesz go za to, że pozwolił mi sfałszować twój podpis.

Zmuszam się do wydania chropawego dźwięku mającego być śmiechem, bo taka chyba powinna być normalna ludzka reakcja na to, co powiedziała Harriet. *Normalna.* Już nigdy taka nie będę.

Spoglądam na kopertę, na której moje nazwisko wypisane jest powyżej adresu dużymi, drukowanymi literami. Nie jestem gotowa, żeby spojrzeć w zatroskane oczy Harriet, więc zerkam

na lewy górny róg koperty.

W miejscu nadawcy widnieją trzy wymyślnie brzmiące nazwiska, których nie rozpoznaję.

— Nigdy nie słyszałam o tych ludziach.

— Powiedział, że pracuje w kancelarii prawnej. — W polu widzenia pojawia się palec Harriet wskazujący na kopertę. — Dla tej kancelarii.

Prawnicy.

Świetnie.

Odwracam wzrok od koperty i z powrotem zaczynam wpatrywać się w lampion zwisający z gałęzi drzewa, pozwalając, żeby szum dobiegający z ulicy wypełnił ciszę.

Podoba mi się ten dźwięk. Cisza jest moim wrogiem. Cisza oznacza, że mogę słyszeć własne myśli, a jeszcze nie jestem w stanie się z tym zmierzyć.

Jeszcze nie jestem w stanie zmierzyć się z czymkolwiek.

— Otworzysz list? — pyta Harriet ze zniecierpliwieniem.

— Nie.

— Cholera, dziewczyno, nie możesz bez końca ignorować istnienia całego świata.

Kiwam głową, udając, że się z nią zgadzam, jednak tak naprawdę mam zamiar ignorować świat tak długo, jak to tylko możliwe, najlepiej już na zawsze.

Ziemia nie przestała się kręcić, mimo że mój wszechświat zatrzymał się z nagłym hukiem. I będzie się kręcić dalej, nawet gdy ja utonę w smutku.

— Skoro ty tego nie zrobisz, to ja tak. — Harriet chwyta leżącą na żelaznym stoliku kopertę i otwiera. — W końcu nie jest to moje pierwsze przestępstwo federalne w tym tygodniu — stwierdza, wyciągając ze środka dokumenty.

Mamrocze coś do siebie przez kilka minut, jednak celowo jej nie słucham. Nie obchodzi mnie, co tam jest napisane. Nic mnie nie obchodzi. Tak jest łatwiej.

Nagle dobiega mnie coś, czego nie mogę zignorować.

—...posiadłość i cała jej zawartość stanowią obecnie wyłączną własność Temperance Ransom.

Odrywam wzrok od lampionu i wpatruję się w dokument w dłoni Harriet.

— Co?

Wyciąga do mnie kartkę, której przyglądam się uważnie. W pierwszej chwili słowa na niej zlewają się w jedno. Przecieram oczy, żeby wyostrzyć wzrok, i palce mi wilgotnieją.

Przecież nie płaczę.

Naprawdę udoskonaliłam sztukę samooszukiwania się. To chyba pasuje, biorąc pod uwagę, że od miesiący tonęłam w kłamstwach, chociaż o tym nie wiedziałam.

Mrugam i wreszcie skupiam się na słowach wypisanych na papierze.

Jakiś głos we mnie krzyczy „nie!”, ale tłumię go. List potwierdza jeszcze jeden fakt, w który do tej pory nie chciałam uwierzyć... bo jestem głupia.

Kane już nigdy nie wróci.

To, co jeszcze tliło się we mnie, ostatnie iskielki nadziei, że może myliłam się w kwestii wszystkiego, gasną. Mnę kartkę papieru w dłoni, kiwając się na krześle i czując, jak łzy płyną mi ciurkiem po twarzy.

Rozdział 2

Temperance

Godzinami wpatruję się w leżący na stoliku kawowym list — który wygładziłam, ale i tak wygląda, jak psu z gardła — aż oczy zaczynają mi łzawić.

Kane zostawił mi swój dom.

Jak śmiała?

Po raz pierwszy odkąd naprawdę pozwoliłam, żeby dotarło do mnie, że mój brat, Rafe, nie żyje, czuję coś innego niż wielka, ziejąca *pustka*.

Gniew.

Jest we mnie, tli się w mojej duszy, z każdą chwilą jego temperatura rośnie.

Jak on śmiał?!

Zrywam się z kanapy i zaczynam nerwowo chodzić po maleńkim salonie połączonym z kuchnią. Na ogół tego nie robię — to Keira ma taki zwyczaj. Teraz jednak czuję, jak nagromadzony gniew wlewa żar w moje żyły. Jestem niczym ćpunka po świeżym strzale, nie mogę ustać w miejscu.

Kane dał mi całą posiadłość, dom, warsztat i wszystkie samochody — tak jakby to w jakiś sposób, w jakimkolwiek świecie, mogło wynagrodzić mi fakt, że *zabił mojego cholernego brata*.

Czuję, jak narasta we mnie zwierzęce wycie, a łzy po raz kolejny zaczynają płynąć mi z oczu.

— Jak mogłeś to zrobić? *Nienawidzę cię!*

Rozpacz rzuca mnie na kolana i zaczynam walić pięściami w podłogę, nie przejmując się tym, co musi sobie myśleć mieszkająca podę mną Harriet.

Walę w porysowane deski, aż dłonie pokrywają mi się siniakami. Opieram się czołem o podłogę i szlocham.

— Jak mogłeś to zrobić? — Te słowa są ledwie szeptem, bo znowu czuję, że nic mi już nie zostało.

On mi wszystko odebrał.

Ta kupa cegieł wypełniona kawałkami metalu teraz nic nie znaczy.

Nic.

Ktoś puka do drzwi.

— Temperance, tu Harriet...

— Nic mi nie jest — odpowiadam łamiącym się głosem.

— Masz gości.

— Nie! — wykrzykuję gwałtownie. Nie chcę nikogo widzieć. Nie mogę nikogo widzieć.

— To twoja szefowa, kochanie.

Świetnie. Właśnie chcę, żeby ta osoba widziała mnie w takim stanie.

Leżę na podłodze jak żalosna kupka nieszczęścia. Drzwi otwierają się, zanim znajduję w sobie dość energii, żeby się podnieść.

— Temperance? Och, skarbie, tak mi przykro.

Słyszę stukanie obcasów Keiry. Klęka obok i obejmuje mnie ramieniem.

Nie widziałam jej od dnia pogrzebu brata — chociaż wydaje mi się, że była tutaj w czasie, kiedy spałam po dwadzieścia godzin na dobę. Powiedziała mi, że mam tyle czasu, ile potrzebuję, i że w destylarni poradzą sobie beze mnie.

Złapałam ją za słowo, zapominając zupełnie o obowiązkach, z których wypełniania byłam

kiedyś taka dumna, i w zamian pogrążając się w piekle.

— Co mogę zrobić? — szepcze i nienawidzę tego, że słyszę w jej głosie litość. Ale dlaczego miałaby się nade mną nie litować? Jestem tą idiotką, która zakochała się w facecie, który następnie zabił jej własnego brata.

Jestem jakimś żalonym żartem. Katastrofą. Chodzącym nieszczęściem.

Przełykam ślinę i próbuję wymyślić, co powiedzieć. Cokolwiek.

— Dał mi dom. — Siadam i patrzę prosto przed siebie, unikając jej spojrzenia.

— Co? — pyta.

— Dał mi jebany dom! — Sięgam po pomięte kartki papieru na podłodze przed sobą. — Jak mógł mi to zrobić? Okłamał mnie, a ja mu uwierzyłam. Jak mogłam być tak cholernie głupia? Jak?

Nie powinnam mieć już w sobie łez, jednak płyną coraz szybciej i szybciej. Zwijam obolałe dłonie w pięści i próbuję otrzeć twarz.

Keira obejmuje mnie i mocno ściska.

— Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro — powtarza w kółko, kiwając się ze mną, podczas gdy ryczę jak ktoś, komu wyrwano serce. Tak właśnie się czuję.

Na dodatek to moja wina.

Równie dobrze sama mogłam pociągnąć za spust. Rafe zmarł przeze mnie. Przyszedł tam ze względu na mnie. Kane mnie okłamał. Wykorzystał mnie. *Zdradził.*

Te rany wciąż są zbyt świeże.

— Jak on mógł to zrobić?

— Nie wiem, skarbie. Naprawdę nie wiem.

Odwracam głowę tak gwałtownie, że omal nie uderzam Keiry.

— Ale MOUNT wiedział, prawda?

— Temp...

Przerywam jej, nim zdąży dokończyć, cokolwiek chciała powiedzieć.

— Nie przychodź tu i nie opowiadaj banialuk. *Musiał wiedzieć. On wie wszystko.*

Keira przełyka ślinę, twarz wykrzywia jej się w grymasie żalu.

— Nic mi nie powiedział. Przysięgam na własne życie. Możliwe, że Lachlan wiedział, ale nigdy by mi o tym nie powiedział. Nawet nie wiem, kto dał ci dom i jaki dom?

Wpatruję się w nią z niedowierzaniem. *Nie wie, kim jest Kane? Jak to w ogóle możliwe?*

MOUNT. MOUNT stoi za tym wszystkim.

Winą za ból, który teraz odczuwam, mogę obarczyć go dlatego, że wysłał do mnie Kane'a. Ale nie mogę za to nienawidzić Keiry. Ona nie zrobiła nic złego... jedynie poślubiła diabła.

— MOUNT musiał wiedzieć o wszystkim.

Keira przymyka na chwilę oczy.

— Prawdopodobnie masz rację. Prawdopodobnie wiedział. Naprawdę niewiele jest rzeczy, o których nie wie. Niemniej jednak wieloma z nich nigdy się nie dzieli i zawsze ma ku temu dobry powód.

— Nienawidzę go! — wrzeszczę. — Cholernie nienawidzę ich wszystkich!

— Wiem. Przykro mi, Temperance, naprawdę.

Czuję się wewnętrznie rozdarta na strzępy. Wpatruję się w papiery na podłodze.

— Chcę odpowiedzi.

— Wiem, że tak. Nie mogę ci jednak dać czegoś, czego sama nie mam.

— Powiedział mi, że nie zrobiłby tego — szepczę, chociaż ona nie ma pojęcia, o kim mówię. — Więc jak mógł to zrobić?

— Nie wiem.

Sięgam po kartki i znowu mnę je w dłoniach.

— Czuję się jak ostatnia idiotka. Zaufałam *płatnemu* zabójcy. Kto robi coś takiego?

Keira milczy albo dlatego, że już wie, o kim mówię, albo dlatego, że sama ufa człowiekowi, który wydaje rozkazy płatnym zabójcom. Tak czy siak, to niczego nie zmienia.

— Nie mogę się pogodzić z tym, że byłam aż tak głupia. Tak jakbym to sprowadziła sama na siebie. Gdybym tylko...

— Ciii... — przerywa mi Keira. — Nie możesz ciągle tego przeżywać, zastanawiając się, co by było, gdyby.

Odwracam się, żeby spojrzeć jej w oczy.

— Wiem. Po prostu chciałam... — Potrząsam głową i opuszczam wzrok, nie mogąc znieść współczucia Keiry. To zbyt trudne.

Odchrząkuję.

— Potrzebujesz, żebym wróciła do pracy? Wiem, że już zbyt długo mnie tam nie było...

— Jednak nawet wypowiadając te słowa, wewnętrznie krzywię się na samą myśl, by wrócić i zmierzyć się ze wszystkimi.

— Nie przejmuj się tym. Masz tyle czasu, ile potrzebujesz. Zatrudniłam kogoś do pomocy i wszystko idzie dobrze. Nie musisz się przejmować niczym poza sobą.

— Jesteś pewna? — pytam, nie mogąc powstrzymać ulgi.

— Tak, oczywiście. Seven Sinners nigdzie się nie wybiera. Czy potrzebujesz czegoś? Czy mogę zrobić cokolwiek, żeby ci pomóc?

Milczę przez dłuższą chwilę.

— Chcę rozmawiać z Mountem — mówię w końcu, spoglądając jej w oczy. — Potrzebuję z nim porozmawiać.

Po dłuższej chwili odpowiada cicho.

— W takim razie załatwię ci to.

Rozdział 2

Temperance

Godzinami wpatruję się w leżący na stoliku kawowym list — który wygładziłam, ale i tak wygląda, jak psu z gardła — aż oczy zaczynają mi łzawić.

Kane zostawił mi swój dom.

Jak śmiała?

Po raz pierwszy odkąd naprawdę pozwoliłam, żeby dotarło do mnie, że mój brat, Rafe, nie żyje, czuję coś innego niż wielka, ziejąca *pustka*.

Gniew.

Jest we mnie, tli się w mojej duszy, z każdą chwilą jego temperatura rośnie.

Jak on śmiał?!

Zrywam się z kanapy i zaczynam nerwowo chodzić po maleńkim salonie połączonym z kuchnią. Na ogół tego nie robię — to Keira ma taki zwyczaj. Teraz jednak czuję, jak nagromadzony gniew wlewa żar w moje żyły. Jestem niczym ćpunka po świeżym strzale, nie mogę ustać w miejscu.

Kane dał mi całą posiadłość, dom, warsztat i wszystkie samochody — tak jakby to w jakiś sposób, w jakimkolwiek świecie, mogło wynagrodzić mi fakt, że *zabił mojego cholernego brata*.

Czuję, jak narasta we mnie zwierzęce wycie, a łzy po raz kolejny zaczynają płynąć mi z oczu.

— Jak mogłeś to zrobić? *Nienawidzę cię!*

Rozpacz rzuca mnie na kolana i zaczynam walić pięściami w podłogę, nie przejmując się tym, co musi sobie myśleć mieszkająca pod mną Harriet.

Walę w porysowane deski, aż dłonie pokrywają mi się siniakami. Opieram się czołem o podłogę i szlocham.

— Jak mogłeś to zrobić? — Te słowa są ledwie szeptem, bo znowu czuję, że nic mi już nie zostało.

On mi wszystko odebrał.

Ta kupa cegieł wypełniona kawałkami metalu teraz nic nie znaczy.

Nic.

Ktoś puka do drzwi.

— Temperance, tu Harriet...

— Nic mi nie jest — odpowiadam łamiącym się głosem.

— Masz gościa.

— Nie! — wykrzykuję gwałtownie. Nie chcę nikogo widzieć. Nie mogę nikogo widzieć.

— To twoja szefowa, kochanie.

Świetnie. Właśnie chcę, żeby ta osoba widziała mnie w takim stanie.

Leżę na podłodze jak żalosna kupka nieszczęścia. Drzwi otwierają się, zanim znajduję w sobie dość energii, żeby się podnieść.

— Temperance? Och, skarbie, tak mi przykro.

Słyszę stukanie obcasów Keiry. Klęka obok i obejmuje mnie ramieniem.

Nie widziałam jej od dnia pogrzebu brata — chociaż wydaje mi się, że była tutaj w czasie, kiedy spałam po dwadzieścia godzin na dobę. Powiedziała mi, że mam tyle czasu, ile potrzebuję, i że w destylarni poradzą sobie beze mnie.

Złapałam ją za słowo, zapominając zupełnie o obowiązkach, z których wypełniania byłam

kiedyś taka dumna, i w zamian pogrążając się w piekle.

— Co mogę zrobić? — szepcze i nienawidzę tego, że słyszę w jej głosie litość. Ale dlaczego miałaby się nade mną nie litować? Jestem tą idiotką, która zakochała się w facecie, który następnie zabił jej własnego brata.

Jestem jakimś żalonym żartem. Katastrofą. Chodzącym nieszczęściem.

Przełykam ślinę i próbuję wymyślić, co powiedzieć. Cokolwiek.

— Dał mi dom. — Siadam i patrzę prosto przed siebie, unikając jej spojrzenia.

— Co? — pyta.

— Dał mi jebany dom! — Sięgam po pomięte kartki papieru na podłodze przed sobą. — Jak mógł mi to zrobić? Okłamał mnie, a ja mu uwierzyłam. Jak mogłam być tak cholernie głupia? Jak?

Nie powinnam mieć już w sobie łez, jednak płyną coraz szybciej i szybciej. Zwijam obolałe dłonie w pięści i próbuję otrzeć twarz.

Keira obejmuje mnie i mocno ściska.

— Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro — powtarza w kółko, kiwając się ze mną, podczas gdy ryczę jak ktoś, komu wyrwano serce. Tak właśnie się czuję.

Na dodatek to moja wina.

Równie dobrze sama mogłam pociągnąć za spust. Rafe zmarł przeze mnie. Przyszedł tam ze względu na mnie. Kane mnie okłamał. Wykorzystał mnie. *Zdradził.*

Te rany wciąż są zbyt świeże.

— Jak on mógł to zrobić?

— Nie wiem, skarbie. Naprawdę nie wiem.

Odwracam głowę tak gwałtownie, że omal nie uderzam Keiry.

— Ale MOUNT wiedział, prawda?

— Temp...

Przerywam jej, nim zdąży dokończyć, cokolwiek chciała powiedzieć.

— Nie przychodź tu i nie opowiadaj banialuk. *Musiał wiedzieć. On wie wszystko.*

Keira przełyka ślinę, twarz wykrzywia jej się w grymasie żalu.

— Nic mi nie powiedział. Przysięgam na własne życie. Możliwe, że Lachlan wiedział, ale nigdy by mi o tym nie powiedział. Nawet nie wiem, kto dał ci dom i jaki dom?

Wpatruję się w nią z niedowierzaniem. *Nie wie, kim jest Kane? Jak to w ogóle możliwe?*

MOUNT. MOUNT stoi za tym wszystkim.

Winą za ból, który teraz odczuwam, mogę obarczyć go dlatego, że wysłał do mnie Kane'a. Ale nie mogę za to nienawidzić Keiry. Ona nie zrobiła nic złego... jedynie poślubiła diabła.

— MOUNT musiał wiedzieć o wszystkim.

Keira przymyka na chwilę oczy.

— Prawdopodobnie masz rację. Prawdopodobnie wiedział. Naprawdę niewiele jest rzeczy, o których nie wie. Niemniej jednak wieloma z nich nigdy się nie dzieli i zawsze ma ku temu dobry powód.

— Nienawidzę go! — wrzeszczę. — Cholernie nienawidzę ich wszystkich!

— Wiem. Przykro mi, Temperance, naprawdę.

Czuję się wewnętrznie rozdarta na strzępy. Wpatruję się w papiery na podłodze.

— Chcę odpowiedzi.

— Wiem, że tak. Nie mogę ci jednak dać czegoś, czego sama nie mam.

— Powiedział mi, że nie zrobiłby tego — szepczę, chociaż ona nie ma pojęcia, o kim mówię. — Więc jak mógł to zrobić?

— Nie wiem.

Sięgam po kartki i znowu mnę je w dłoniach.

— Czuję się jak ostatnia idiotka. Zaufałam *płatnemu* zabójcy. Kto robi coś takiego?

Keira milczy albo dlatego, że już wie, o kim mówię, albo dlatego, że sama ufa człowiekowi, który wydaje rozkazy płatnym zabójcom. Tak czy siak, to niczego nie zmienia.

— Nie mogę się pogodzić z tym, że byłam aż tak głupia. Tak jakbym to sprowadziła sama na siebie. Gdybym tylko...

— Ciii... — przerywa mi Keira. — Nie możesz ciągle tego przeżywać, zastanawiając się, co by było, gdyby.

Odwracam się, żeby spojrzeć jej w oczy.

— Wiem. Po prostu chciałabym... — Potrząsam głową i opuszczam wzrok, nie mogąc znieść współczucia Keiry. To zbyt trudne.

Odchrząkuję.

— Potrzebujesz, żebym wróciła do pracy? Wiem, że już zbyt długo mnie tam nie było...

— Jednak nawet wypowiadając te słowa, wewnętrznie krzywię się na samą myśl, by wrócić i zmierzyć się ze wszystkimi.

— Nie przejmuj się tym. Masz tyle czasu, ile potrzebujesz. Zatrudniłam kogoś do pomocy i wszystko idzie dobrze. Nie musisz się przejmować niczym poza sobą.

— Jesteś pewna? — pytam, nie mogąc powstrzymać ulgi.

— Tak, oczywiście. Seven Sinners nigdzie się nie wybiera. Czy potrzebujesz czegoś? Czy mogę zrobić cokolwiek, żeby ci pomóc?

Milczę przez dłuższą chwilę.

— Chcę rozmawiać z Mountem — mówię w końcu, spoglądając jej w oczy. — Potrzebuję z nim porozmawiać.

Po dłuższej chwili odpowiada cicho.

— W takim razie załatwię ci to.

Rozdział 3

Temperance

Nikt o zdrowych zmysłach nie prosi o audiencję u diabła, ale już dawno przestałam uważać się za normalną.

Rozlega się brzęczyk i podchodzę do domofonu.

— Tak?

W odpowiedzi słyszę chrząknięcie. Nic poza tym, żadnych słów, ale to wystarcza.

Przyjechał po mnie samochód, a kierowcą jest człowiek, który nie mówi. V.

Zamierzam stanąć twarzą w twarz z diabłem i domagać się odpowiedzi. Gdybym tylko mogła zażądać, żeby przywrócił mojego brata do żywych... Tylko tego pragnę.

Tego i zrzucenia z siebie ciężaru zdrady, który jest jak kula u nogi utrudniająca każdy krok.

Kane mnie okłamał.

A ja mu uwierzyłam.

Nienawidzę siebie za to. Może nawet bardziej niż nienawidzę jego.

— Już schodzę — mówię do domofonu, tak jakby istniała jakakolwiek szansa, że nie stawię się na to spotkanie.

Wsuwam stopy w zniszczone robocze buty pasujące do poszarpanych dżinsów i starej koszulki. To najlepsze, na co potrafię się zdobyć.

Gdy wcześniej tego dnia otworzyłam szafę, żeby znaleźć coś do ubrania, dopadło na mnie wspomnienie przeglądu tych samych strojów w poszukiwaniu czegoś, co mogłabym założyć do klubu.

Założyć do klubu, gdzie miałam się z nim spotkać.

Zatrzasnęłam drzwi i podniosłam jakieś ciuchy z podłogi.

Przynajmniej dżinsy i koszulka nie sprawiają, że mam ochotę wpełznąć z powrotem do łóżka i poddać się, jakby sprawiły sukienka czy spódnica. Wszystko przypomina mi o nim i o błędach, które popełniłam, oraz o tym, jak łatwo pozwoliłam sobą manipulować.

I teraz nic już nie będzie takie jak wcześniej.

Wychodzę z mieszkania, zamykam drzwi na klucz i idę po spiralnej klatce schodowej.

Okna u Harriet są otwarte i dobiegają z nich dźwięki jakiejś nieznaney mi opery, rozchodząc się w wieczornym powietrzu.

Zatrzymuję się, żeby powiedzieć jej, że wychodzę, ale nie mam ochoty rozmawiać więcej niż to konieczne. Uświadamiam sobie, że zachowuję się okropnie wobec wszystkich, którym na mnie zależy. Ta lista i tak jest krótka, więc powinnam być miłsza i bardziej wdzięczna, ale nie mogę tego teraz z siebie wykrzesać.

Za to też siebie nienawidzę.

Biorę głęboki oddech i ruszam wyłożoną cegłami ścieżką do bramy. Widzę za nią V, ochroniarza i kierowcę Keiry, opartego o czarny samochód.

Ten samochód.

Omam nie wymiotuję prosto na chodnik, uświadamiając sobie, że to ten sam maybach, którym jechałam z Kanem na lotnisko, gdzie miałam spotkać się z bratem i razem z nim opuścić kraj. Tak naprawdę jednak nie było żadnej zaplanowanej podróży, tylko egzekucja mojego brata.

Mount wie, że jechałam tym samochodem.

Pieprzony dupek. Czy to jego sposób na sprawdzenie mnie? Zmusza mnie, żebym

przeżyła to jeszcze raz? Sprawdza, jak bardzo chcę się z nim zobaczyć i jak bardzo zależy mi na uzyskaniu odpowiedzi?

Zaciskam palce wokół kutyh krat i gapię się na V, który odwzajemnia to spojrzenie z całkowicie obojętnym wyrazem twarzy.

Nie mogę tego zrobić.

Unosi podbródek, krzyżuje ramiona na piersi i czeka.

Jego też nienawidzę.

Przełykam żółć podchodzącą mi do gardła, puszczam kraty i sięgam do klamki.

Dam radę. Nie mam innego wyboru.

W milczeniu idę chodnikiem. V odwraca się, żeby otworzyć dla mnie tylne drzwiczki.

Zamieram, gdy tylko widzę wnętrze samochodu. Przysięgam, czuję wyjątkowy, korzenny zapach Kane'a w powietrzu.

Przestań dramatyzować, Temperance. Wsiadaj do tego pieprzonego samochodu.

Karcę się za słabość, tak samo jak robię sobie wyrzuty za wszystko inne w ciągu ostatniego miesiąca. Gdybym miała bicz, posiekałabym nim sobie skórę na strzępy.

Wsiadam do samochodu i zaciskam powieki, kiedy V zatrzaskuje drzwiczki. Na siedzeniu obok mnie leży czarny kaptur.

Nie ma, kurwa, mowy.

Po chwili słyszę trzaśnięcie drzwiczek z przodu. V chrząka i zerkam we wsteczne lusterko. V kiwa głową i wiem, czego chce. Domaga się, żebym założyła kaptur.

Tak jak Kane kazał mi zakładać czapkę na oczy.

— A jeśli tego nie zrobię? — pytam.

Wskazuje na bramę, przez którą właśnie przeszłam.

— Nienawidzę cię — oznajmiam. To dziecinne i sprawia, że brzmię jak zdzira, ale mam to gdzieś.

Sięgam po kaptur i naciągam go na głowę zalana falą wspomnień.

„Dokąd jedziemy? Do bat-jaskini?”

To naiwne pytanie, które wygłosiłam kilka tygodni temu, teraz jest niczym cios w żołądek. Otacza mnie ciemność.

A teraz pieprzona bat-jaskinia należy do mnie i jedyne, na co mam ochotę, to spalić ją do gołej ziemi. *Może to zrobić.*

Jazda do siedziby Mounta jest tak krótka, jak się spodziewałam. Wiedziałam, że to gdzieś w Dzielnicy Francuskiej, ale nigdy tam nie byłam. Nie jest to miejsce, gdzie zaprasza się gości.

Kiedy V otwiera mi drzwiczki, sięgam w kierunku kaptura. Gdy nie słyszę chrząknięcia na znak protestu, ściągam go.

V kiwa głową i wskazuje podbródkiem w bok na znak, że powinnam wysiąść. Przechodzę za nim przez drzwi i idę najpierw po klatce schodowej bez okien, a następnie kilkoma korytarzami. Przypomina mi to klub.

Nie. Nie, wcale nie. Zupełnie nie jest podobne.

Gdy V przyciska jakiś ukryty guzik i cała ściana przed nami przesuwa się, odskakuję do tyłu.

O, to naprawdę przypomina bat-jaskinię.

Znowu czuję ukłucie zdrady. Idę za V i znajduję się w pomieszczeniu wyglądającym jak gabinet lub biblioteka. Ciężkie regały z książkami stoją przy ścianach, a przede mną znajduje się olbrzymie drewniane biurko.

Siedzi za nim Mount i pisze coś na kawałku papieru, który następnie składa i wsuwa do koperty.

Słyszę za sobą cichy szelest, a gdy się odwracam, widzę, jak Blizna wychodzi przez obrotowe drzwi ukryte w kominku.

Co, u licha?

Szybko omiatam wzrokiem pozostałą część pokoju: dwa skórzane fotele, kilka lamp, szafka z karafkami alkoholu. Mount wreszcie unosi wzrok.

— Nie odpowiadam na propozycje spotkań, Ransom. Zgodziłem się tylko z uwagi na moją żonę, więc zachowaj ostrożność.

W normalnych okolicznościach trzęsłabym się ze strachu, dosłownie. Ale teraz? Nie mam nic do stracenia. Absolutnie nic.

Nagle wszystkie pytania, które tak rozpaczliwie chciałam mu zadać, ulatują mi z głowy, pozostawiając tylko jedno.

— Dlaczego? — To słowo brzmi, jakby ktoś wyszarpał mi je z gardła zardzewiałymi cęgami.

Spogląda na mnie, mrużąc oczy.

— Co dlaczego?

— Dlaczego to zrobiłeś? Czy chciałeś śmierci mojego brata? O to chodzi?

Mount odchyła się w fotelu i krzyżuje ramiona na piersi. Jego szyty na miarę garnitur przypomina mi o Kanie i zmuszam się, żeby odwrócić wzrok.

— Proszę, przyjmij moje kondolencje z powodu śmierci brata, Temperance.

— Nie dlatego...

Przerywa mi ostrym spojrzeniem.

— Gdybym chciał jego śmierci, to by od dawna nie żył. Jeśli chodzi o to, dlaczego to wszystko zrobiłem — nie muszę się tłumaczyć, więc powiem tylko, że twoje porwanie i śmierć sprawiłyby, że moja żona byłaby nieszczęśliwa. Zadbanie o twoje bezpieczeństwo było jedynym sposobem, żeby tego uniknąć.

Wściekłość, która zaczęła we mnie narastać już wcześniej, teraz uderza mi do głowy.

— Ale musiałeś wiedzieć o planie zabicia Rafe'a!

Mount wstaje i opiera pięści o blat biurka.

— To, co wiedziałem wtedy lub co wiem teraz, to nie twój zasrany interes.

Czuję dławiący szloch i nie jestem w stanie odpowiedzieć. Kolana się pode mną uginają. Zataczam się do tyłu i trafiam na fotel. Pochyliam się w przód, czując napływające znowu do oczu łzy.

Nie obchodzi mnie, że płaczę w biurze Mounta. Nie obchodzi mnie nic poza rozdzierającym mnie bólem.

— Pochorujesz się, jeśli będziesz tak płakać.

Mrugam i przez łzy dostrzegam pudełko chusteczek, które wciska mi na kolana Mount, kucając przede mną.

— Jeśli komukolwiek powiesz, że trzymam w biurze chusteczki, to dopilnuję, żeby nikt nigdy więcej o tobie nie usłyszał. To zniszczyłoby moją reputację.

Mówi to ze śmiertelnie poważną miną i domyślam się, że to ma być żart, ale moje poczucie humoru jest w tym momencie w zaniku. Biorę chusteczkę z pudełka i wydmuchuję nos.

— Nie pomagasz sobie, tonąc w smutku, Temperance. Mówiłem ci już, jesteś wykuta z tego samego materiału co moja żona. To oznacza, że znajdziesz w sobie zapas siły, wlejesz stal w kręgosłup i staniesz prosto. Nie jesteś martwa, więc przestań się tak zachowywać.

Łzy obsychają mi w okamgnieniu.

— Nie udawaj, że mnie znasz. Nie udawaj, że masz jakiegokolwiek pojęcie, jak się czuję...

— To nie ma znaczenia, czy cię znam i czy wiem, co czujesz. Chcesz leżeć w trumnie

razem z bratem? Proszę bardzo, ale nie ciągnij za sobą mojej żony. Dopilnuję, żebyś została odcięta na długo przedtem.

Odchylam się do tyłu.

— Co to ma znaczyć?

— W tej chwili jest przez ciebie smutna. Usuwam rzeczy, które wywołują smutek Keiry. Rozumiesz?

Opada mi szczęka.

— Naprawdę grozisz, że mnie zabijesz, bo Keira martwi się z mojego powodu? Po tym, kiedy widziałam, jak brat *kona* na moich rękach?

Przypominam sobie rozmowę z Gregorem Standishem i jak martwiłam się o niego ze względu na to, co powiedział o Keirze... a potem on umarł. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że właśnie Mount był odpowiedzialny za jego śmierć. Standish ściągnął to na siebie, atakując Keirę i destylarnię.

Moje pytanie pozostaje bez odpowiedzi, ale wiem, że odpowiedzią Mounta mogłoby być tylko gromkie „tak”. Nie ma niczego, czego nie zrobiłby dla Keiry.

Pragnęłam czegoś takiego, chociaż nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy. Czuję kolejne ukłucia smutku i gniewu.

— Wstawaj. Otrzyj łzy. Weź się w garść. I nie wracaj do Seven Sinners, dopóki nie będziesz w stanie rozmawiać, nie płacząc ani nie krzycząc, rozumiesz mnie?

Mount jest brutalny i bezpośredni i jakaś część mnie go za to nienawidzi. Inna część... Inna część rozumie, że potrzebowałam to usłyszeć. Wyciągam ręce i chwytam go za nadgarstki, nim ma szansę odejść.

Wędruje spojrzeniem do moich dłoni, a potem wraca do twarzy.

— Niezależnie od tego, jak bardzo potrzebowałam to usłyszeć, nadal nienawidzę cię za rolę, jaką w tym odegrałeś.

— Zapamiętam to sobie. — Wyrywa się z mojego uścisku. — Nasze spotkanie dobiegło końca, Temperance.



Rozdział 4

Temperance

Jakby zatrzymane siłą woli Mouna, moje łzy przestają płynąć.

Nie jestem martwa i muszę przestać się tak zachowywać.

Drugi raz w ciągu roku brutalnie sobie uświadomiłam, że życie jest krótkie. *I patrzcie, do czego życie chwilą doprowadziło mnie ostatnim razem.*

Szukałam klubu, w którym mogłabym zaspokoić najbrudniejsze fantazje, i nie mogłam znaleźć, a potem przypadkiem na niego natrafiłam i przeżyłam je z nieznajomym. Nieznajomym, który okazał się być nie tylko płatnym zabójcą, ale człowiekiem, który przyjął kontrakt na zabicie mojego brata — i obiecał go nie wypełnić.

Nigdy nie ufaj płatnemu zabójcy. To powinno być oczywiste, ale najwyraźniej nie gdy jest się Temperance Ransom.

Odpycham tę myśl i wpatruję się w czystą kartę przed sobą.

Czas zastanowić się, co powinnam dalej robić. Nie mogę wiecznie żyć we mgle smutku — Rafe byłby na mnie naprawdę wkurzony, gdyby to widział.

Cóż, ja też jestem na ciebie wkurzona, Rafe. Nigdy nie powinieneś być przyjmować tego zlecenia.

Tę myśl również od siebie odpycham.

Co się stało, to się nie odstanie. Teraz jedyne, co mogę zrobić, to ruszyć naprzód, nawet jeśli jedyne, na co mam ochotę, to zwinąć się w kulkę i umrzeć.

Ale koniec z tym. Czas znowu zacząć żyć.

Ściskam ołówek w palcach i zastanawiam się, czego pragnę najbardziej — nie licząc odzyskania brata. *I jeszcze jednej rzeczy, której nawet nie odważę się ubrać w słowa, bo przecież nie mogę naprawdę pragnąć czegoś takiego.*

I nic poza tym nie przychodzi mi do głowy.

To już szczyt szczytów: nawet nie potrafię uruchomić wyobraźni. Świetnie.

Rzucam ołówek, po czym podchodzę do szafki i otwieram ją. Półka, na której zawsze trzymam alkohol, jest pusta.

Harriet.

Znając ją, przypuszczam, że zabrała alkohol, ponieważ chciała wywabić mnie z mieszkania, gdybym zapragnęła się napić, a nie uniemożliwić mi picie jako takie.

Jest sprytna.

Wracam do stolika, skąd zabieram kartkę i ołówek, i ruszam do drzwi.

Skoro obrabowała mnie z procentów, to niech teraz pomoże mi wymyślić, co powinnam zrobić.

Tym razem gdy otwieram jej drzwi, Harriet słucha nie opery, lecz Tupaca.

— Harriet?

Zerka na mnie spoza sztalug stojących pośrodku salonu, gdzie maluje.

— Wiedziałam, że wystarczy ci zabrać napoje wysokokowe, żebyś przyszła. Zawsze powtarzałam, że to niezawodny sposób.

Wskazuję na sztalugi.

— Nie przeszkadzam?

— Nie, właśnie wymyślam nową szkołę malarską. Postanowiłam ją nazwać West Coast Modern.

Oczywiście, dlaczego nie? Ta kobieta zapewne przeżywa więcej w ciągu roku niż ja przez całe dotychczasowe życie.

Spogląda na kartkę papieru w mojej dłoni.

— Lista zakupów?

Kręcę głową.

— Nie.

— Lista rzeczy do zrobienia przed śmiercią?

Ta druga opcja jest właściwie niepokojąco bliska prawdy.

— Coś w tym rodzaju.

Uśmiech wypływa jej na twarz.

— To wspaniale!

Klaszcze w dłonie i na jaskraworóżowy fartuch spadają krople niebieskiej farby. Odkłada pędzel do słoika i podchodzi do mnie.

— Od czego zaczynamy? To znaczy jeśli potrzebujesz towarzystwa do którejkolwiek z tych rzeczy. Ja już zrealizowałam trzy takie listy i listę „pieprzyć to”, ale jeszcze nie wybieram się do grobu, więc chętnie skorzystam z cudzych inspiracji. — Wrywa mi kartkę z dłoni i głowa aż odskakuje jej do tyłu. — Jest pusta! Dobry Boże, Temperance, nic dziwnego, że mnie potrzebujesz!

Harriet zabiera mi ołówek i kładzie kartkę na blacie. Pisze coś u góry, po czym odwraca ją tak, żebym mogła to przeczytać.

Spodziewam się zobaczyć tam coś kompletnie szalonego w rodzaju *trójkątka z rosyjskimi arystokratami*, ale kolejny raz Harriet udaje się mnie zaskoczyć.

1. Być szczęśliwą.

To takie proste.

Unoszę wzrok i szepczę:

— Być szczęśliwą.

— To jedyna rzecz, która naprawdę ma znaczenie, moja droga. Jeśli ci się to uda, życie stanie się naprawdę magiczne. — Spogląda na mnie wyblakłymi oczami. — Kochanie, nie jesteś jedyną, która kochała i utraciła tę miłość. Miałam rodzinę — braci i siostry. Przeżyłam ich wszystkich. Podobnie jak mężów. To znaczy tylko po jednym na raz. Tak czy siak, strata nigdy nie jest łatwa. — Przykrywa moją dłoń swoją pochłapaną farbą. — Ale to nie jest też powód, żeby samemu zrezygnować z życia.

— Jak pogodziłaś się ze stratą?

Ściska moje palce.

— Nie pogodziłam się. Po prostu nauczyłam się żyć dalej. Ból zawsze będzie ci towarzyszył, ale z czasem już nie tak przeszywający. Pewnego dnia przyłapiesz się, że nie myślałaś o utraconych osobach przez całą minutę. Potem będzie to godzina, aż w końcu będą ci się zdarzały całe dni bez obezwładniającego smutku. Proces uzdrowienia musi trwać.

W tej chwili nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłabym nie myśleć o tym, co się stało, choćby przez chwilę, a co dopiero godzinę czy cały dzień. Jednak Harriet nigdy mnie nie okłamała i z pewnością jest ode mnie mądrzejsza.

— Co więc będzie następne na mojej liście?

Puszcza mi dłoń i rusza w stronę lodówki na wina.

— Na to, kochanie, tylko ty możesz sobie odpowiedzieć, ale nie bój się marzyć.

Potrzebuję kilku kieliszków szampana, nim znowu sięgnę po ołówek, ale przed wyjściem od Harriet udaje mi się dodać kilka punktów do listy.

2. *Uczcić pamięć brata.*

3. *Zaistnieć jako artystka.*

4. *Napić się wina w winnicy Harriet we Włoszech.*

5. *Podróżować po świecie.*

Jest jeszcze jedna rzecz, którą chciałabym dodać do listy, ale wciąż nie czuję się dostatecznie odważna — albo dostatecznie głupia.

Znowu odnaleźć miłość.

Rozdział 5

Temperance

Następnego dnia budzę się i biorę prysznic. Zmarnowałam miesiąc życia, tonąc w smutku spowodowanym czymś, czego i tak nie mogę zmienić, i czas już zrobić krok w kierunku przyszłości, nawet jeśli nie mam pojęcia, co może skrywać. Nakładam makijaż, wciągam dzinsy oraz koszulkę na ramiączkach i przed dziesiątą rano wychodzę z mieszkania.

Mam zamiar kupić kawę i pączka, a potem muszę znaleźć samochód, w którym zostawiłam rzeźbę. Trzeba też odzyskać mojego bronco, chociaż nie mam pewności, czy jestem na to gotowa. Czas wziąć się z życiem za bary, chociaż samo myślenie o tym sprawia mi ból.

W drodze do kawiarni zauważam ubranego na czarno mężczyznę w ciemnych okularach i w czapeczce bejsbolowej, który chowa się w bramie, kiedy mijam róg ulicy, oglądając się za siebie. Budzi to mój niepokój.

Czyżbym była śledzona?

Biegnę do domu i zatraskuję za sobą gwałtownie bramę. Opieram się o ceglana ścianę i wyławiam z torebki telefon. Zaczynam mówić, skoro tylko Keira odbiera i niepewnie wygłasza słowa powitania.

— Potrzebuję porozmawiać z Mountem. Muszę wiedzieć, czy ktoś mi zagraża, bo wydaje mi się, że jestem śledzona.

— Zaraz, zaraz, o czym ty mówisz? — W głosie mojej szefowej zaczyna pobrzmiwać panika. — Gdzie jesteś?

— W mieszkaniu, ale wydaje mi się, że ktoś mnie śledził, kiedy rano wyszłam po kawę. Sądziłam, że po śmierci Rafe'a nikt nie będzie się już mną interesował.

— Już dzwonię do Lachlana.

Zanim zdąży się rozłączyć, proszę jeszcze szybko:

— Czy możesz go zapytać, gdzie jest tahoe z moją rzeźbą? Chciałabym ją odzyskać. Ścisłej rzecz biorąc, potrzebuję dostarczyć ją do Noble Art.

Czy nie proszę o zbyt wiele? Być może. Czy mnie to obchodzi? Nie.

Czy pragnę śmierci, wydając polecenia Mountowi? Niezupełnie, ale nie mam też nic do stracenia. Nie będę się ukrywać ze strachu przed nim lub kimkolwiek innym, włączając w to tego, kto mnie śledził. Nie zgadzam się na życie w strachu.

I wtedy podejmuję decyzję — mam już dość ukrywania się przed światem. Zamierzam żyć i to *bez lęku*.

— Dobrze cię znowu widzieć wśród żywych — mówi Keira cicho, nim się rozłączy.

Wkrótce dostaję wiadomość tekstową.

Keira: *Tahoe jest w drodze do destylarni. V przyjedzie po ciebie.*

Temperance: *Dziękuję.*

Keira: *Przywiezie też odpowiedzi.*

Wreszcie. Proście, a będzie wam dane. Magia.

Ze świeżo odnalezioną determinacją zbieram się, żeby poradzić sobie z tym, co nastąpi — czymkolwiek będzie.

Trzydzieści minut później stoję na parkingu, na którym nie było mnie od miesiąca, i

spoglądam na budynek już nie wydający mi się drugim domem. Ku swojemu zaskoczeniu obok tahoe nie widzę lokaja z kluczykami, tylko Mounta we własnej osobie.

Nie marnując czasu, przechodzi od razu do rzeczy.

— Teraz, kiedy Rafe'a już nie ma, przestałaś być celem, więc nikt nie powinien cię śledzić, ale na wszelki wypadek poproszę kogoś, żeby nadal miał na ciebie oko.

Spoglądam na niego w zdumieniu.

— Nadal?

Kiwa głową, ale nie wyjaśnia, dlaczego byłam obserwowana na jego polecenie. Zamiast tego przechodzi bezpośrednio do jedyne go tematu, na którym naprawdę mu zależy.

— Nie wciągaj w to znowu Keiry. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zadzwoń do mnie. Numer znajdziesz na wizytówce w schowku.

Kiwam głową.

— Dobrze.

— Klucze do domu też tam są.

— Skąd o tym wiedziałaś? — pytam zszokowana.

Mount nie odpowiada, jedynie odwraca się, kiedy obok nas parkuje czarny samochód.

— Uważaj na siebie — rzuca, wślizgując się na tylne siedzenie, i po chwili odjeżdża.

Patrzę na samochód wyjeżdżający z ogrodzonego parkingu i wypuszczam wstrzymywane powietrze. Mam ochotę wejść do środka, uściskać Keirę i podziękować jej, jednak nie zrobię tego. Mount nie chce, żebym się do niej zbliżała, i mogę to uszanować.

Zamiast tego wysyłam jej krótką wiadomość tekstową, po czym zaglądam na tył tahoe.

Na widok rzeźby uśmiecham się szczerze.

Zbyt długo zwlekałam z tą dostawą.

Oczy Valentyny rozjaśniają się, gdy patrzy na rzeźbę.

— Jest niesamowita. Naprawdę, Temperance. Niewiarygodna.

— Przepraszam, że tak bardzo się z nią spóźniłam.

Uśmiecha się lekko.

— W zupełności to rozumiem. Nie miałam zamiaru cię poganiać, wiem, przez co przechodziłaś... Cóż, naprawdę nie zamierzałam na ciebie naciskać.

Współczucie w jej oczach wyzwala we mnie kolejną falę smutku, ale zachowuję spokój. Niezależnie od wszystkiego nie zamierzam teraz beczeć przez godzinę.

Być szczęśliwą, przypominam sobie. A przynajmniej udawać, że się jest.

Może jeśli dostatecznie często będę udawać, w końcu osiągnę ten stan. Nie mam pojęcia, czy zasada *fake it until you make it* — „udawaj, aż taki się staniesz” — dotyczy też poczucia szczęścia, ale postanawiam spróbować.

Zmuszam się do uniesienia kącików ust.

— Czy sądzisz, że ktoś ją kupi?

— Pytasz poważnie? Sprzedam ją, zanim zdążysz stąd odjechać. Ludzie już czekali. Nie powinnam ci tego mówić, ale to prawda. Gdy roześlę zdjęcia z odpowiednim opisem, zaczną dzwonić. Mam też co najmniej pięciu kupców zainteresowanych dużymi rzeźbami — i są to osoby, które nie boją się dobrze zapłacić.

— Co masz na myśli, mówiąc „dobrze”? — Takie pytanie może wydawać się prostackie, ale potrzebuję to wiedzieć.

Podaje mi kwotę, która przewyższa moje kilkumiesięczne zarobki w destylarni.

— Naprawdę?

— Tak. Więc jeśli czujesz, że będziesz gotowa wrócić do pracy...

— Jestem gotowa — zapewniam ją. — Potrzebuję tego. Czuję, że to dobrze mi zrobi.

Gdy wypowiadam te słowa, uświadamiam sobie, jak bardzo są prawdziwe. Trzymanie narzędzi w rękach i tworzenie czegoś będzie najbardziej terapeutycznym zajęciem, jakie mogłabym sobie teraz znaleźć. Gdy wcześniej myślałam o tym, żeby pogrążyć się w pracy, czułam, jakbym się dusiła.

To dlatego, że myślałam o niewłaściwej pracy.

Teraz gdy w okrutny sposób uświadomiono mi, że życie jest krótkie, czuję, że powinnam dodać do swojej listy jeszcze jedną rzecz. I nie jest ona wprawdzie aż tak przerażająca jak to, czego nie odważyłam się zapisać, ale i tak wzbudza moje obawy.

Rzucić pracę w destylarni.

Kane w jednym miał rację, nawet jeśli na samą myśl o tym gotuję się ze złości. Praca w destylarni nie jest tym, co chcę robić w życiu. Nie przynosi mi radości.

Życie jest zbyt krótkie, żeby być nieszczęśliwym, i to obejmuje pojawianie się w pracy, w której robię coś, czego nie lubię, chociaż mam możliwość zarabiać na swojej pasji.

— Daj mi listę wszystkiego, czego kupcy mogliby pragnąć, a ja wezmę się do roboty. Dostarczę rzeźby tak szybko, jak będą gotowe. Już koniec z marnowaniem czasu i wiecznym czekaniem.

— Temperance... — zaczyna Valentina miękko. — Rób tylko tyle, ile możesz. Nie przepracowuj się teraz.

Patrzy z troską i wiem, że naprawdę się o mnie martwi, jednak przemowa Mouna była jak porządny kop w tyłek. Starczy już uzalania się nad sobą. A przynajmniej postaram się z tym skończyć.

— Sądzę, że to teraz najlepsze, co mogę zrobić. Proszę, pozwól mi na to.

Przygląda mi się uważnie i w końcu kiwa głową.

— Dobrze, sporządzę listę i wyślę ci ją. Chociaż...

— Co?

Valentina przez chwilę wpatruje się w mój pejzaż miejski.

— Co byś powiedziała na własną wystawę? Nic wielkiego, może około tuzina eksponatów. To najlepszy sposób, żeby wypromować cię jako artystkę, ale wiem, że proszę o wiele. Zdaję sobie sprawę, że nie możesz po prostu ich wyczarować.

Ta sugestia niemal zwała mnie z nóg, jednak nawet w pierwszej chwili nie myślę o odmowie, lecz zastanawiam się: *jak szybko mogłabym stworzyć tuzin rzeźb?*

— Naprawdę? Zrobiłabyś to?

— Oczywiście. Zdajesz sobie chyba sprawę, że nie wynika to z czystego altruizmu, prawda? Też na tym zarabiam.

— Wiem i tak powinno być. Nie znam nikogo, kto chciałby kupić moje rzeźby, a już na pewno nie za kwoty przewyższające moje obecne kilkumiesięczne zarobki.

Valentina posyła mi kolejny uśmiech i tym razem nie ma w nim współczucia.

— Damy radę, dziewczyno. Ty bierz się do pracy, a ja zajmę się planowaniem, kiedy tylko będziesz w stanie podać mi wstępny termin, w którym mogłabyś być gotowa.

Po raz pierwszy od ponad miesiąca czuję jakąś nową wzbierającą wewnętrzną emocję.

To nadzieja.

Rozdział 6

Temperance

Nowe uczucie nadziei utrzymuje się przez całe trzy minuty po wyjściu z galerii, czyli do momentu, gdy chwilę po ruszeniu słyszę „łup-łup-łup” przebitej opony w tahoe. Kieruję się do najbliższego miejsca parkingowego.

Patrzę na brązowy samochód, a potem spoglądam pytająco w niebo.

To nie jest znak. To nie jest żaden znak, powtarzam sobie tak długo, aż zaczynam w to wierzyć.

Jestem samodzielną, zaradną kobietą. *Poradzę sobie.*

Po zaparkowaniu wyskakuję z auta i okrążam je, żeby sprawdzić, co się właściwie stało. Tylnie koło od strony pasażera.

Nic takiego, potrafię przecież zmienić koło.

Przykucam, przyglądając się bieżnikowi bliżej, żeby ustalić, co spowodowało pęknięcie. I zamieram, widząc pół tuzina gwoździ powbijanych jeden obok drugiego na obszarze nie większym od mojej pięści.

Co, u diabła?

To nie był przypadek, tylko *akt wandalizmu*.

W biały dzień.

Czuję zimny dreszcz przechodzący wzdłuż kręgosłupa i uczucie niepokoju, które pojawiło się wczoraj, powraca. Odpycham je jednak od siebie. *Nie zamierzam żyć w strachu.*

Niezależnie od wszystkiego nie mam wątpliwości, że ktoś zrobił to celowo. Chciał, żebym złapała gumę. Wstaję i odwracam się, po czym rozglądam wzdłuż ulicy, sprawdzając, czy ktoś mi się nie przygląda.

Nikt się nie wyróżnia.

Ani kobieta niosąca torby ze sklepu na rogu, ani mężczyzna wyprowadzający miniaturowego szpiczaka, ani dwójka dzieciaków zagapiona w telefony tak bardzo, że nie zważają, dokąd idą.

Wreszcie spojrzenie napotyka ciemny samochód z włączonym silnikiem zaparkowany na końcu ulicy.

Czy to człowiek Mouna, który mnie pilnuje?

Przyglądam się uważniej ciemnym szybom, jakbym mogła przeniknąć je wzrokiem, jednak oczywiście nic z tego.

Tak czy siak, nie mam tu nic więcej do roboty. Otwieram auto od strony pasażera, wyszarpuję kluczyki ze stacyjki, chwytam torebkę i już mam zatrzaskać drzwiczki, gdy przypominam sobie o tym, co Mount powiedział o kluczach w schowku.

Czy chcę je zabrać? Czy w ogóle chcę od niego czełgokolwiek? Od któregokolwiek z nich?

Pieprzyć to.

Otwieram schowek i na podłogę wypada wizytówka. *Wizytówka Mouna.*

Wkładam ją do kieszeni, bo nie chcę wplątywać Keiry w swoje sprawy, zwłaszcza gdyby coś poszło nie po mojej myśli. A poza tym... nigdy nie wiadomo, kiedy będę mogła potrzebować zadzwonić do diabła.

Spojrzenie pada mi na zestaw kluczy na skórzanym breloczku.

Czas na decyzję, Temperance.

Zastanawiam się, czy ich nie zostawić. Jeśli jednak je wezmę, do niczego mnie to nie

zobowiązuje. Nie muszę wcale tam jechać. W końcu biorę klucze i wkładam do torebki, a następnie zamykam Tahoe i ruszam w stronę domu, czując, że wszystkie zmysły wyostają mi się do granic możliwości.

Wchodzę na dziedziniec, na którym Harriet rozpostarła na trawie białe płachty.

Co, u licha, znowu wymyśliła?

Wychodzi z mieszkania ubrana w czarny jedwabny kaftan, który za nią powiewa. W rękę trzyma tacę i uśmiecha się.

— Przeszkadzam w czymś?

Unosi głowę, jakbym wyrwała ją z medytacji... Znajac Harriet, mogło tak być.

— Wróciłaś szybciej, niż się spodziewałam. Jak poszło?

Zerkam na tacę w jej dłoniach.

— Czy to farba?

— Farba do ciała.

Mówi, jakby nie wymagało to dalszych wyjaśnień.

— Do czego?

— Postanowiłam unieśmiertelnić się w kolorach tęczy. To znaczy... — Ogląda się przez ramię. — Tak się stanie, jeśli mój przyjaciel przyjedzie, żeby mnie pomalować.

— Och... dobrze. A więc lepiej, żeby znalazła sobie jakieś inne miejsce, w którym mogę się podziąć.

Harriet przechyla głowę.

— Tylko jeśli przeszkadza ci nagość. Moje cycki może już nie są tak sterzące jak twoje, ale i tak są młodsze od ciebie. W połowie lat dziewięćdziesiątych ten chirurg plastyczny był uważany za prawdziwego geniusza.

Jak zawsze Harriet udaje się mnie rozbawić.

— Jak poszło w galerii? — pyta.

Opowiadam jej o wystawie, którą planuje zorganizować Valentina.

— To fantastycznie. Masz niesamowite szczęście, że dostaniesz taką szansę. Nie spieprz tego.

Zawsze doceniałam u Harriet mądrość i umiejętność twardego stąpania po ziemi, a teraz kolejny raz przypomina mi, że naprawdę mam do zrobienia coś więcej niż pójście do siebie na górę i zaszyć się w mysiej dziurze.

— Za nic.

— To dobrze — Patrzy na mnie znacząco. — Jestem pewna, że masz teraz do roboty coś ważniejszego niż obserwowanie dwojga nagich, pokrytych farbą siedemdziesięciolatek podczas zabaw na świeżym powietrzu. Na przykład mogłabyś zająć się sztuką. — Zerka na zegarek. — Właściwie powinno cię nie być przynajmniej do dziewiątej, może dziesiątej wieczorem. Naprawdę dzisiaj mam ochotę pofiglować, a on ma te małe niebieskie pigułki.

Zerkam na torebkę, w której mam klucze do domu... pełnego zapasu metalu dostarczonego dla mnie na rozkaz Kane'a.

Czy naprawdę jestem w stanie się z tym zmierzyć?

Tak. Tak, jak najbardziej.

Mam listę rzeczy, które chcę zrealizować — i nie mówię jedynie o tej, jaką ma mi przysłać Valentina, lecz przede wszystkim o tej, do której ułożenia zmusiła mnie Harriet.

Kane'owi też podobałoby się, że robię taką listę.

Znowu czuję przeszywający ból i oddycham głęboko, aż minie.

— Nie będę pytać, czy wszystko w porządku, Temperance — mówi Harriet. — Ale wiem, że w pewnym momencie będzie. Jesteś silniejsza, niż podejrzewasz.

Kiwam stanowczo głową i biorę kolejny głęboki oddech. *Jestem silniejsza niż to.*

Unoszę wzrok i napotykam jej zatroskane spojrzenie.

— Masz rację. Jeszcze nie wszystko jest w porządku, ale wiem, że będzie.

— Dobra dziewczynka.

— Tylko się przebiorę i zaraz wyjdę, nie będę wam przeszkadzać.

Wchodzę po schodach, z każdym krokiem czując, jak umacnia się moje postanowienie.

Wszystko będzie dobrze.

Zaraz gdy wchodzę do mieszkania, wzrok pada mi na pomiętą kartkę papieru, którą wrzuciłam do kominka z zamiarem spalenia, ale jeszcze tego nie zrobiłam. To ta kartka papieru wyrwała mnie z letargu. To ona nie pozwoliła mi dłużej udawać, że wszystko to tylko koszmarny sen.

Nienawidzę cię, Kane. Kurewsko cię nienawidzę.

A jednak przyklekam i grzebię w popiele, żeby ją stamtąd wyciągnąć.

Rozpościeram ją na podłodze; słowa zamazują mi się przed oczami, a łzy padają na papier, gdy kiwam się w tył i w przód, próbując pohamować płacz.

Nie będę znowu płakać z twojego powodu. Skończyłam z tym.

Zgrzytam zębami i skupiam się na adresie. Zapamiętuję go, wstaję z podłogi, prostuję plecy i unoszę wysoko głowę.

Wszystko będzie dobrze. Będę udawała, że czuję się świetnie, aż naprawdę tak się stanie.

Biorę głęboki oddech i ruszam do sypialni. Przebioram się. Zamierzam przekuć złom na żywą gotówkę i kupić sobie nowe życie, w którym niczego nie będzie mi brakowało. Nie będę miała czasu na rozmyślenie o płatnym zabójcy, który mnie zdradził i złamał.

Rozdział 7

Temperance

Nie jestem jednak tak silna, jak sądziłam. Zamiast udać się do domu Kane'a uzbrojona w nową siłę i emocjonalny pancerz, siedzę na ławce przed bazyliką katedralną św. Ludwika. Nie przyszedłam tu, żeby się modlić, lecz żeby popatrzeć na innych ludzi, którzy żyją.

Niewielka grupa muzyków gra jazz otoczona wianuszkami zachwyconych turystów. Kieszonkowiec zauważa, że go obserwuję, i rezygnuje z próby sięgnięcia do torebki jakiejś kobiety. *Rzadkie zjawisko*. Inna kobieta siedzi przy karcianym stoliku przykrytym bordowo-złotym obrusem i czeka na kolejnych turystów zainteresowanych wróżką z kart tarota.

— Ty. Podejdz tu.

Kręcę głową.

— Nie, dziękuję.

— Powrózę za darmo.

— W tym mieście nic nie jest za darmo — odpowiadam.

— Tylko dla ciebie i tylko teraz. Twój smutek odstrasza innych klientów.

A niech to. A już myślałam, że dobrze mi idzie udawanie przeciętnej osoby, która chłonie atmosferę tego miejsca.

Ponownie zaprasza mnie gestem do stolika i jest jasne, że nie zostawi mnie w spokoju.

— Dobrze — Wstaję z ławeczki i zerkam na dzieciaka, który wygląda, jakby czaił się na moją torebkę. — Nie dzisiaj, mały.

Obrzuca mnie złym spojrzeniem i gdzieś znika.

Siadam na składanym krzeselku i wpatruję się we wróżkę. Ma ciemną, gładką skórę, a włosy, siwiejące na skroniach, są w większości ukryte pod piękną chustką owiniętą wokół głowy.

— Powrózę ci za darmo; wtedy będziesz mniej smutna, a ja znowu będę miała klientów, którzy mi zapłacą.

— Dobrze, zmuszasz mnie do tego tym marudzeniem, miejmy to już za sobą.

Chwytam mocniej torebkę i na polecenie wróżki stukam w talię kart. Następnie rozdzielamy je, przekładamy i wreszcie ona wyklada pierwszą z nich na stół.

Śmierć.

Bardzo stosownie, bardzo.

Przykładałam dłoń do czoła, ona jednak macha palcem nad stolikiem.

— Nie, to dobrze.

— Naprawdę? Śmierć to dobra karta?

— Oznacza zmianę, transformację, zakończenia i początki. Musisz zostawić przeszłość za sobą, jeśli chcesz otworzyć się na przyszłość i możliwości, które na ciebie czekają. To twój czas. Czas, żeby zacząć na nowo i zostawić to, co było, na rzecz tego, co może nastąpić.

Przełykam gulę w gardle, gdy mówi o nagłych, nieoczekiwanych zmianach. Mam wrażenie, jakby porwała mnie olbrzymia fala przypyływu, której nie potrafię uciec. Wróżka opowiada o konieczności porzucenia emocjonalnego bagażu.

Gdy wreszcie kończy, czeka w milczeniu, aż spojrzę jej w oczy.

— Teraz możesz iść.

— Czekaj, co? To wszystko? — Spoglądam znowu na kartę, po czym z powrotem na nią.

— Potrzebowałaś tylko tej jednej karty. Wiesz już, co powinnaś zrobić. Nie jesteś głupią dziewczyną i przed tobą mnóstwo życia. Idź i żyj.

Wstaję chwiejnie z krzesła.

— Nie wierzyłaś, ale teraz już wierzysz. Moje zadanie skończone. Możesz dać mi napiwek, jeśli chcesz.

Ta kobieta... Nie wiem nawet, co jej powiedzieć. Przejrzała mnie na wylot, dostrzegając istotę rzeczy. Mogłabym powiedzieć, że zdołała odczytać mowę mojego ciała, gdy siedziałam na ławce, ale to nie ona przetasowała karty.

Wyławiam z torebki dwudziestkę i kładę na stoliku.

— Dziękuję.

Żegna mnie królewskim skinieniem głowy i odchodzę od stolika, nadal nie mogąc się otrząsnąć.

Tak jakbym potrzebowała kolejnego znaku.

Jutro. Jutro pojadę do domu i warsztatu Kane'a i zacznę nowe życie.

Rozdział 8

Temperance

Następnego poranka wychodzę z mieszkania i uśmiecham się na widok pomalowanych prześcieradeł powiewających na wietrze. Na szczęście wczoraj nie było mnie w domu dostatecznie długo, żeby Harriet skończyła swoje zabawy, i udało mi się nie zobaczyć jej w towarzystwie przyjaciela.

Moje postanowienie niemal słabnie, gdy wychodzę na ulicę i wzywam taksówkę, przypominam sobie jednak, że mam jeszcze jeden pilny powód, żeby tam pojechać — w garażu zamknięty jest bronco. Tahoe jest u wulkanizatora, bo okazało się, że *wszystkie* opony są do wymiany, a ja naprawdę potrzebuję samochodu.

Nawet nie tknę żadnego z innych samochodów, obiecuję sobie w taksówce, obserwując, jak na mapie w telefonie coraz bardziej zbliżamy się do czerwonej kropki wskazującej miejsce docelowe.

Gdy docieramy do najbliższego mu skrzyżowania, stukam w przegrodę oddzielającą mnie od kierowcy.

— Proszę mnie tu wysadzić.

Kierowca zatrzymuje samochód, a potem spogląda na mnie i na stojące wokół opustoszałe budynki.

— Na pewno? To miejsce nie wygląda na bezpieczne, proszę pani.

Zapewne ma rację, ale i tak czuję, że nie powinnam pozwolić, żeby wysadził mnie bezpośrednio przed właściwym domem.

Nie wiem, dlaczego zależy mi, żeby jakiś przypadkowy taksówkarz nie dowiedział się, dokąd zmierzam, ale tak jest. Może dlatego, że Kane tak długo utrzymywał to przede mną w sekrecie.

A poza tym wiadomość od Mouna potwierdziła, że obserwujący mnie mężczyzna w czarnym samochodzie robił to na jego polecenie. Co oznacza, że mogę liczyć na jakąś szcątkową ochronę.

— Tak, wszystko w porządku.

Krzywię się, wypowiadając te słowa. *W porządku*. Nie cierpię tego wyrażenia, to zawsze gówno prawda. Nikt w rzeczywistości nie mówi tego poważnie. Dzisiaj jednak postanowiłam znaleźć się o krok bliżej tego, żeby naprawdę tak było.

— To twój pogrzeb — mówi, gdy wsuwam pieniądze przez otwór w pleksi.

Słowo „pogrzeb” trafia mnie jak cios poniżej pasa.

— Wielkie dzięki — mamrocę, wysiadając z samochodu i spoglądając na mapę na telefonie. Taksówkarz odjeżdża. Powinnam teraz patrzeć, dokąd mam iść, ale nie mogę się uwolnić od wspomnienia trumny brata wjeżdżającej do krypty w mauzoleum. Pogrzeb pochłonął sporą część pieniędzy, które dostałam od Valentyny za pierwszą rzeźbę, jednak niezależnie od tego, jak bardzo Rafe narozrabiał w życiu, zasługiwał, żeby zapewnić mu godny pochówek.

Przełykam łzy i zmuszam się, żeby ruszyć w kierunku domu.

Ciemny SUV jedzie powoli za mną. *W ogóle nie rzuca się w oczy*, prychnam do siebie, bo to lepsze niż pozwolenie, żeby łzy zaczęły płynąć mi po twarzy.

Z każdym krokiem próbuję się przygotować na to, co nastąpi.

Dam radę.

To przecież tylko budynek, nic więcej. Cegły, stalowe belki, metal i kłamstwa.

Zgrzytam zębami i prę do przodu. Gdy zatrzymuję się przed domem, który, sądząc z mapy, jest tym właściwym, chociaż nie ma na nim adresu, podchodzę do drzwi.

Tak, to może być ten. Zerkam przez ramię na SUV-a, który zatrzymuje się na parkingu przed budynkiem naprzeciwko.

Co to, u licha, oznacza? Że stoję przed niewłaściwym domem? Albo że ten, kto jest w samochodzie, nie chce przyciągać uwagi, stając przed właściwym?

Czuję przyływ gniewu, sięgając do kieszeni po klucze. Wsuwam jeden z nich do zamka. Pasuje.

Zbieram siły, nim go przekręcę. Słyszę odgłos przesuwającej się sztaby i — zbierając całą odwagę — naciskam klamkę, która nie ustępuje.

— Czy to jakiś pieprzony żart?! — Kopię w drzwi roboczym buciorem obitym blachą i natychmiast tego żałuję, gdy ból przeszywa mi nogę.

— W takim razie jak, u licha, mam się dostać do środka? — wykrzykuję do wszechświata, mając ochotę znowu w coś przywalić, ale nie jestem aż tak głupia — albo wytrzymała na ból — żeby to zrobić.

Wtedy zauważam skrzynkę. Ciemnoniebieską i pasującą kolorem do garażowych drzwi. Jest zamknięta na kłódkę, ale nie widzę, gdzie można w nią wsunąć klucz.

Świetnie. Superszpiegowska technologia dla superskrytego płatnego zabójcy.

Pieprz się, Kane. Za każdym razem gdy wypowiadam jego imię, choćby w myślach, czuję, jakby ktoś wbijał mi nóż we wnętrzości.

Nie będę już więcej wspominać jego imienia. Koniec z tym.

Chwytam kłódkę między kciuk a palec wskazujący. Gdy obracam ją w lewo i w prawo, nagle się otwiera.

— Co, u licha? — Wysuwam ją i przyglądam się płaskiej części. Czytnik linii papilarnych. *I znał mój odcisk palca.*

To też zaplanował.

To stwierdzenie jest kolejnym ciosem pięścią w żołądek, niemal zginam się w pół.

Wiedział, że wrócę tu bez niego. Przelykam łyżę i żal z powodu tej zdrady i otwieram skrzynkę, w której znajduje się klawiatura.

Świetnie, kurwa, świetnie. *Tak jakbym znalazła jakiś magiczny szyfr, który pozwoli mi wejść do środka.*

Nawet nie wiem, kiedy były jego pieprzone urodziny.

Jeszcze więcej bólu.

Niemal na ślepo wprowadzam jedyne, co przychodzi mi do głowy: datę własnych urodzin.

Pieprzone drzwi garażowe zaczynają się unosić. Pojedyncza łza spływa mi po policzku, podczas gdy kolejne napływają do oczu, sprawiając, że nie jestem w stanie dostrzec pięknych samochodów we wnętrzu. Zatraskuję skrzynkę i z powrotem zamykam ją na kłódkę.

Potrzebuję zebrać wszystkie siły, żeby wejść głębiej.

Jedna stopa przed drugą. Krok za krokiem. Lewa, prawa, lewa, prawa.

Idę w konkretnym kierunku: panelu sterowania, który pozwoli mi zamknąć za sobą drzwi.

Dopiero gdy ich krawędź dotyka ziemi, znowu oddycham.

To błąd.

Czuję znajomy zapach oleju, kurzu i spalin. Uderza mnie tak silna fala tęsknoty, że o mało się nie przewracam.

Utrzymuję się na nogach jedynie siłą woli.

Przesuwam wzrokiem po samochodach z napędem na cztery koła, które niegdyś budziły

we mnie takie pożądanie, i nagle uświadamiam sobie, że się myliłam.

Nie dam rady tego zrobić.

Nie dzisiaj.

Nie jestem gotowa.

Muszę zabrać bronco i uciekać stąd jak najszybciej, zanim ziemia usunie mi się spod stóp.

Mój samochód jest zaparkowany po przeciwnej stronie garażu przy drugich drzwiach. Biegnę do niego, ignorując fakt, że przegrałam walkę o powstrzymanie łez. Jedna po drugiej spadają na podłogę, gdy lawiruję pomiędzy lusterkami i zderzakami samochodów.

Chwytam za klamkę i szarpnięciem otwieram drzwiczki. Wskakuję do środka, jakby ścigało mnie stado warczących wilków... *albo wspomnienia, którym nie chcę stawić czoła.*

Padam na siedzenie i zaciskam powieki, gratulując sobie w duchu, że jednak znowu nie udało mu się mnie złamać.

Dopóki nie otworzę oczu i nie zobaczę kawałka papieru leżącego na siedzeniu pasażera i pokrytego znajomym, zamaszystym pismem.

Przepraszam. Musiało tak być.

Przeszywa mnie taki ból, jakby ktoś wbił we mnie poszarpany kawałek metalu.

— Nawet nie waż się mnie przepraszać, ty pierdolony tchórze! Jak śmiesz mnie przepraszać! — Moje krzyki odbijają się echem po całym wnętrzu.

Chwytam kawałek papieru i mnę go w dłoni. Otwieram drzwiczki.

— Nie możesz mnie przepraszać za to, że raz za razem mnie okłamywałeś i że *zabiłeś* *mojego brata!*

Wrzeszczę jak opętana przez demony, przed którymi nie można uciec, i nagle chwila, w której mój świat się skończył, staje mi przed oczami z przerażającą jasnością.

Trochę ponad miesiąc wcześniej

W jednej chwili dłoń Kane'a jest pusta, w następnej już trzyma pistolet wymierzony w Rafe'a.

Pociąga za spust.

Wokół wybucha chaos, kiedy huk wystrzału odbija się echem w holu lotniska. W głowie nagle zapada mi cisza, kiedy widzę, jak Rafe ze zdziwionym wyrazem twarzy chwyta się za pierś, a na jego koszuli wykwiła ciemna plama krwi.

Nie słyszę nawet swojego krzyku.

Nic nie słyszę.

Kolejny wystrzał niweczy moje marzenia o przyszłości. Ciało mojego brata rozrywa następna kula i osuwa się on bez życia na podłogę.

Nie wierzę w to, co widzę.

Krew. Tyle krwi. Wszędzie.

— Nie! — krzyczę i spoglądam na Kane'a. Jego twarz pozbawiona jest wyrazu. *To się nie dzieje naprawdę. To nie może się dziać naprawdę. Wymyśliłam to.*

Ktoś rzuca mnie na podłogę, tuż zanim rozlegnie się kolejny strzał. Moja głowa eksploduje bólem. Z policzkiem przyciśniętym do podłogi widzę jak przez mgłę kolejne ciało upadające obok.

Kane.

Teraz jego twarz traci swój bezduszny wyraz wykręcona w paroksyzmie bólu. Kane chwyta się za pierś tak samo jak przed chwilą Rafe, a oczy wywracają mu się do góry.

Jego wargi poruszają się i mogłabym przysiąc, że mówi jedno słowo.

— *Przepraszam.*

Czuję kolejną falę przerażenia, patrząc, jak człowiek, którego kocham, umiera.

— *Nie! To nie może być prawda! Kane nie może umrzeć!* — Poruszam wargami, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

Gdy wszystko spowija czerń, nie obchodzi mnie nawet, czy jeszcze kiedykolwiek się obudzę.

Rozdział 9

Kane

Okolo ośmiu tygodni wcześniej

Ransom zapoczątkował całe to gówno z powodu dupy. Zawsze w końcu rozchodzi się o dupę. Powiedziałem mu, żeby trzymał się z daleka od Magnolii Maison. Zadawanie się z nią jest mniej więcej tak samo mądre jak obnoszenie się z czarną wdową na ramieniu — zamiast jakiejś papugi.

Może właściwie czarna mamba byłaby lepszym porównaniem. W przeszłości Magnolii mnóstwo jest martwych ciał mężczyzn, którym wydawało się, że potrafią ją okiełznać.

Ponieważ jestem cholernie pewien, że się nim zainteresowała, myślę, że Ransom może nawet miałby szansę, ale i tak jakoś udało jej się wystawić go na odstrzał. A teraz jego siostra też jest w niebezpieczeństwie.

Niech cię szlag, Ransom.

Kobieta, która śpi w moim łóżku, nie będzie płacić za błędne wybory brata. Przynajmniej nie dopóki ja jeszcze oddycham.

Nie mogę jednak powiedzieć mu, jak bardzo jestem na niego wściekły, dopóki nie uda mi się z nim skontaktować. Aż do teraz moje wiadomości zamieszczone w ciemnej sieci pozostawały bez odpowiedzi.

Zgaduję, że gdziekolwiek jest, nie ma tam internetu. A gdyby nawet był, to ten facet rzadko odpowiada nawet na zwykłe maile, nie mówiąc już o wizytach w ciemnej sieci.

Ransom pracuje na tradycyjnych zasadach: na podstawie informacji przekazywanych z ust do ust i poleceń. Zazwyczaj bierze tylko te zlecenia, co do których jest przekonany, że niczym mu nie zagrażają, a klienci nie próbują go wydymać.

Wszystko jednak zmienia się, gdy zaczyna chodzić o najsilniejszy narkotyk na świecie — dupy. Dlatego właśnie znaleźliśmy się w tej sytuacji.

Wyciągam telefon i dzwonię do Magnolii. Odbiera dopiero po czwartym sygnale.

— Lepiej, żeby to było coś ważnego.

— Sądziś, że zawracałbym sobie głowę, gdyby było inaczej?

— Rozłączę się, jeśli będziesz rozmawiał ze mną tym tonem, *Saxon*.

Magnolia zna jedynie mój pseudonim i wie, czym się zajmuję. A w ogóle się tym nie przejmując, tylko udowadnia, jak bardzo jest odważna. Lub może po prostu wie, że nigdy nie sprzątnąłbym kobiety.

Ma rację. Mam swoje granice, których nigdy nie przekroczę, i to jedna z nich.

— Odzywał się do ciebie? — Nie muszę jej mówić, o kogo chodzi.

— Odkąd powiedział, że schodzi do podziemia, nie.

— Masz jakiegokolwiek nowe informacje na temat tego, z czym mamy do czynienia? Musi być jakiś kurewsko dobry powód, dla którego nie zrealizował zlecenia na czas.

Po drugiej stronie słuchawki zapada milczenie.

— Lepiej powiedz mi wszystko, co wiesz, i to natychmiast, Magnolio.

— Jest źle. Naprawdę źle. — Obniża głos do szeptu. Gdy kobieta, która widziała tyle, ile Magnolia, i która robiła to, co ona, mówi, że jest *naprawdę źle*, to znaczy, że jest *naprawdę kurewsko źle*.

— Mów.

— Nie wiedziałam. — Sprawia wrażenie, jakby słowa z trudem dobywały się jej z gardła.

— Mów, kurwa.

— To był transport ludzi. — Słyszę w jej głosie wstyd, ale krew mrozi mi się w żyłach.

— *Kurwa*. — Wstaję z krzesła i kładę wolną rękę na karku. — Powiedz, że żartujesz, kurwa.

— Chciałabym, naprawdę. Nie wiedziałam. Nigdy nie naraiłabym mu tej roboty, gdybym wiedziała. Wiesz...

— Gównu wiem, kobieto. Handlujesz seksem. Dlaczego miałbym sądzić, że nie zdecydujesz się na handel ludźmi?

Są na tym świecie osoby, których naprawdę kurewsko nienawidzę, i do tej kategorii zaliczam handlarzy żywym towarem. To najgorsze szumowiny i każdy z nich zasługuje na taki los, jaki funduje innym.

— Nie wiedziałam! Nigdy bym tego nie zrobiła! Musisz mi uwierzyć. Ja też *byłam sprzedana*. Nigdy nie zrobiłabym tego nawet komuś, kogo nienawidzę, nie mówiąc już o nieznajomych. Błagam, Saxonie. Musisz mi pomóc to naprawić.

Przechylałam głowę i wpatruję się w belki nad sobą.

— To popieprzone i dobrze o tym wiesz. Ransom nigdy nie przemyczałby ludzi. To ty go w to wplątałaś. Taki był twój plan? Pragnęłaś jego śmierci?

— Nie! Ja go kocham!

— Jezu pierdolony Chryste, i sądzisz, że w to uwierzę?

— To nie wierz, po prostu znajdź go, zanim oni to zrobią.

Już mam jej powiedzieć, że ludzie, z którymi go skontaktowała, zdążyli zapłacić mi pół miliona za Ransom żywego lub martwego, ale tego nie robię. Magnolii nie można ufać i już nieraz się o tym przekonałem.

Zamiast tego mówię tylko:

— Zadzwoń do mnie, jeśli dowiesz się czegokolwiek nowego. Rozumiesz?

— Tylko jeśli ty zrobisz to samo.

— Zgoda. — Rozłączam się, kiedy to kłamstwo jeszcze wisi w powietrzu. Wiem, że prędzej czy później będę musiał się z nią rozmówić, ale mogę liczyć, że będzie to raczej później.

Teraz bowiem cała ta cholerna gra uległa zmianie. Magnolia naraiła Ransomowi robotę polegającą na przemyśle ludzi i to wyjaśnia, dlaczego zleceniodawcy żądają jego śmierci.

Nie dostarczył towaru. I nie robi tego. Znając go, mogę zakładać, że już wypuścił wszystkich tych nieszczęśników, dając im na drogę trochę pieniędzy na dobry początek.

I robiąc to, wystawił siebie i swoją siostrę na śmierć.

Zerkam na monitor po lewej i wpatruję się w ciemne włosy rozsypane na poduszce. Temperance zwinęła się na mojej połowie łóżka.

Jak, u diabła, mam wejść pod kołdrę i wdychać słodki zapach jej skóry, wiedząc, że nigdy nie będzie bezpieczna, dopóki nie pošlę ich wszystkich do piachu?

Nie mogę.

Potrzebny mi plan.

Ani ona, ani Ransom już nigdy nie będą mogli odetchnąć spokojnie, jeśli ktokolwiek zaangażowany w ten cały bałagan przeżyje i będzie mógł zlecić ich zabójstwo.

Nie mogę uwierzyć, że Ransom ucieka. Musi przecież wiedzieć, że to naraża ją na niebezpieczeństwo, że po nią przyjdą. Może i jest facetem o wątpliwej moralności, ale nie kompletnym gównem. Fakt, że nie dostarczył ludzkiego towaru, sam w sobie tego dowodzi. Nie ma mowy, żeby pozwolił, aby siostra zapłaciła za jego błąd.

Nie, on wie, że kryję mu tyłek. Cholernie dawno temu zawarliśmy układ — gdyby cokolwiek mi się stało, on ma się zająć moją mamą, a gdyby cokolwiek złego przydarzyło się

jemu, będę troszczył się o jego siostrę.

Cóż, Ransom, troszczę się o nią. Nie planowałem jednak, że zaangażuję się tak bardzo.

Nigdy nie powinienem był jej tknąć w tym klubie. Skoro tylko przeszła przez drzwi, wiedziałem, że to jakaś pułapka, jednak obserwowanie tak grzesznej pokusy, jak Temperance Ransom, sprawiło, że miałem to gdzieś. Byłem gotowy podjąć ryzyko, bo wiedziałem, że poradzę sobie ze wszystkim, co los mi rzuci. Teraz — gdybym miał zgadywać, kto zaaranżował tamto spotkanie — wiedziałbym dokładnie, kogo przede wszystkim podejrzewać.

Magnolię.

To kolejny powód, dla którego jej nie ufam. Zawsze ma jakiś ukryty motyw i teraz zaczynam to dostrzegać. Chciała, żebym związał się z Temperance, bo wiedziała, że poruszę niebo i ziemię, żeby ocalić jej brata.

Po kilku dalszych chwilach obserwowania śpiącej Temperance odrywam spojrzenie od monitora. Mam jeszcze coś do zrobienia przed wschodem słońca.

Rozdział 10

Kane

Okolo pięciu tygodni wcześniej

Widok Temperance w dżinsach i starej koszulce, z włosami związanymi bandaną i z dłonią na kierownicy ślizgacza, jest o wiele bardziej druzgoczący niż obserwowanie jej w pracy w pociągająco kusych spódniczkach i bluzeczkach.

Ta kobieta naprawdę nawet sobie nie uświadamia swojej siły. Jest piękna, ale nie boi się pobrudzić rąk. Ciężko pracuje, ale rzadko pozwala innym dostrzec swoją inteligencję. Nie trwało długo, nim uświadomiłem sobie, że naprawdę mieści w sobie wszystko.

I co, u diabła, mam zrobić z tą informacją?

Zatajam przed nią więcej, niż mówię, jednak utrzymywanie w niewiedzy to najlepszy sposób zapewnienia jej bezpieczeństwa. A w tej chwili tylko to się liczy, a przynajmniej ja nie mogę sobie pozwolić na myślenie o niczym więcej.

Sama myśl o tym, że ktoś mógłby spróbować wydobyć informacje z Temperance — albo choćby drasnąć jej skórę — wywołuje we mnie taką wściekłość, że mógłbym rozerwać tę łódź na pół. Zrobiłbym wszystko, żeby chronić tę kobietę. *Wszystko.*

Ona tymczasem mija kolejną odnogę bagien i wbrew wszystkiemu uśmiecham się. Co robiłem nieczęsto, zanim jej nie spotkałem, jednak Temperance potrafi to we mnie wyzwolić.

Na chwilę zwalnia i pokazuje:

— Tam, przed nami, widzisz?

Odwracam głowę we wskazanym kierunku i sięgam po czterdziestkę piątkę wsuniętą za pasek dżinsów. Pistolet tak pasuje do mojej dłoni, jakbym się z nim urodził. Kto wie, może tak było.

Może urodziłem się też, żeby trzymać w ramionach Temperance Ransom.

Odsuwam od siebie tę myśl. Nie wiem, jaką pułapkę mógł tu zastawić jej brat.

To chłopak z bagien i nie zdziwiłoby mnie, gdyby miał pochowane gdzieś wśród drzew jakieś miny odłamkowe z czasów II wojny światowej, które w każdej chwili mogą urwać nam głowy.

— Podpłyn powoli — mówię, a ona dodaje jedynie tyle gazu, żeby łódź nadal poruszała się do przodu.

— Przecież i tak nas usłyszą.

— Nie tym się martwię. — Unoszę przed sobą pistolet, gotowy zdjąć każdego, kto mógł tu przybyć przed nami.

— Nie zastrzel mojego brata.

— Jeśli on wystrzeli pierwszy, to niczego nie obiecuję.

Tak mówię, ale nie będzie to potrzebne. Wiem, że Ransom tutaj nie znajdziemy; nie ma mowy, biorąc pod uwagę, jak głośna jest łódź, którą płynie, i jak łatwo Temperance tu trafiła. Ransom wie, że stawką jest jego życie, a to oznacza, że ukrył się w miejscu znacznie trudniejszym do odnalezienia. Nie chcę tego mówić jego siostrze, bo stłamszenie kielkującej nadziei wydaje mi się okrutne.

Musisz mieć twardszy tyłek, Savage.

Kręcę głową, jednak ona tego nie widzi. Jeśli chodzi o Temperance, nigdy nie nauczę się być twardszy i obawiam się, że to mnie w końcu zabije.

Przeszukujemy chatę i znajdujemy w niej notatkę napisaną jakimś szyfrem, który tylko

Temperance potrafi odczytać.

Nie szukajcie mnie.

Tak jakby to było możliwe, ty pieprzony kutasie.

Ransom nie jest aż tak naiwny, żeby nie wiedzieć, że to, co zrobił, ma konsekwencje. W powietrzu unosi się zapach gotowanego jedzenia, więc jeszcze niedawno tu był. Nie potrzebuję dotykać popiołów w żeliwnym palenisku, żeby wiedzieć, że nie będą całkiem zimne.

Teraz muszę tylko poczekać, aż Temperance odwróci się na moment tyłem, co też po chwili robi. Rusza ku drzwiom, przyznając się do porażki.

Nadal mnie zadziwia, że potrafi stanąć plecami do kogoś, o kim wie, że jest płatnym zabójcą. Ale ona chyba nie postrzega mnie w taki sposób i nie chce, żeby kiedykolwiek zaczęła.

Kucam obok stosu drewna i widzę skrawek papieru — list od Ransoma.

Sprawy się totalnie popierdoliły, muszę się przyczaić. Nie zawieźdź mnie.

Wsuwam list do kieszeni i chowam między kawałkami drewna telefon na kartę. Jest w nim zaprogramowany tylko jeden numer, więc nie będzie miał wątpliwości, do kogo zadzwonić. Kiedy tylko go włączy, zobaczy wiadomość.

Plany się zmieniły.

Tak jak wkrótce zmieni się życie nas wszystkich.

Teraz mogę tylko mieć cholerną nadzieję, że Ransom dostanie tę wiadomość i zadzwoni do mnie, inaczej wszyscy mamy przesrane.

Rozdział 11

Kane

Kilka godzin później, po powrocie z bagien i wyjściu z warsztatu tego gnojka Elijaha, siedzę w swoim centrum dowodzenia, czując, że serce bije mi niczym wojenne bębny przodków.

Widziałem, jak on na nią patrzy.

Dostrzegłem, że jej *pragnie*.

Ale co mnie naprawdę doprowadziło do wściekłości?

Zobaczenie jak sprawił, że *zaczęła w siebie wątpić*.

Może i kiedyś Elijah zrezygnował z niej ze szlachetnych pobudek, ale widziałem w każdym jego ruchu, że gdyby dostał kolejną szansę, nie zrobiłby tego ponownie.

Nienawidzę, że zmusił mnie do postawienia sobie pytania, które ciągle od siebie odsuwałem.

Czy ja kiedykolwiek dam radę z niej zrezygnować?

Zerkam na monitor i widzę Temperance siedzącą przy kuchennym blacie, pogrążoną w pracy na laptopie.

Podoba mi się, że jest tutaj, w moim domu. *No dobra, po prostu mi się podoba*, i kropka.

Czy dałbym radę patrzeć na nią z innym mężczyzną?

Zanim zdążę sobie odpowiedzieć, rozlega się sygnał jednej z bezpiecznych linii telefonicznych i nieruchomieję.

Ransom.

Odbieram.

— Słyszałeś nas dzisiaj?

— Dlaczego, u diabła, pozwoliłeś mojej siostrze węszyć na bagnach? Co, gdyby tam byli? Miałeś zapewnić jej bezpieczeństwo, ty kupo gnoju. Jeśli trzeba, zamknij ją w lochu i usiądź na władze.

— Nic się nie stało — mówię, bo nie mogę mu powiedzieć, że prędzej umarłbym, niż pozwolił, żeby coś jej się stało.

— Nie podoba mi się to.

— To może nie powinienes przyjmować roboty polegającej na *przemycie ludzi*, do kurwy nędzy.

Ransom milknie.

— Nie wiedziałem. Przysięgam na wszystko, że nie miałem o tym pojęcia. Wiesz, że nigdy bym się tego nie podjął.

— Ale zrobiłeś to i teraz twoja siostra też jest narażona.

— Myślisz, że o tym nie wiem? Myślisz, że nie miałbym ci ochoty wręczyć swojego myśliwskiego noża, żebyś mnie za to wypatroszył? Spierdoliłem sprawę. Spierdoliłem i to bardzo, ale nie pozwolę, żeby to na nią wpłynęło. Musisz mi obiecać, że to się na niej nie odbije.

— W jego głosie brzmi desperacja.

— Jest tylko jeden sposób, żebym mógł to obiecać.

— Mów!

Zerkam na monitor i widzę, że Temperance przegląda mi zawartość lodówki.

Znienawidzi mnie za to na resztę życia, myślę i zaciskam powieki.

— Co takiego? Mów!

Mogę żyć z tym, że znienawidzi mnie na zawsze, o ile tylko przeżyje. Jedynie to się liczy.

— Musisz umrzeć, Ransom. I to ja cię zabiję.

Rozdział 12

Kane

Stracę ją. Nie ma co do tego wątpliwości. Jedyne nie ustaliłem jeszcze, jak szybko się to stanie.

Ransom zgodził się na mój plan i teraz czuję, jakbym był piaskiem przesypującym się w klepsydze. Mój koniec oznacza jej bezpieczeństwo.

Mógłbym spędzić resztę czasu na byciu wściekłym, że gdy wreszcie znalazłem kobietę, która mogłaby poradzić sobie z życiem, jakie prowadzę, będę ją musiał zaraz stracić.

Ale mogę też sprawić, żeby każda pozostała nam sekunda się liczyła.

Wybieram to drugie.

Wiem, że to egoistyczny wybór, gdy wykrzyczane przez nią moje imię odbija się echem od ścian piwnicy w klubie. Tym klubie, w którym się poznaliśmy.

W jakiś sposób to, że kobieta, którą podejrzewam o rozpętanie całej tej nieprzyjemnej afery, zatrzymuje nas, kiedy wychodzimy z Przystani, wydaje się pasować do sytuacji.

Widząc, jak bardzo rozgorączkowana jest Magnolia, zaczynam niemal jej współczuć, *dopóki* nie zdradza Temperance, jaki dokładnie ładunek miał przewieźć Ransom. Teraz mam ochotę udusić ją gołymi rękami.

— Czy to, kurwa, naprawdę było konieczne? Lepiej ci teraz?

Temperance spogląda na mnie, błagając spojrzeniem, żebym powiedział, że Magnolia kłamie.

— Czy to prawda?

Niezależnie od tego, jak bardzo jestem wkurwiony na Ransoma za to, że wpakował nas wszystkich w bagno, naprawdę nie mogę patrzeć, kiedy Temperance pęka serce, więc staram się złagodzić cios. *Pieprzona Magnolia*.

— To prawda. I jestem pewien, że właśnie z tego powodu nie dokończył roboty. Nie mógłby żyć sam ze sobą, gdyby to zrobił. Twój brat też ma granice, których nie chce przekraczać, jak my wszyscy.

— Nie wierzę, że mógłby...

— Uwierz, bo tak było — mówi Magnolia. — Ale teraz ktoś musi mi powiedzieć, co, do diabła, się dzieje. Gdzie on się podział? Jeśli ucieka, to chcę jechać z nim.

Naprawdę wymaga ode mnie całej samokontroli, żeby nie powiedzieć jej, że już nigdy go nie zobaczy, ale gryzę się w język.

— Czy możemy już iść? — Temperance wygląda na załamana i niczego nie pragnąłbym bardziej niż zabrać ją stąd jak najszybciej.

— Co? Nie jesteś w stanie znieść myśli o tym, co robi twój brat, żeby opłacać rachunki? Myślisz, że jesteś lepsza od nas, bo załapałaś się na tę dobrze płatną pracę u Ke-Ke?

Otwieram usta, żeby zrugać Magnolię, jednak Temperance odzywa się pierwsza.

— Nie masz pojęcia, co teraz czuję! I jak mogłaś mi nie powiedzieć, że jesteś z Rafem? Wciągasz mnie tu, wciskasz mi jakieś półprawdy i jakieś bzdurne ostrzeżenia. W co ty grasz, Magnolio?

— W jedyną grę, w której kiedykolwiek zależało mi na wygranej — w życie.

— Wystarczy — warczę. — Koniec tej rozmowy. Nie wiemy, gdzie on jest. Gdybym wiedział, i tak bym ci nie powiedział. Nie tutaj, nie teraz. Tu jest zbyt wiele uszu i zbyt wiele oczu. A poza tym nie ufam ci za grosz, Magnolio. Będziesz więc musiała poczekać, aż

sprzątniemy ten bałagan.

— Ty sukinsynu!

— Skończyliśmy. — Chcę jedynie jak najszybciej wyprowadzić stąd Temperance, jednak gdy tylko otwieram drzwi, zamieram na widok twarzy ze swojej przeszłości.

Lewis Giles.

Brat mojego byłego ojczyma — człowieka, który wepchnął mnie na ścieżkę, jaką teraz kroczę. Nieuczciwy prokurator, który wraz z ojczymem posłał kto wie ilu niewinnych ludzi do celi śmierci.

Przez chwilę zastanawiam się, czy mnie nie rozpozna, ale potem uświadamiam sobie, że po operacji plastycznej nie poznałaby mnie nawet własna matka.

Krew szumi mi w uszach, zagłuszając wszystko inne. Magnolia wysuwa się przede mnie, żeby porozmawiać z Gilesem. On wyciąga rękę i wpatruję się w nią, jednak chyba kompletnie oszalał, jeśli sądzi, że ją uścisknę.

Słyszę, jak mówi coś o tym, że kupił od kogoś udziały w klubie, jednak tak bardzo staram się zachować panowanie nad sobą, że nie obchodzi mnie nic poza tym, żeby w końcu stąd wyjść.

On nadal wyciąga do mnie dłoń.

— Wychodzimy — mówię, pragnąc jak najszybciej zabrać Temperance jak najdalej od niego.

Odchodząc, czuję jego wzrok wwiercający mi się w plecy.

Gdybym wierzył w znaki, powiedziałbym, że ten jest bardzo, bardzo zły.

Rozdział 13

Kane

Oglądam nagrania szybkich randek z kamer bezpieczeństwa i nadal nie mogę wyjść ze zdumienia, że ktoś ośmielił się włączyć alarm przeciwpożarowy w nieruchomości związanej z Lachlanem Mountem. To mężczyzna, którego widziałem siedzącego przy barze, i mam ochotę nakopać sam sobie do tyłka, że nie zrobiłem zdjęcia, które mógłbym przepuścić przez program do rozpoznawania twarzy.

Musi być jakoś połączony z przemytnikami ludzi. Tylko ktoś, kto ma aż takie jaja, odważyłby się wywołać gównoburzę w nieruchomości chronionej przez Lachlana Mounta.

Sądziłem, że Seven Sinners to najbezpieczniejsze miejsce dla Temperance, nie licząc mojego domu, ale najwyraźniej się myliłem.

Co oznacza, że musimy przyspieszyć wykonanie naszego planu. Nie możemy ryzykować przewlekania sprawy.

Ta świadomość mnie zżera i wprawdzie egoistycznie chciałbym zatrzymać Temperance u siebie jak najdłużej, ale wiem, że to niemożliwe.

Nadal przeglądam nagrania — ze wszystkich kamer, ze wszystkich kątów, kadr po kadrze. Wreszcie zatrzymuję jedno ujęcie.

Temperance i ja przytuleni po tym, kiedy wybiegła z łazienki. Klikam *PrintScreen* i czekam, aż zdjęcie się wydrukuje, i porywam je z drukarki.

Wpatruję się w nie.

Chciałbym móc ją trzymać w ramionach już na zawsze.

Ale nie mogę. Nasz czas niemal dobiegł końca. Wkrótce znienawidzi mnie już na zawsze.

Kiedy to się skończy, będzie chciała spalić każde związane ze mną wspomnienie i napluć na popioły. Myśl o tym przeszywa mnie bólem, ale wiem, że nie ma innego wyjścia.

Składam kartkę papieru i wsuwam do kieszeni, kiedy jeden z bezpiecznych telefonów brzęczy na znak, że dostałem wiadomość. Przychodzi z numeru aparatu, który dałem Ransomowi.

Jestem gotowy, gdy tylko powiesz. Ładunek nie zostanie odnaleziony.

Kurwa, już prawie czas.

Ale przynajmniej będzie bezpieczna. Będzie żyła. A tylko to się liczy.

Wpisuję odpowiedź.

Powiadomię Mounta. Bądź gotów wykonać ruch.

Ransom odpowiada równie szybko.

Będę gotowy.

Przynajmniej jeden z nas.

Rozdział 14

Kane

Uszczęśliwiam ją.

Tak właśnie powiedziała, nim trzasnęła drzwiczkami auta i — głośno tupiąc — ruszyła w kierunku windy w warsztacie.

Uszczęśliwiam ją. Chce, żebym był obecny w jej życiu.

Nie wie, że nie ma nic, czego pragnąłbym bardziej niż uszczęśliwiać ją przez resztę życia, ale żeby w ogóle było to możliwe, przede wszystkim musi przeżyć.

Nie mogę jej powiedzieć, co czuję...

Że pragnę tego samego, co ona.

Że nigdy wcześniej nie chciałem z nikim dzielić przyszłości.

Że nigdy wcześniej nie kochałem nikogo tak, jak kocham ją.

Że to, iż nie mamy przed sobą wspólnej przyszłości, będzie jedyną rzeczą, której będę żałował w życiu, chociaż powinienem żałować wielu innych.

Nie mogę nic z tego jej powiedzieć. Ale mogę pokazać.

Wyciągam telefon. Muszę poprosić o kilka przysług.

Obserwuję Temperance przedzierającą się przez dwie palety złomu, które kazałem dostarczyć, i tłukącą młotkiem w różne części.

W końcu obserwowanie jest czymś, czym się zajmuję na co dzień, więc nie ma w tym nic dziwnego.

Teraz jednak w głowie pojawiają mi się niebezpieczne myśli.

A może powinienem jej zdradzić plan? Może jest jakiś sposób, żeby to zadziało i żeby mnie nie znienawidziła.

Gdy spawa ze sobą dwa kawałki metalu, żałuję, że nie mogę zajrzeć jej do głowy i poznać wizji, która jej przyświeca.

Nie mam wątpliwości, że Temperance Ransom jest najsilniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem. Została wykuta w ogniu życia i wyłoniła się z niego jako ktoś wyjątkowy i piękny. Mimo że jest tak twarda, udało jej się zachować tyle miękkości, by troszczyć się o człowieka takiego jak ja.

Może nawet kochać człowieka takiego jak ja.

I dlatego właśnie nie mogę jej nic powiedzieć.

Najlepszym sposobem, żeby ją chronić, jest utrzymywanie w nieświadomości. Muszę pozwolić, żeby mnie znienawidziła. Nie może być cienia wątpliwości dla osób patrzących z zewnątrz, że to wszystko jest stuprocentowo prawdziwe.

Jej smutek.

Jej ból.

To ją zniszczy. Mnie również. Ale nie mam wyboru.

Zrobię wszystko, żeby ją chronić.

Nawet umrę dla niej.

Wyciągam z kieszeni zdjęcie i patrzę na nas razem, wykonując ostatnie telefony, które przypieczętują mój los.

Rozdział 15

Kane

Nie wiedziałem, że słowa mogą boleć bardziej niż postrzał, dopóki tego dnia Temperance nie spojrzała mi w oczy i nie powiedziała: „Proszę, nie próbuj być szlachetny, Kane. Nie mogę z ciebie zrezygnować, nie zrobię tego i nie możesz mnie o to prosić”.

Nigdy wcześniej nikt nie zarzucał mi, że jestem szlachetny. To nie jest część mojej pracy.

Dla Temperance jednak będę wszystkim, czego potrzebuje.

Gdy pociągam za spust, widzę na jej twarzy najpierw zdumienie, a potem przerażenie, kiedy wystrzał niesie się echem po hali lotniska.

Ransom upada, jak zaplanowaliśmy.

Krzyk Temperance boli bardziej niż kula uderzająca o moją kamizelkę. Paczka ze sztuczną krwią eksploduje i koszula i garnitur zalewają się czerwienią.

Jak automat robię to, co muszę, żeby przedstawienie wyglądało przekonująco, chociaż niszcę przy tym wszystko, co Temperance do mnie czuje.

Patrzy na mnie, gdy upadam na podłogę i bezgłośnie wypowiadam słowo „przepraszam”.

Widzę, że traci przytomność. Pewnie nawet nie poczuła ukłucia igły, kiedy ten drań tak mocno rzucił ją na podłogę. Jeszcze za to zapłaci.

Tak bardzo mi przykro, księżniczko.

Nie miałem wyboru. Musi być nieprzytomna w tej części przedstawienia. Nie może wiedzieć niczego, co mogłoby narazić ją na niebezpieczeństwo. Musi obudzić się pewna, że widziała zabójstwo brata, i że umarł jej na rękach.

To jedyny sposób.



Rozdział 16

Temperance

Dzisiaj

— Przepraszam.

Nadal widzę wargi Kane'a układające się w słowie, które widzę też na kartce zostawionej w bronco.

Bo wszystko zaplanował.

Znowu czuję się zdradzona i przeszywa mnie poczucie winy. *Pomogłam mu zabić swojego brata.*

Jaka siostra robi coś takiego? *Głupia.*

Spoglądam na pogniecioną kartkę na siedzeniu.

Przepraszam. To musiało stać się w ten sposób.

— Pieprz się, Kane! Nie masz prawa mnie przepraszać! — wrzeszczę jak kobieta, która nie ma nic do stracenia. Wyskakuję z samochodu i odwracam się w stronę narzędzi. Przyjechałam tu po bronco, ale teraz mam zupełnie inny cel.

Ruszam do stołu roboczego i szukam benzyny i zapalniczki.

Spalę to wszystko do gołej ziemi.

Widzę palnik, którego używałam, tworząc dla Kane'a rzeźbę w dniu zakończonym trzema wystrzałami. *Idealnie. Symbolicznie.* Rozglądam się po olbrzymim wnętrzu, szukając jakiejś łatwopalnej substancji. Na półce po drugiej stronie garażu stoi czerwona puszką z gazem, która wzywa mnie jak sygnał latarni morskiej.

— Pieprzyć twoje przeprosiny, Kane. Pieprzyć ten warsztat i ten dom. Pieprzyć wszystko. Mam dość!

Ruszam w stronę puszkę, jednak zanim zdążę ją pochwycić, czyjaś wielka dłoń łapie mnie za ramię.

— Nie sądzę, księżniczko.

Słyszac ten głęboki głos, czuję, że rozpalony we mnie gniew na chwilę przygasa.

Ten głęboki głos należy do człowieka, który nie żyje.

To tylko moja wyobraźnia, to się nie dzieje naprawdę.

Spoglądam na przedramię i widzę zacisnięte na nim palce zdecydowanie z krwi i kości. To nie są palce ducha.

Te wielkie dłonie uruchamiają lawinę wspomnień, która mnie pochłania, wyciskając powietrze z płuc.

Nie, to niemożliwe. On przecież...

— Temperance.

Wypowiada moje imię i chwilowy paraliż ustępuje. Odwracam się gwałtownie i spoglądam w lodowatoniebieskie oczy tak znajome, jak własne.

Serce wali mi w piersi, a wstrząs ogarnia całe ciało.

Kane.

On żyje.

On żyje.

To niemożliwe. Kręcę głową, próbując otrząsnąć się z halucynacji.

Jest duchem. Tylko to miałyby sens.

Dłoń na moim ramieniu zaciska się mocniej. Jest duża, silna i jak najbardziej *rzeczywista.*

— Jak... ty... — Nie mogę wykrztusić z siebie żadnego spójnego zdania, kiedy spoglądam znowu na jego twarz. — Nie rozumiem. — Całe ciało mi się trzęsie, przez co mój głos też drży.

— Zrobiłem to, co musiałem.

Jego słowa wywołują we mnie nową falę wściekłości.

— Zrobiłeś to, co musiałeś? Zabiłeś mi brata!

Mój krzyk nabrzmiewa histerią. Udaje mi się wyrwać ramię i chwycić najbliższy przedmiot, który można wykorzystać jako narzędzie zbrodni. Palce zaciskają mi się wokół rury i wykonuję zamach w kierunku głowy Kane'a. Chwyta rurę, zanim go trafię, i nawet nie krzywi się, gdy cios spada na jego dłoń.

— Temperance...

— Jak mogłeś?! — W całym wnętrzu rozlega się echem mój wrzask, a brzmi w nim czyste szaleństwo, bo naprawdę czuję się bliska obłądu.

Wyrwam rurę i zamierzam znowu się zamachnąć, ale zabiera mi ją i odrzuca gdzieś na bok. Z brzękiem spada na betonową podłogę. Czuję żądzę mordy.

Sprawię, że będzie cierpiał tak samo jak ja.

Sięgam po klucz nasadowy, jednak zanim zdążę go złapać, Kane obejmuje mnie masywnymi ramionami i ściska jak kaftanem bezpieczeństwa.

— Puszczaj!

— Nigdy. — Jego głęboki głos rozbrzmiewa mi tuż przy uchu. Próbuję się wyrwać, on jednak trzyma mnie mocno. — Nigdy, Temperance. Nigdy cię nie wypuszczę. I przysięgam na Chrystusa, że nie zabiłem twojego brata. Jest tak samo żywy jak ja. Przysięgam. Nigdy nie skrzywdziłbym nikogo, kogo kochasz. *Nigdy.* Prędzej zakończyłbym własne życie.

Wbijam mu łokieć w żołądek, nim jego słowa dotrą mi do mózgu. Nadal walczę jak dzikuska, zanim wreszcie zacznę rozumieć to, co powtarza w kółko.

„Rafe żyje. On żyje, przysięgam”.

— Co? — To pojedyncze słowo wyrwa mi się z urywanym oddechem, kiedy Kane luzuje uścisk.

— On żyje, przysięgam na Boga — powtarza Kane. — To wszystko było...

Odwracam się w jego ramionach, a niedowierzanie walczy we mnie z palącą wściekłością. Lodowatoniebieskie oczy Kane'a pełne są bólu takiego jak podsycający moją furję. Jednak z sekundy na sekundę ból się ulatnia i myśli kierują mi się w zupełnie inną stronę.

— Oszukałeś mnie? Wykorzystałeś? — Wpatruję się w niego, jakby właśnie powiedział, że obydwaj zostali uprowadzeni przez obcych. — Żarty sobie stroisz, do cholery?

— To była jedyna możliwość.

Ta informacja równie dobrze mogłaby być ciosem bokserskim w turnieju Złotej Rękawicy, bo niemal zwała mnie z nóg. Dosłownie ledwo udaje mi się ustać na nogach.

Oni żyją.

Obydwaj.

Rafe'owi nic nie jest.

Kane nie jest martwy.

Chciałabym bardzo wierzyć jego słowom, jednak mam dość życia wiarą, mam dość ślepego zaufania.

— Nie wierzę ci.

— Przysięgam na...

Powoli i zimno cedzę przez zęby:

— Nie obchodzi mnie, na co przysięgasz. Nie wierzę ci.

Na twarzy Kane'a na chwilę pojawia się dziwny wyraz, jakby bólu, ale teraz mam to gdzieś. To nie jest nawet ułamek cierpienia, którego doświadczyłam w ostatnim miesiącu.

Patrzy na mnie, a mięśnie jego szczęki drgają.

— Temperance, proszę...

Chciałabym mu wierzyć. Pragnę mu uwierzyć bardziej, niż pragnę kolejnego oddechu, ale nie mogę być głupia. Nie mogę być naiwna. *Nie mogę tak łatwo znowu mu zaufać.*

— Okłamałeś mnie! Dlaczego miałabym uwierzyć w cokolwiek, co mówisz? Chcę dowodu. Dowodu, że on żyje. Dowodu, że to nie jest jakiś kolejny fortel, żeby zyskać moje zaufanie i zarobić pół miliona dolarów, pakując kulę w ostatniego żyjącego członka mojej rodziny.

Twarz Kane'a zmienia się w obojętną maskę. Wyjmuje telefon, wprowadza hasło i wybiera numer. Kiedy tylko połączenie zostaje nawiązane, przełącza je na głośnik.

Czekam pełna nadziei tak ogromnej, że aż bolesnej, słuchając sygnału. Rozlega się cztery razy i już prawie tracę wiarę, gdy ktoś odbiera.

— Czego chcesz, do kurwy? Jestem zajęty.

— Rafe? — Głos mi drży, kiedy wypowiadam imię brata.

— Saxon? Co, do kurwy? — To na pewno głos mojego brata odzywającego się ostrym tonem, jednak po tym wszystkim trudno mi uwierzyć nawet w to, co widzę i słyszę.

— Podjąłem decyzję. Twoja siostra musi się upewnić, że nic ci nie jest.

Rafe klnie, nim odpowie.

— Tempe? To ty?

— Tak — szepczę. Szukam w głowie pytania, które mogłabym mu zadać, a na które nikt inny nie znałby odpowiedzi, jednak w tym momencie ton jego głosu się zmienia.

— Nie chciałem, żebyś dowiedziała się w ten sposób. Saxon nie powinien był...

Przerywam mu.

— Ile miałam lat, gdy po raz pierwszy jadłam suma?

— Co?

— Muszę wiedzieć, że to naprawdę ty. Nie ufam mu. — Zerkam na Kane'a. — Nikomu już, kurwa, nie ufam.

— Kurwa. Przepraszam, Tempe. Naprawdę cholernie mi przykro.

Oczy mam zamglone od łez, którym jednak nie pozwalam wypłynąć.

— Sum, Rafe. Odpowiedz na moje pieprzone pytanie.

— Nienawidzisz suma. Chcesz jeszcze o coś zapytać, zanim uwierzysz, że to naprawdę ja?

Przez czarne chmury, które wisiały nad moim światem przez ostatni miesiąc, przedziera się pierwszy promyk słońca.

— Gdzie schowałeś pasek tatusia? — szepczę, wciąż bojąc się zaufać, ale z każdą chwilą pozwalając sobie na więcej wiary.

— Spaliłem go, używając benzyny z zapasowego zbiornika łodzi. To znaczy próbowałem, ale metal nie chciał się stopić, więc dałem ci sprzączkę i zrobiłaś z niej coś, kiedy już nauczyłaś się lutować.

Wypuszczam powietrze z płuc.

Mój brat żyje. Całe ciało mi się trzęsie, nogi się pode mną uginają i upadam na podłogę. Kane próbuje mnie podnieść, ale opędzam się od jego dłoni.

— Żyjesz! — Głos mi się załamuje i łzy płyną po twarzy. Zaczynam szlochać, gwałtownie łapiąc powietrze. — Dlaczego, u diabła, pozwoliłeś mi myśleć, że nie żyjesz? Jak mogłeś mi to zrobić?

Kane klęka obok mnie. Ignoruję go i obejmuję się ramionami jakby z obawy, że za chwilę rozpadnę się na kawałki, więc próbuję się utrzymać w całości.

— Przysięgam, że nie mieliśmy wyboru — mówi Rafe. — Musieliśmy zadbać o twoje bezpieczeństwo. To był jedyny sposób, żeby oni w to uwierzyli.

— Kto? Kto miał w to uwierzyć? O czym ty mówisz?

Kane odzywa się, zanim zdąży to zrobić Rafe.

— Przemytncicy. Musieliśmy sprawić, żeby uwierzyli, że zarówno Ransom, jak i ja jesteśmy martwi. Musieliśmy ich wyeliminować z gry, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo.

Mój mózg pracuje na najwyższych obrotach, usiłując to zrozumieć, nadal jednak jestem wściekła, gdy pomyślę, jak całymi tygodniami tonęłam w smutku.

— To był jedyny sposób — powtarza Rafe. — Nigdy bym cię na to nie naraził, gdyby to nie był jedyny sposób, wiesz o tym.

Niby wiem, że mój brat nigdy świadomie nie naraziłby mnie na cierpienie, ale jeszcze nie jestem w stanie myśleć całkowicie racjonalnie.

— Mogłabym to zagrać. Jestem dobrą aktorką.

— Naprawdę mi przykro, Tempe. — Rafe brzmi na równie załamane, jak ja się czuję. — Nigdy nie powinienem był przyjmować tego zlecenia. *Nigdy*. Do końca życia nie wybaczę sobie, że cię zraniłem.

— Gdzie jesteś? — szepczę. Gdy Rafe nie odpowiada, odwracam się do Kane'a. — Serio? Kolejne sekrety?

— Tak jest bezpieczniej — mówi mój brat.

— Nie. Koniec pieprzonych sekretów. Mam ich już dość. Mam dość tego wszystkiego. Zaslужuję, żeby wiedzieć.

— Powiedz jej, Ransom — znowu wtrąca się Kane.

Po chwili Rafe odpowiada:

— Muszę jeszcze wytropić ostatnie zagrożenie. Potem będziemy mogli żyć jak wolni ludzie.

Krew, wreszcie ostygła z wrzącego gniewu, ścina mi się w żyłach.

— Ścigasz handlarza ludźmi, który pragnął twojej śmierci? — Wskazuję podbródkiem na Kane'a. — Dlaczego ty się tym nie zajmiesz? To ty jesteś zabójcą na zlecenie.

Kane zaciska wargi, ale to Rafe odpowiada.

— To mój bajzel, Tempe. Saxon i tak pomógł mi bardziej, niż na to zasługiwałem. Zapoczątkowałem to i czas, żebym zakończył.

— Proszę, powiedz mi, że to nie jest jakaś misja samobójcza. Proszę, powiedz, że do mnie wrócisz. Nie zniosę, że odzyskałam cię tylko po to, żeby znowu stracić. Nie rób mi tego. Nie teraz. — Głos mi się załamuje i kolejna fala łez napływa do oczu. Ocieram je, ale nie mogę zapanować nad emocjami — co zresztą nie jest niczym dziwnym po okropnym miesiącu, który mam za sobą.

— Wróć. Przysięgam na grób mamy.

Lód w żyłach ogrzewa mi się o kilka stopni.

— Lepiej, żeby tak było, bo przysięgam, jeśli cokolwiek ci się stanie, to znajdę cię, przywrócę do żywych i potem osobiście zabiję za to, że przez ciebie przeszłam piekło. Rozumiesz, Rafie Ransomie?

Brat śmieje się do słuchawki.

— Umowa stoi. Muszę kończyć, Tempe. Wkrótce cię uściskam. Naprawdę cholernie mi przykro z powodu tego wszystkiego. Wynagrodzę ci to. Nie złość się na Saxona, proszę. Uratował mi tyłek. Gdyby nie obmyślił tego planu, naprawdę byłbym martwy. Kocham cię,

dziewczyno.

Kończy połączenie, a jego „kocham cię” nadal dźwięczy w powietrzu.

Wstaję i ruszam w kierunku ściany. Widzę, jak olbrzymia postać Kane’a zbliża się do mnie, jednak zatrzymuję go machnięciem ręki. Jeszcze nie jestem gotowa, żeby się nim zająć.

— Chciałem ci o tym powiedzieć... ale naprawdę to był jedyny sposób.

— Gówno prawda! — wybucham. — To nie był jedyny sposób. — Spoglądam mu w oczy.

Kane otwiera usta, żeby coś powiedzieć, i zamyka je z powrotem.

— *Oklamaleś* mnie. Sprawileś, że uwierzyłam... — Nawet nie chcę tego wypowiadać na głos. — Jak mogłeś mi to zrobić? Przez miesiąc sama byłam o krok od śmierci, bo nie zaufałeś mi na tyle, żeby *cokolwiek* wyjaśnić.

— Temperance... — Robi krok w moją stronę. Unoszę dłoń, żeby go zatrzymać.

— Musiałeś mi jedynie o tym powiedzieć.

Zaciska dłonie w pięści wzdłuż boków, podczas gdy kolejna fala łez spływa mi po policzkach.

— To musiało wyglądać wiarygodnie.

— No zajebicie. Naprawdę jestem szczęśliwa, że to wyglądało *wiarygodnie*. I wiesz co? *To też jest naprawdę*. To, jak bardzo cię nienawidzę, też jest prawdziwe! Jak śmiałeś! — znowu wrzeszczę i mam to gdzieś. Przeszłam przez piekło i cały ten czas wmawiałam sobie, że to moja wina. — Sprawileś, że myślałam, że *zdradziłam swojego brata i doprowadziłam do jego śmierci!*

Kane zaciska powieki i spuszcza głowę, a następnie nabiera powietrza w płuca i spogląda na mnie.

— Możesz mnie nienawidzić za to do końca życia, ale i tak zrobiłbym to jeszcze raz.

Biorę oddech.

— Ty pieprzony...

Przerywa mi rykiem.

— Dzięki temu *żyjesz!* *To* jest prawdziwy powód, dla którego to zrobiłem! Dla ciebie! Bo cię kocham!

Rozdział 17

Temperance

Czuję szorstkie cegły drapiące mnie przez koszulkę. Dudniący głos Kane'a niesie się echem w przestronnym wnętrzu. Zanim zdążę przyswoić jego słowa, rusza w moją stronę, zmniejszając dystans między nami.

Jego wyznanie ma większą siłę niż bomba atomowa. Rozkłada mnie na łopatki, wypala gniew i smutek nękające mnie w każdej minucie każdego dnia, odkąd obudziłam się ze świadomością, że zarówno on, jak i Rafe nie żyją.

Kane opiera dłoń o ścianę obok mojej głowy i wpatruje się we mnie. Nozdrza mu drgają, a żyłka na skroni pulsuje.

— Tak mi przykro, tak cholernie przykro. Wolałbym sam oberwać kulą, niż patrzeć, jak wylewasz choćby jeszcze jedną łzę. — Wyciąga do mnie rękę i tym razem jej nie odtrącam, jak zrobiłabym zaledwie parę chwil wcześniej. Pozwalam mu otrzeć łzy kciukami i ująć moją twarz w dłonie. — Proszę, nie płacz.

— Kochasz mnie?

Gładzi mnie dłonią po policzku, przyglądając się twarzy.

— Odkąd po raz pierwszy zobaczyłem cię ze spawarką w dłoni, widziałem prawdziwą ciebie, a nie tę maskę, którą pokazujesz światu. — Na chwilę przymyka oczy, po czym znowu wbija we mnie wzrok. — Wmawiałem sobie, że mogę z ciebie zrezygnować, bo to będzie dla ciebie bezpieczniejsze niż próba zatrzymania cię przy sobie. Mówiłem sobie, że gdy już to wszystko się skończy i będziesz bezpieczna, pozostawię ci wybór, co dalej.

Jeśli wcześniej miałam wrażenie, że w moich emocjach panuje chaos, to jest nic w porównaniu z burzą szalejącą mi teraz w mózgu i grzmiącym dudnieniem serca.

— Chciałeś ze mnie zrezygnować?

Odwraca wzrok, nim odpowie.

— Nie sądziłem, że będzie możliwe, żebyś mnie nie znienawidziła po tym wszystkim. Wmawiałem sobie, że pożegnam się z tobą i zniknę w cieniu, a ty będziesz mogła prowadzić życie, jakie było ci przeznaczone.

— Bez ciebie — szepczę.

— Tak.

Kane miał rację, mówiąc, że miłość i nienawiść to dwie strony tego samego medalu. Mimo że jeszcze parę minut temu chciałam go zabić, teraz nie mogę sobie nawet wyobrazić tego, co opisuje — życia bez niego.

Już to przeżyłam i niemal mnie to zabiło.

Jego niebieskie oczy płoną od emocji.

— Musisz wiedzieć... Nie ma nic, czego bym nie zrobił, żeby tylko zapewnić ci bezpieczeństwo. Możesz mnie nienawidzić, jeśli potrzebujesz, ale to nigdy nie zmieni tego, że cię kocham.

Pozwalam, by te słowa kołysły moją rozdartą na strzepy duszę. Wciągam w nozdrza jego zapach. Mam ochotę wtulić się w niego wdzięczna, że wrócił, ale zanim znowu mu zaufam, musi mi coś obiecać.

Spoglądam mu prosto w oczy.

— Nie jestem w stanie znieść więcej tajemnic. Nie zgodzę się na to. Jeśli nie obiecasz, że już nigdy więcej mnie nie okłamiesz, odejdę natychmiast i nie obejrzę się za siebie.

Rozdział 18

Kane

Miałem wybór i go dokonałem. Będę musiał żyć z konsekwencjami, wiem jednak, że było warto, bo zapewniło jej bezpieczeństwo. Nie ma *niczego*, czego bym nie zrobił, żeby zapewnić Temperance bezpieczeństwo i nigdy nie będę za to przepraszać. Jeśli chodzi o to, że zadałem jej ból — to zupełnie inna kwestia. Nigdy nie zapomnę pełnego cierpienia wyrazu jej oczu — będzie mnie to prześladować przez resztę życia.

Nie zasługuję na jej przebaczenie, ale i tak go pragnę.

Nie zasługuję *na nią*. Ale to nie przeszkadza mi pragnąć jej bardziej niż kolejnego oddechu.

Teraz jestem tak cholernie blisko zdobycia wszystkiego, czego kiedykolwiek pragnąłem w życiu i o czym nawet nie wiedziałem, że potrzebuję — i jedyne, co muszę zrobić, to obiecać, że już nigdy jej nie okłamię. Wolałbym odciąć sobie rękę, niż znowu zobaczyć w jej twarzy taki ból, jak kiedy weszła do garażu.

Przysięgam sobie w tym momencie, że znajdę sposób, żeby ją chronić, nie narażając na takie cierpienie już nigdy więcej. Spieprzyłem sprawę. Podjąłem niewłaściwą decyzję. Nie powinienem był zatajać przed nią swojego planu. W tamtym czasie wydawało mi się to najbezpieczniejszym rozwiązaniem, jednak po miesiącu bez niej wiem, że nie było właściwe.

Przez ostatnie cztery tygodnie żyłem w piekle, które sam sobie zgotowałem — mając świadomość jej istnienia, nie mogłem jej zobaczyć ani tym bardziej dotknąć. Nie śmiałem się z nią skontaktować, bo niebezpieczeństwo było zbyt wielkie.

Błagałem Mounta — coś, czego obiecałem sobie nigdy nie robić — żeby chronił ją tak, jak chroniłby własną żonę. Zaoferowałem mu w zamian *wszystko*.

Dopiero gdy dał mi gwarancję jej bezpieczeństwa, odważyłem się wyjechać z miasta, żeby wytropić ludzi, którzy jej zagrażali, jednego po drugim. Za każdym razem, kiedy pociągałem za spust, byłem o krok bliżej tej chwili — gdy wreszcie będę mógł do niej wrócić.

Mówiłem sobie, że nawet jeśli mnie znienawidziła i każe mi odejść, pozwolę jej żyć tak, jak tego pragnie, i zniknę gdzieś w cieniu.

Nigdy jednak nie mógłbym zapomnieć kobiety, która zmieniła wszystko.

Podróżowałem od Meksyku do Kanady, likwidując jednego człowieka po drugim, aż pozostał tylko ten, który kierował przemytem ludzi. Ten, którego nazywali Lagarto — *Jaszczurem*.

Ransom osobiście chciał zdjąć człowieka, który wyznaczył cenę za jego głowę, i zgodziłem się na to, jednak ten skurwysyn jest przebiegły jak cholera i obydwu nas wyprowadził w pole. W końcu Ransom i ja ustaliliśmy, że wrócę do Nowego Orleanu i spróbuję go wytropić zdalnie, będąc jednocześnie w pobliżu Temperance, na wypadek gdyby próbował ją dopaść po zaginięciu wszystkich swoich ludzi, jednego po drugim, w tajemniczych okolicznościach. Żadne ciało nie zostanie nigdy odnalezione.

Musi wiedzieć, że jest następny na liście i nie ustaniemy, dopóki nie wpakujemy mu kuli w łeb.

Wróciłem wczoraj.

Nie minęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny, a kilkakrotnie musiałem się powstrzymać od spotkania z Temperance. Mogłem tylko patrzeć, jak bierze się w garść i żyje nadal — beze mnie.

To był zupełnie nowy rodzaj piekła, jakiego nie doświadczyłem nigdy wcześniej. A teraz ona chce, żebym obiecał, że już nigdy jej nie okłamię, bo w przeciwnym razie odejdzie na zawsze.

Nie muszę się nawet zastanawiać nad odpowiedzią.

— Obiecuję. Żadnych tajemnic. Jeśli będę chciał cię chronić, znajdę inny sposób.

Czuję, że napięcie opuszcza jej ciało. Temperance wtula się we mnie.

— Dzięki Bogu — szepcze.

Zanim zdążę odpowiedzieć, chwyta mnie za tył głowy i przyciąga do siebie.

Moja jedyna myśl to powtórzenie tego, co powiedziała przed chwilą.

Dzięki Bogu.

Rozdział 19

Temperance

Kane obejmuje mnie ramieniem, a drugą ręką ujmuje pod brodę, przechylając mi głowę tak, by pocałunek stał się głębszy.

Tak. Tego właśnie potrzebowałam. Jego.

Może w ten sposób mogłam się przekonać, że naprawdę żyje.

Może dzięki temu mogłam wypalić resztki bólu, który odczuwałam po jego stracie.

Może dlatego, że go kocham i życie bez niego było najbardziej beznadziejnym, z czym przyszło mi się zmierzyć.

Niezależnie od przyczyny, naprawdę rozpaczliwie tego potrzebowałam.

Szaleńczo.

Wściekle.

Kane przesuwa dłoń na mój tyłek, a ja wpijam mu paznokcie w ramię, jęcząc w trakcie pocałunku.

— Tak cholernie za tobą tęskniłem — chrypi przy moich ustach, podczas gdy oplątam mu nogę na biodrze i przyciskam się do rosnącej z każdą chwilą wypukłości w jego dżinsach.

— Ja za tobą też.

Odsuwa się kawałek i jego niebieskie oczy błyszczą.

— Nawet wtedy, gdy mnie nienawidziłaś?

— Nawet wtedy... zamieniłabym wszystko, co miałam, na jeszcze jeden dzień z tobą.

— Całe, kurwa, szczęście. — Wsuwa mi palce we włosy i mocno chwyta. Rozkoszuję się lekkim bólem, bo to przypomina mi, że oboje *żyjemy*.

Owijam wokół niego drugą nogę i wspinam się, aż nasze ciała zetkną się ze sobą w miejscach, w których ma to największe znaczenie.

Wpijam się w niego ustami, próbując bez słów powiedzieć wszystko: że potrzebuję go w najbardziej pierwotny z możliwych sposobów, że brakowało mi smaku jego pocałunków, jego twardych mięśni, zwinnych dłoni, tego, jak dotyka mnie jednocześnie czule i z wprawą, dając mi wszystko, czego pragnę i bez czego nie mogę się obejść.

Jest jedynym mężczyzną, który kiedykolwiek wzbudzał we mnie tak silne uczucia. Z nim doświadczam samych ekstremów, w tym, co nas łączy, nie ma przeciętności.

Powinłam była wiedzieć już pierwszego wieczoru, nie potrafiąc wyjść z tamtego pokoju, chociaż ten facet był dla mnie zupełnym nieznajomym, że to spotkanie zmieni całe moje życie.

Czasami ciało rozpoznaje coś, zanim jeszcze zrobi to rozum. Nie wiem, dlaczego tak długo zajęło mi zrozumienie, ale teraz nie zamierzam wszystkiego analizować, lecz podążać za instynktami, a te mówią mi, że mimo wszystkiego, co się zdarzyło, Kane należy *do mnie*.

Napieram na niego biodrami, a Kane chwyta mnie mocniej. Niesie do stołu roboczego, który dokładnie wyczyściłam, kiedy ostatnio tu pracowałam.

Skoro tylko dotykam tyłkiem płaskiej powierzchni, puszczam szyję Kane'a i ściągam z niego koszulkę. On pomaga mi jedną ręką, aż wreszcie pozbywamy się tekstylnej zawady.

Nie pozwolę, żeby cokolwiek stanęło mi na przeszkodzie, jeśli chodzi o Kane'a — ani ja sama, ani on.

To się dzieje. Znowu jesteśmy razem — *my*.

Instynkt mnie nie mylił — to, co mnie uszczęśliwia, znajduje się teraz tuż przede mną.

Zachwygam się nim, jakbym patrzyła po raz pierwszy: jego muskularnymi, pokrytymi

tatażami ramionami, jego klatką piersiową, na której widnieją serce i piękne skrzydła.

Ten mężczyzna, to dzieło sztuki, kocha mnie.

Świadomość tego wciąż mną wstrząsa, ale panuję nad sobą. Nigdy nie zapomnę sposobu, w jaki po raz pierwszy mi to wyznał.

Wodzę palcami po jego gorącej skórze, aż docieram do guzika znoszonych dżinsów. Wtedy jednak rozprasza mnie, chwytając koszulkę i ściągając mi ją przez głowę.

— Muszę na ciebie patrzeć. Muszę cię poczuć. Tak cholernie za tobą tęskniłem. — W głosie Kane'a brzmi żądza i czuję ją w każdym dotyku dłoni na swojej skórze.

Jego palce odnajdują zapięcie mojego stanika i uwalniają mnie od bielizny. Gdy się przysuwa, przyciskam mu piersi do torsu, potrzebując tego kontaktu, chłonąc ciepło jego ciała.

— Tak bardzo za tobą tęskniłam. — W moim głosie brzmi to samo pragnienie.

— Już nigdy więcej, księżniczko. Nigdy więcej.

Ta przysięga uwalnia we mnie nowe pokłady pragnienia.

— Pospiesz się, proszę.

Nasze spojrzenia się spotykają.

— Tylko jeśli następnym razem będę mógł cię skosztować.

— Umowa stoi.

Zupełnie jakby ktoś wystrzelił z pistoletu startowego — rzucamy się na siebie, zdzierając ubrania, aż siedzę na stole całkiem naga. Ledwie jednak czuję tyłkiem chłodny metal, bo ciało Kane'a płonie jak w gorączce.

Gdy tylko kopnięciem zrzuca z siebie buty i spodnie, czuję ciężkiego kutasa dotykającego mojej śliskiej szparki.

— Kocham cię, Temperance. Nieważne, co się stanie, nigdy nie przestanę cię kochać.

Z tymi słowami wchodzi we mnie i nie ma szans, żebym zachowała milczenie. Jego imię pada z moich ust i odbija się echem od ścian.

— Tak!

Wchodzi we mnie aż po nasadę, a ja wpijam mu paznokcie w ramiona, kiedy zaczyna się wysuwać.

— Jeszcze nie. — Muszę mu coś powiedzieć, zanim w pełni zanurzę się w przyjemności.

Nigdy wcześniej nie potrzebowałam mężczyzny, żeby doświadczyć pełni, jednak z Kanem czuję się piękna i silna. Mogłabym żyć bez niego, ale nie chcę. A to, moim zdaniem, jest niezwykle istotne.

Jego spojrzenie znów odnajduje moje.

— Ja też cię kocham — mówię i czuję, jak przez jego ciało przetacza się fala ulgi.

Zerka ku metalowym belkom nad nami.

— Dzięki Bogu.

Gdy znowu patrzy na mnie, widzę uczucia odbijające się w jego niebieskich oczach.

— Potrzebuję cię.

Moje słowa uwalniają huragan piątej kategorii. Kane jest niczym żywioł, wycofując się i znowu we mnie uderzając, raz za razem, po czym znajduje moją łechtaczkę i wyzwała orgazm za orgazmem.

Nie przestaje, chociaż nie jestem pewna, czy mogę znieść kolejne szczytowanie. Nie zwalnia jednak, nie ustępuje.

Moje krzyki rozbrzmiewają w całym garażu, kiedy przyjmuję wszystko, co mi ofiarowuje, i zwracam mu równie wiele.

Gdy wreszcie on wydaje z siebie triumfalny ryk rozkoszy, a ja drzę po raz ostatni, wiem jedno.

Nigdy nie pozwolę mu odejść, niezależnie od wszystkiego.
Kane należy do mnie.

Rozdział 20

Kane

Zadowolenie to uczucie, które umykało mi przez całe życie. Zawsze byłem samotny i nigdy nie czułem prawdziwej więzi z innym człowiekiem.

Nigdy nie potrzebowałem towarzystwa czy przyjaźni, żeby znaleźć sobie zajęcie. Wystarczała mi krótka wizyta w klubie, obejrzenie scenki i szybka ulga — może czasem noc z nieznaną, o której po wyjściu nie myślałem nigdy więcej.

Z Temperance od samego początku wszystko było inaczej.

Nie wiedziałem, że mogę kogoś pragnąć i potrzebować aż tak. W przeszłości martwiłbym się, czy bycie z kobietą nie stanie się słabością, którą ktoś mógłby wykorzystać. Jednak obserwowanie Mouna i Keiry uświadomiło mi, że właściwa kobieta może uczynić mężczyznę jeszcze silniejszym, jeszcze bardziej zdeterminowanym i bardziej niebezpiecznym. Nie ma niczego, przed czym by się cofnął, byle tylko ją chronić.

Niezależnie od tego, co jeszcze się wydarzy, przetrwamy to.

Z tą myślą zasypiam w łóżku spleciony w uścisku z Temperance.

Jesteśmy na szczycie świata. Nikt i nic nie może nas rozdzielić.

A przynajmniej tak mi się wydaje, dopóki znowu się nie obudzę.

Policzek Temperance spoczywa na mojej klatce piersiowej. Otwiera oczy i porusza się.

— Daj mi kilka godzin, a znajdę w sobie dość siły, żeby pojechać do ciebie po twoje rzeczy i przywieźć je tutaj — mówię, w roztargnieniu gładząc jej włosy.

Zamiera w bezruchu.

— Co?

— Twoje rzeczy. Wprowadzasz się. Ten dom i tak należy do ciebie, więc możesz równie dobrze z niego korzystać. A poza tym jest tu wszystko, czego potrzebujesz do pracy, i mogę ci sprowadzić wszystko, czego jeszcze zapragniesz.

Stacza się ze mnie i podpira na łokciu. Jej ciemne oczy poważnieją.

— Coś jest nie tak?

— Musimy najpierw porozmawiać o paru rzeczach.

— Na przykład?

— Na przykład o tym, że nie chcę się znowu wyprowadzać ze swojego mieszkania, żebyś mnie tu trzymał pod kluczem z dala od świata, dopóki nie uznasz, że zagrożenie minęło.

Dokładnie to chciałem zrobić.

— Twoje bezpieczeństwo to sprawa, w której nie uznaję kompromisów, i nie możesz tego ode mnie oczekiwać.

— W takim razie chyba musisz się wprowadzić do mnie, bo postanowiłam, że tym razem będę żyć naprawdę, a to oznacza, że nie zamierzam dać się zamknąć z dala od świata.

Kurwa. Oczywiście, że tego właśnie chce i nie zamierzam stawać jej na drodze... ale pod jednym warunkiem.

— Nie mogę się do ciebie wprowadzić. Co by sobie pomyśleli twoi przyjaciele? Facet, który zabił ci brata, a teraz wrócił zza grobu? Tak być nie może.

— Po pierwsze, czy prosiłam, żebyś się do mnie wprowadził? — Przechyla głowę na bok.

— Temperance...

Śmieje się głośno, po czym mówi z uśmiechem:

— Żartuję. Tak, *proszę* cię, żebyś się do mnie wprowadził, i nie musisz się martwić całą

resztą.

— To znaczy?

— Nic nikomu nie powiedziałam.

Mrugam ze zdumienia.

— Co?

Rozbawienie znika z jej oczu.

— Ledwo funkcjonowałam, a poza tym nawet gdyby było inaczej, nie zamierzałam się nikomu chwalić, jaka byłam głupia. Keira powiedziała, że cię nie zna. A to z kolei oznacza, że wie tylko Mount, a to znaczy... że *możesz* się do mnie wprowadzić. Ty też możesz wyjść z cienia, Kane.

To mnie zadziwia.

Wyjście z cienia. Nigdy czegoś takiego nie próbowałam. Zawsze najłatwiej było mi trzymać się na uboczu — wszystko inne wiązało się ze zbyt wieloma potencjalnymi problemami.

Jednak dla Temperance jestem gotów rozwiązać je wszystkie. Nie byłbym zmuszony jedynie patrzeć na nią z boku, mógłbym razem z nią żyć pełnią życia. Czuję, jakby nagle ktoś wręczył mi klucze do królestwa, o wstępie do którego wcześniej nie śmiałem nawet marzyć.

— Dobrze — mówię schrypniętym z emocji głosem.

Uśmiecha się.

— Możesz też odzyskać swój dom. I samochody. Nie chcę ich.

Myślę o tym, że w gniewie i bólu chciała to wszystko podpalić.

— Chciałaś je spalić.

Kiwa głową.

— Zgódźmy się więc, że musisz to przyjąć z powrotem.

— Jeśli spalenie tego miejsca do gołej ziemi miałyby ci przynieść choćby chwilową ulgę, pozwoliłbym na to.

Jej uśmiech znika.

— Nie, nie poczułabym się lepiej. Pewnie wręcz przeciwnie.

— Wiem, księżniczko. Dlatego cię powstrzymałem.

Unosi brwi.

— A nie dlatego, że zależało ci na samochodach?

— W zestawieniu z tobą nic nie znaczą.

Jej twarz łagodnieje i Temperance znowu się ku mnie pochyla.

— A może zawrzemy układ? Będę tu trzymał samochody i oboje będziemy tu pracować, a po pracy wrócimy na noc do twojego mieszkania.

Aż jej się oczy rozszerzają.

— Zgodziłbyś się na to?

— Tylko Mount wie, że to ja zastrzeliłem twojego brata, inni świadkowie opisałiby przebranie.

— Tak, to dobrze.

— A nawet gdyby było inaczej, znalazłbym sposób, żeby to zadziało. Bo nie wiem, czy pamiętasz, ale powiedziałem, że zrobiłbym dla ciebie wszystko.

Przyciska usta do mojej piersi.

— Dziękuję.

— Ale musisz dla mnie zrobić jedną rzecz.

— Co takiego? — pyta, znowu spoglądając mi w oczy.

— Musisz mi jeszcze raz powiedzieć, że mnie kochasz.

Gdy wypowiada te słowa, mam wrażenie, że serce zaraz mi eksploduje. Od piętnastu lat

nikt nie powiedział, że mnie kocha — a usłyszenie tych słów od Temperance i zobaczenie obietnicy w jej oczach jest prawdziwym cudem.

— Kocham cię, Kane... — urywa i zaciska wargi.

— Co?

— Nie wiem, jakie masz nazwisko. Czy mogę je poznać?

Tylko dwie osoby wiedzą, że Kane Savage nadal żyje. Podanie tej informacji Temperance oznacza zarazem wręczenie jej klucza do zniszczenia wszystkiego, co zbudowałem.

Biorąc jednak pod uwagę, że dałbym jej naładowany pistolet, gdyby oznajmiła, że chce mi wpakować kulę w głowę, odpowiedź na to pytanie nie jest trudna.

— Savage. Kane Savage.

Unosi brwi.

— Poważnie?

Kiwam głową.

— Nazywasz się Savage?

— Dawniej sierżant Armii Stanów Zjednoczonych Kane Savage.

— To ładne, silne nazwisko.

— Mój ojciec też był wojskowym. Nie wrócił z Wietnamu.

— Przykro mi. — Wyras twarzą Temperance staje się zamyślony.

— Dziękuję.

Porusza ustami, jakby zastanawiała się, czy zapytać jeszcze o coś, ale nie potrafiła znaleźć właściwych słów.

— Możesz mnie zapytać, o co zechcesz. — Mówiąc to, stwierdzam ze zdumieniem, że naprawdę jestem gotowy powiedzieć jej wszystko, czego zechce się dowiedzieć. Mam dość tajemnic.

— Jak to się wszystko zaczęło? To, co robisz? Wiem, że nie jest to część szkolenia snajperskiego w armii... a może jest? Czy nadal pracujesz dla rządu?

— To długa historia.

— A spiesz ci się gdzieś?

— Nie, chcę być tylko z tobą.

To też szczerą prawdą, więc zaczynam od początku i opowiadam jej o swojej przeszłości.

Godzinę później Temperance wpatruje się we mnie oszołomiona.

— Zrobiłeś to wszystko dla swojej mamy? Dla jej bezpieczeństwa?

Przełykam w gardle kulę zawsze pojawiającą się, gdy myślę o mamie. Obserwowałem ją przez te wszystkie lata za pośrednictwem człowieka, który wie, że żyję, i któremu ufam — Jeremiaha Prathera, właściciela Kuloodpornego. Dzwoniąc po Mouna, prawdopodobnie ocalił mi życie. Żałuję jednak, że nie mogę się z nią spotkać.

— Tak, właściwie do tego się to sprowadza. Lubilem być żołnierzem, to dobre życie. Czułem, że mam cel, że to ma sens, kochałem to. Świadomość, że to, co robię, służy większemu dobru, była dla mnie ważniejsza niż zarabianie większych pieniędzy pociąganiem za spust z innych powodów.

Wtula się we mnie.

— Żałujesz, że nadal nie jesteś w armii? Że w ogóle wstąpiłeś na tę ścieżkę?

Obejmuję ją mocniej i gładzę po ramieniu.

— Nie, inaczej nie poznałbym ciebie.

Rozdział 21

Temperance

Następnego dnia po południu, kiedy wreszcie wracamy do mojego mieszkania, nadal czuję wewnętrzną radość i szczęście. Dopiero zamykając bronco, uświadamiam sobie, że nie przygotowałam Kane'a na spotkanie z ekscentryczną sąsiadką i właścicielką domu.

— Cholera — szepczę.

— Co? — pyta Kane.

— Właścicielka mojego mieszkania... Ona jest... cóż, trochę inna, mówiąc delikatnie. Nie wie o nas zbyt wiele, ale wie, że poznałam faceta w klubie, więc musimy zaplanować, jak cię przedstawić. I jako kogo cię przedstawić.

— Użyjmy tego samego nazwiska co w destylarni. Korzystałem z niego na tyle często, że to najsensowniejsze rozwiązanie.

— A zatem będziesz Kenem Saxem dla wszystkich, których spotkamy?

Przez twarz Kane'a przemyka cień i zastanawiam się, czy rozmyśla teraz o poczynaniach ojczyma i swojej reakcji, która pozbawiła go nie tylko wcześniejszego życia, ale nawet tożsamości. Musi być bardzo trudne nie móc używać prawdziwego nazwiska, więc tym bardziej się cieszę, że zaufał mi na tyle, żeby o tym wszystkim opowiedzieć. Dla mnie zawsze będzie Kanem Savagem i nikim innym, niezależnie od tego, jak będę musiała się do niego zwracać publicznie.

— Na razie.

Mam ochotę zapytać, co właściwie oznacza ta odpowiedź, ale uznaję, że to nie czas i miejsce. Gdy idziemy w stronę bramy na wewnętrzny dziedziniec, w umyśle rodzi mi się jednak pytanie: *czy Kane zamierza odzyskać dawne życie?*

Jego ojczym nie żyje, jednak Kane nie powiedział mi, co stało się z wujkiem prokuratorem i ze skorumpowanym szeryfem.

Zachowam te pytania na później.

Gdy zatrzymujemy się przed bramą i wyjmuję z torby klucze, zerkam na niewielką rzeźbę, którą Kane trzyma w dłoni. Zrobiłam ją dziś rano dla Harriet jako skromny wyraz wdzięczności za nieustanne wsparcie — nie tylko w ciągu ostatniego miesiąca, ale odkąd ją znam.

Sądzę, że spodoba jej się rzeźba przedstawiająca kobietę i mężczyznę w bez wątpienia erotycznym uścisku. Inni mogliby uznać ofiarowanie czegoś takiego kobiecie po siedemdziesiątce za niewłaściwe, ale Harriet jest wyjątkowa.

Z drugiej strony gdy się nad tym zastanawiam, biorąc pod uwagę obecność Kane'a, jestem lekko przerażona rodzajem konwersacji, jaki może sprowokować ta rzeźba. Jestem przyzwyczajona do bezpośredniości Harriet, ale Kane...

— Powinnaś cię ostrzec...

— Temperance? Czy to ty, skarbie? — woła Harriet z dziedzińca. Jej głos niesie się nad prowadzącym nań wykładanym ceglami chodnikiem.

Więc szansa na ostrzeżenie Kane'a jest już stracona.

— Tak. Przyprowadziłam ze sobą przyjaciela.

Mówię to, bo za którymś razem, kiedy przyprowadziłam brata, Harriet kąpała się nago w niewielkim basenie i musiała szybko szukać szlafroka, gdy i Rafe, i ja zobaczyliśmy rzeczy, których nigdy nie będziemy w stanie zapomnieć. No i to malowanie po ciele, którym zabawiała

się ostatnio... a jeszcze wcześniej miała jakiegoś przyjaciela, którego też kiedyś zobaczyłam *pełniej*, niż bym sobie życzyła.

— Nie martw się, jestem ubrana. Z grubsza.

Zatrząskujemy bramę i wchodzimy na dziedziniec. Harriet ma na sobie cytrynowożółtą, jedwabną luźną sukienkę i widać, że przed chwilą wyszła z basenu.

— Jak tam pływanie? — pytam.

— Wspaniale, ale ten mężczyzna, który ci towarzyszy, jest jeszcze wspanialszy. Czy to prezent dla mnie? Bardzo apetyczny — stwierdza Harriet.

Krztuszę się własną śliną i mało się nie uduszę, ale Kane nie traci rezonu.

— Miło mi panią poznać. Temperance rzeczywiście ma dla pani prezent, jednak to nie ja. Dla mnie ona jest tą jedyną.

Harriet przyciska dłoń do piersi, jakby zaraz miała zemdleć z wrażenia, a ja chwytam mocniej torebkę, bo rzeczywiście mi to grozi.

— Och, naprawdę mi się podobasz. Podejdz bliżej.

Kane rusza w jej stronę, a Harriet bezwstydnie przygląda mu się od stóp do głów.

— Tak, a próbuję cię. — Spogląda na mnie. — Temperance, gdzie znalazłaś taki egzemplarz? Czy wpisałaś go na swoją listę? Jeśli tak, to ja też muszę wziąć papier i zapisać prośbę do wszechświata, bo jeszcze nigdy nie miałam przyjemności z kimś tak wytatuowanym, umięśnionym i *mrrrau*.

Harriet podkreśla mruczenie lwicy pazurzystym gestem, co wywołuje we mnie przerażenie, a wybuch śmiechu u Kane'a.

— Bardzo dziękuję, proszę pani. Jestem pewien, że wszechświat z przyjemnością spełni pani prośbę.

— No dobrze, to gdzie jest prezent, o którym wspomniałaś? — pyta Harriet i jej spojrzenie łąduje na rzeźbie trzymanej przez Kane'a. — Czy to właśnie to? Czy wreszcie zrobiłaś dla mnie rzeźbę? Nie wstydzę się błagać, bo miałam na nią ochotę już dawno temu, ale nie chciałam wywierać na ciebie presji. Jeśli nie jest dla mnie, będę błagać teraz. — Każde kolejne słowo wypowiada z większym naciskiem i robi mi się przykro, że faktycznie nie sprezentowałam jej niczego wcześniej.

Odbieram teraz rzeźbę od Kane'a i podaję Harriet.

— Oczywiście, że jest dla ciebie. Wiem, że to bardzo spóźniony prezent.

Bierze ją z moich rąk i trzyma tak, jakby to było bezcenne dzieło sztuki. Mam nadzieję, że pewnego dnia rzeczywiście nim będzie.

— Jest piękna — mówi przyciszonym głosem, obracając rzeźbę i przyglądając się drobnym, misternym częściom, które połączyłam, żeby stworzyć ciała. — Zapiera dech w piersiach. Będę ją szalenie cenić, ale najpierw muszę poprochwalić się wszystkim znajomym, że mam oryginał Temperance Ransom.

Oryginał Temperance Ransom. To nie brzmi źle. Tak naprawdę to brzmi cholernie zajebiście, a Harriet jeszcze *nie skończyła*.

— Jedna z moich przyjaciółek kupiła coś za pośrednictwem galerii Noble Art i od tego czasu nie daje nam żyć. Miałam ci o tym powiedzieć, ale jeszcze nie byłaś gotowa. Teraz jesteś. — Przygważdża mnie mądrym spojrzeniem. — Bierz się do roboty i zrób ich więcej, bo zarobisz na tym cholerną fortunę, dziewczyno.

— Tak zrobię — odpowiadam, z trudem powstrzymując łzy wzruszenia.

— Jak twoja szefowa przyjęła informację, że odchodzisz z pracy? — pyta Harriet od niechcenia, odstawiając rzeźbę na stolik, obok swojego kieliszka z winem. Najwyraźniej zakłada, że już zrobiłam coś, na co jeszcze nie potrafiłam się zebrać.

— Yyy, jeszcze nie rzuciłam pracy.

Kane ściska moją dłoń.

— To na co czekasz?

— Aż się zbiorę na odwagę.

Harriet śmieje się.

— Dziewczyno, masz więcej odwagi niż ktokolwiek, kogo znam. Zabierz teraz swojego mężczyznę na górę i postarajcie się nie połamać łóżka ani nie zarwać sufitu. A jutro idź i powiedz swojej szefowej, że musi znaleźć kogoś na twoje miejsce.

To brzmi, jakby Harriet wydawała mi rozkazy, ale tak naprawdę jedynie utwierdza mnie w tym, co i tak wiem, że muszę zrobić. Już czas. Postanowiłam to, gdy odwiedziłam Noble Art.

Boże, to naprawdę było zaledwie dwa dni temu? Mam wrażenie, że minęły lata, że to było w poprzednim wcieleniu. Może dlatego, że całe moje życie zmieniło się przez ten czas. Nie jestem już na świecie sama, walcząca z poczuciem winy, smutkiem i przekonaniem o byciu zdradzoną.

Teraz mam u boku mężczyznę, którego kocham i który obiecał, że już nigdy nie będzie miał przede mną tajemnic. Wiem, że mój brat żyje i stara się zakończyć całą tę sprawę, by móc wrócić do domu, a wtedy najpierw walnę go w łeb, a potem przytulę.

Nawet mimo ciągłej obawy o Rafe'a, który ma wytropić i zlikwidować handlarza żywym towarem, i tak czuję się lepiej niż w ciągu ostatniego miesiąca.

I to wszystko z powodu mężczyzny u mego boku.

Czy jestem szalona, pokładając w nim tak szybko tak duże zaufanie? Nie chcę tak myśleć. Widzę, jak Kane na mnie patrzy. Może i ukrywać prawdę przed innymi, jednak pozwala jej jasno świecić przy mnie.

Kocha mnie i dotrzyma obietnicy, którą mi złożył.

Są pewne rzeczy, które się po prostu *wie*.

Przez kolejnych dwadzieścia minut wysłuchujemy niesamowitych opowieści Harriet, po czym w końcu idziemy na górę. Gdy Kane pochyla się nade mną, wypełniając niewielką przestrzeń nie tylko swoim ciałem, ale też obecnością, uświadamiam sobie nagle, jakie moje mieszkanie jest małe.

Zerkam na niego.

— Potrzebujemy większego łóżka, prawda?

Rozdział 22

Kane

Jesteśmy z Temperance pogrążeni w myślach, przebijając się bronco przez poranny korek w drodze do Seven Sinners. Zwykle nie jeżdżę na siedzeniu pasażera, ale Temperance potrzebuje czuć kontrolę nad własnym życiem. Po wszystkim, na co ją naraziłem, rozumiem dlaczego i mogę jej to dać. Do diabła, dałbym jej wszystko, czego by sobie zażyczyła. Oddałbym krew, nerkę albo rękę.

I tak już ma moje serce i nigdy nie chcę go z powrotem.

Słowa „kocham cię” przez długi czas nie znajdowały się w moim słowniku. Powiedziałem to wcześniej tylko jednej kobiecie na świecie, a ona nawet nie wie, że nadal żyję.

W ciągu ostatnich kilku tygodni, po swojej drugiej śmierci, dużo myślałem o mamie i o tym, jak bardzo chciałbym ją znowu zobaczyć z bliska, a nie przez lornetkę lub jedynie na zdjęciach przesyłanych przez Jeremiaha. Chciałbym jej powiedzieć, że nadal ma syna, że nie jest sama na świecie, że ją kocham i zniknąłem jedynie dla *jej dobra*, aby dać jej szansę na szczęśliwe życie, nawet jeśli nie miałyby mnie w nim być.

Jednak dopóki Giles żyje... to nie jest bezpieczne. Widział moją twarz. Jeśli usłyszałyby o odwiedzającym mamę mężczyźnie odpowiadającym mojemu rysopisowi, nie wahałyby się pokopać w mojej przeszłości i próbować dowiedzieć, kim jestem.

Czy sądzę, że mogłoby mu się udać? *Nie*. Zapłaciłem mnóstwo pieniędzy, żeby zatrzeć za sobą ślady. Nie mam jednak zamiaru ryzykować bezpieczeństwa mamy, jeśli istnieje choć cień ryzyka, że mogłoby się to jakoś negatywnie na niej odbić. *Za nic w świecie*.

A to oznacza, że muszę się trzymać z daleka niezależnie od tego, czego pragnę. Głupio byłoby postąpić inaczej.

Gdyby tylko ktoś zlecił zabójstwo Gilesa, to co innego. Jednak nikt tego nie zrobił, a w odróżnieniu od historii z Ransomem nie mam zamiaru stać się samozwańczą karzącą ręką sprawiedliwości, jeśli chodzi o Gilesa. Ryzyko jest zbyt duże, bym mógł je podjąć tylko dla osobistych korzyści.

Temperance wjeżdża na asfaltowy parking przed wysokim budynkiem z cegły mieszczącym destylarnię Seven Sinners i parkuje z boku, obok samochodów innych pracowników. Wiem, że to nawyk, który niebawem się zmieni.

Zakładam, że to właśnie jest przyczyna jej milczenia — konieczność pogodzenia się z tym, że porzuca pracę, która przez lata była szczytem jej ambicji.

— Wszystko w porządku? — pytam, gdy wyłączam silnik.

Bierze głęboki oddech i odwraca się do mnie.

— Tak sądzę. Wiem, że powinnam to zrobić.

— Tylko jeśli to jest to, czego chcesz.

— Powiedziałeś mi, że powinnam to zrobić.

Wyciągam dłoń i kładę na jej udzie.

— Bo widziałem, jak się odmieniasz, mówiąc o sztuce i o pracy tutaj. Nie ma w niej nic złego. Gdybyś ją lubiła i chciała wykonywać nadal, nie miałbym nic przeciwko. Ale wydaje mi się, że nie chcesz już dzielić czasu pomiędzy pracę i sztukę, więc powinnaś pójść za tym, co jest bliższe twoim marzeniom.

Kiwa głową.

— Ja tylko... martwię się, jak zareaguje Keira. Wiele dla mnie zrobiła i teraz czuję się,

jakbym miała ją zawieść.

Aha, więc o to chodzi.

— Wykonywałaś pracę, do której zostałam zatrudniona. Teraz znalazłam coś innego, co sprawia ci większą przyjemność i pozwoli zarabiać na życie. Nie ma w tym nic złego.

— Dobrze. Dam radę.

Pochylam się i całuję ją w policzek.

— Poradzisz sobie ze wszystkim, księżniczko. To był tylko pewien etap twojej podróży. Marzenie twojej szefowej, nie twoje. Zrozumie to.

Zamiera w bezruchu z dłonią na klamce i przygryza dolną wargę.

— Co?

— Mount powiedział, żebym trzymała swój bałagan z dala od Keiry albo się mną zajmie.

Ujmuję jej dłoń.

— Ja się zajmę Mountem. A poza tym skoro tak powiedział, to powinien zaaprobować ten ruch.

Temperance bierze kolejny głęboki oddech i otwiera drzwiczki bronco.

— Życz mi szczęścia.



Rozdział 23

Temperance

Wchodzę do budynku, gdzie witają mnie znajome zapachy i dźwięki destylarni. Dostrzegam plecy Louisa Artesiana, który właśnie wchodzi do składziku.

Chyba nigdy droga do biura Keiry nie wydawała mi się tak krótka. *Czy dostanie się tam nie powinno trwać dłużej?*

Wycieram spocone dłonie o czarną ołówkową spódnicę i po raz kolejny poprawiam żółtą bluzkę.

Wybrałam słoneczny kolor, mając nadzieję, że będę wyglądać optymistycznie i radośnie, ale to mi nie pomaga. Mam ochotę zawrócić, wyjść stąd, przebrać się w dżinsy i koszulkę i zacząć walić młotkiem w metal.

Dlaczego tak boję się jej to powiedzieć?

Bo Keira trwała przy mnie przez lata. Praca w Seven Sinners była najlepszą posadą, jaką miałam w życiu, przynosiła stałą pensję i wiązała się z pewnym prestiżem, więc rzucenie jej wydaje się szaleństwem. Ale jednak nie jestem w stanie się zmusić do powrotu na stanowisko.

Rezygnacja ze stałego dochodu to spore ryzyko, ale najwyraźniej nowym motywem przewodnim mojego życia jest podejmowanie ryzyka. I dzisiejszego poranka czas podjąć jedno z większych.

To znaczy największe, nie licząc tego, kiedy powiedziałam Kane'owi, że go kocham.

Kręcę głową, wciąż nie mogąc się nadziwić, że on nie tylko *nie* jest martwy, ale na dodatek *kocha mnie* i mamy przed sobą przyszłość.

Zatrzymuję się przed zamkniętymi drzwiami do gabinetu Keiry i stukam.

— Kto tam? — woła ze środka.

— Temperance — odpowiadam.

— Wejdz.

Dłoń ześlizguje mi się z gałki przy pierwszej próbie, ale za drugim razem udaje się ją chwycić i przekręcić. Wchodzę do środka i zamieram.

Keira nie jest sama. Mount też tu jest.

O kurwa.

Natychmiast zaczynam się wycofywać.

— Przepraszam, naprawdę nie chciałam wam przeszkadzać, mogę wrócić innym razem.

— *I założyć wcześniej zbroję na wszelki wypadek*, dodaję w myślach.

Czarne oczy Mounta wbijają się w moje, przesyłając milczące ostrzeżenie, którego nawet ja nie jestem w stanie przegapić.

— Dzięki Bogu, wróciłaś! Tęskniłam za tobą jak szalona! I mamy mnóstwo roboty, mimo że zatrudniłam nowych ludzi!

Zanim zdążę odpowiedzieć, Mount odzywa się za mnie.

— Ona nie wróciła. Przyszła złożyć wypowiedzenie.

Jego słowa nie zostawiają miejsca na dyskusję. Nawet gdybym nie przyszła właśnie w tym celu, Mount i tak by do tego doprowadził. Pod pewnymi względami to ułatwia sprawę. On nie chce mojej obecności tutaj — a nikt nie podważa rozkazów króla.

— Co takiego? — wykrzykuje zaskoczona Keira. — Ona nie... — milknie i wpatruje się we mnie. Nie wiem, czego szuka, ani co dostrzega na mojej twarzy, ale nagle smutnieje i mówi z rezygnacją: — Przyszłaś złożyć wypowiedzenie, naprawdę?

Głupie łyzię pieką mnie pod powiekami, jakby nie dość było emocjonalnego zamętu w moim życiu w ostatnim miesiącu.

— Tak mi przykro, Keiro. — Zerkam na Mounta i widzę, jak unosi podbródek w geście aprobaty i pozwolenia, bym mówiła dalej. — Nie chcę cię jednak zostawiać na lodzie, jeśli naprawdę mnie potrzebujesz.

Keira spogląda na męża i mam wrażenie, że odbywają całą rozmowę za pośrednictwem wymiany spojrzeń. Gdy znowu zwraca ku mnie wzrok, kiwa głową.

— Jeśli tego właśnie potrzebujesz, to tak musi być. Co nie oznacza, że nie będę za tobą tęsknić, ale zatrudniliśmy nowe osoby i jakoś sobie poradzimy. Nikt jednak nie będzie w stanie zupełnie cię zastąpić.

— Jesteś pewna? — Nie wiem, jak mam się czuć z tym, że tak łatwo się zgodziła, ale w końcu stwierdzam, że będę szczęśliwa, że nie ma nic przeciwko.

Keira wstaje i wymija Mounta, żeby podejść do mnie.

— Tak, jestem pewna. Prowadzenie tej destylarni było moim marzeniem, odkąd byłam małą dziewczynką. Ale to, że to moje marzenie, nie oznacza, że musi być też twoim. Nigdy nie mogłabym ani próbować zatrzymać cię tu wbrew woli, ani czynić ci wyrzutów, że odeszłaś, żeby robić coś innego, co cię uszczęśliwia. Czy masz jakiś plan?

Kiwam głową.

— Tak. Valentina ma zorganizować wystawę moich rzeźb w Noble Art. Już sprzedałam jej dwie prace, więc mam pewne oszczędności, nawet gdyby mój plan nie wypalił.

— Nie obawiaj się. Widziałam tę rzeźbę, którą sprzedaliśmy. Masz talent. — Keira urywa na chwilę. — Wiesz, że ja też chcę twoją pracę, prawda? Czy mogłabyś zrobić dla mnie taką, która wygląda jak logo Seven Sinners? Oczywiście zapłacę i dam ci zaliczkę. Chciałabym ją wystawić w holu.

Nie daję już rady dłużej powstrzymać łez i czuję, że jedna z nich spływa mi po policzku.

— Naprawdę?

— Oczywiście. To inspirujące i motywujące. Wezmę ją, skoro tylko skończysz — ale nie narzucam ci terminu. Po prostu powiedz mi, ile?

Śmieję się, bo to jedyny sposób, żebym się nie rozplakała z wdzięczności.

— Jeszcze do tego nie doszłam, ale dam znać.

— Prowadziłaś moją firmę, jakbyś się do tego urodziła. Nie wątpię, że pracując na własny rachunek, będziesz jeszcze lepsza. Nie powinnaś w siebie wątpić, Temperance. Będziesz niesamowita.

— Dziękuję — szepczę.

— Nigdy nie będziesz musiała mi za nic dziękować. Uratowałaś mi tyłek więcej razy, niż mogę zliczyć. Jestem ci za to wdzięczna. A poza tym cudownie widzieć, że znowu się uśmiechasz.

Jej uwaga przywraca mnie teraźniejszości i wszystkiemu, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku dni. Jeszcze niedawno byłam nieustannie płaczącym kłębkim nerwów. Dzisiaj... płaczę tylko trochę. Nie mogę jednak powiedzieć Keirze, co się stało... nikomu nie mogę tego powiedzieć, a przynajmniej jeszcze nie.

Zerkam na Mounta i widzę, że uważnie mnie obserwuje. Wtedy przypominam sobie, że *on wie*.

Wiedział od samego początku. Muszę ugryźć się w język, żeby nie zapytać, dlaczego zataił przede mną coś tak ważnego.

Zamiast tego spoglądam mu w ciemne oczy i odbywamy milczącą rozmowę.

Mount: *Powiedz przy mojej żonie choćby słowo o bracie lub tym swoim płatnym zabójcy,*

a poniesiesz konsekwencje.

Ja: Jesteś pieprzonym dupkiem, ale ci wybaczę, ponieważ dwie najważniejsze dla mnie osoby żyją. Ale pierdol się.

Najwyraźniej milcząca ja jest o wiele śmielsza niż prawdziwa ja.

— Mount — mówię, skłaniając głowę. — Dobrze cię widzieć.

On również się kłania.

— Cieszę się, że wzięłaś sobie moje słowa do serca.

— Staram się, jak mogę.

— Tylko tak dalej. Spodziewam się, że rzeźba, którą zamówiła Keira, stanie w holu w ciągu miesiąca.

Keira odwraca się i spogląda na męża.

— Sześciu miesięcy. Nie zamierzam wywierać na nią presji.

— Ona potrzebuje pieniędzy, więc skończy ją wcześniej.

— Ma rację. Dostarczę ją najszybciej, jak będę w stanie. Ale to może zająć dłużej niż miesiąc, ze względu na wystawę.

Moja była szefowa potrząsa głową w stronę męża, po czym znowu zwraca się do mnie i mruga.

— *Jemu* możesz wysłać rachunek już teraz, ale skończysz, kiedy skończysz.

Nie mogę powstrzymać chichotu.

— Zapamiętam to.

— Każę dostarczyć kartony do twojego biura i podczas pakowania możesz mi opowiedzieć o tym asystencie, który pojawił się, kiedy byłam na wakacjach, po czym tajemniczo zniknął wraz z tobą.

Spoglądam na Mounta i widzę na jego twarzy ostrzeżenie, którego nie mogę zignorować.

— Nie popracował tu jako mój asystent... bo zaczęliśmy się umawiać. Usunął się na bok, żebym poradziła sobie z żalobą, ale teraz... wszystko jest na najlepszej drodze.

Mount kiwa głową z aprobatą, a Keira uśmiecha się promiennie.

— Bardzo się cieszę, Temperance. Mam nadzieję, że wkrótce go poznam.

Uśmiecham się również, bo mam wrażenie, jakbym właśnie uniknęła kuli Mounta.

— A teraz — dodaje Keira. — czas cię spakować, żebyś mogła podążać za swoimi marzeniami.

Czterdzieści minut później Kane pomaga mi przenieść pudła z samochodu do mieszkania.

— Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam! Jestem oficjalnie bezrobotna! — Czuję się lżejsza, tak jakby ktoś zdjął mi z barków olbrzymi ciężar.

Odstawiam niewielkie pudełko na blat, podczas gdy Kane stawia większe w rogu salonu i odwraca się do mnie.

— Nie jesteś bezrobotna, tylko *samozatrudniona*. To nie to samo.

Biorę głęboki oddech i na twarz wypływa mi tak szeroki uśmiech, że aż bołą policzki.

— Tak czy siak, naprawdę dobrze się z tym czuję. To zupełnie nowy początek!

Kane podchodzi do mnie, pokonując pokój zaledwie kilkoma krokami.

— Tak właśnie się poczułem, gdy drugi raz pojawiłaś się w klubie.

Ciepło rozchodzi mi się w piersi.

— Naprawdę?

Kiwa głową.

— Dlaczego za drugim razem?

— Bo pierwszy był jak sen. Drugi raz był obietnicą, początkiem czegoś, co mogło być czymś więcej niż przelotną znajomością w klubie. Wszystko było inne. Ty byłaś inna.

Przypominam sobie, jak zostawił mnie przykrytą kocem, z liścikiem, w którym pisał, że chciałby znowu się ze mną zobaczyć. Świadomość, że to była prawda, sprawia, że ogarnia mnie kolejna fala ciepła.

Korzystam z okazji, żeby zadać kolejne pytanie, które chodziło mi po głowie.

— Czy gdybyś nie zobaczył mnie w destylarni podczas licytacji, to szukałbyś mnie?

Jego spojrzenie poważnieje.

— Oczywiście. Nie jesteś kobietą, od której mężczyzna może odejść, nie mając zamiaru wrócić możliwie jak najszybciej.

W oczach znowu wzbierają mi łzy, ale tym razem nie pozwalam im popłynąć. Mam lepszy pomysł.

— Pocałuj mnie, Kane.

— Masz na myśli, że mam pocałować artystkę, którą kocham?

Uśmiecham się jeszcze szerzej, bo mogę skreślić kolejną rzecz z listy.

— Tak, pocałuj ją.

Wsuwa mi dłoń we włosy, kiedy się nade mną pochyla.

Godzinę później leżymy objęci w łóżku, gdy na mój telefon przychodzi wiadomość.

— Nie chcę patrzeć. Naprawdę nie chcę, żeby dzisiaj rzeczywistość tu wkroczyła.

Kane odgarnia mi kosmyk włosów z twarzy.

— My jesteśmy realni, księżniczko. Rzeczywistość nic tu nie zmieni. Zobacz, o co chodzi i czy to coś ważnego, i wracaj tu do mnie.

Wyplątnę się z jego objęć z westchnieniem i idę do salonu znaleźć torebkę. Telefon znowu się odzywa.

Wyjmuję go i zerkam na ekran.

— Co, u licha?

— Co? — woła Kane.

— To od Magnolii.

Rozdział 24

Kane

Nie mam pojęcia, czego, u diabła, może chcieć Magnolia, ale nie podoba mi się, że jedna z najbardziej znanych burdelmam w Nowym Orleanie pisze esemesy do mojej kobiety lub nachodzi ją w mieszkaniu. Najwyraźniej to, co Magnolia ma do powiedzenia Temperance, musi przekazać osobiście, bo przez telefon byłoby niebezpiecznie.

To sprawia, że mam jeszcze większe wątpliwości, czy pozwolić Temperance spotkać się z nią sam na sam, ale nie mogę zaprzeczyć, że Magnolia może być wobec niej bardziej otwarta niż w mojej obecności.

Dlatego właśnie słucham przez szparę w drzwiach sypialni, kiedy Temperance wpuszcza Magnolię do domu.

— Co się dzieje? Brzmiałaś, jakby to było coś ważnego — stwierdza Temperance.

— Sądziś, że ruszyłabym swój tyłek z Dzielnicy Francuskiej, gdyby to nie było ważne? Oczywiście, że jest ważne, dziewczyno. Czy smutek sprawił, że totalnie straciłaś rozum?

Magnolia stała obok Keiry tego dnia na cmentarzu, gdy sądziły, że chowają Ransoma, i teraz zastanawiam się, czy był on na tyle głupi, żeby się z nią skontaktować i powiedzieć, że nadal żyje. Sądząc z tego, jak nerwowo stuka obcasami po drewnianej podłodze mieszkania Temperance, pewnie nie.

— O czym ty mówisz?

— O tobie. Rzuciłaś pracę. Mogę to tłumaczyć jedynie tym, że zwariowałaś ze smutku. Tylko dlatego mogłaś być aż tak głupia. Musisz iść do Ke-Ke i błagać ją, żeby przyjęła cię z powrotem.

Naleganie w głosie Magnolii od razu mnie drażni. Ona wie coś, czego ja nie wiem, a to nigdy nie jest dobre.

— Dlaczego?

Pytanie Temperance jest dokładnie tym, na które chcę usłyszeć odpowiedź. Nie mam pojęcia, dlaczego Magnolię miałyby obchodzić, że Temperance odchodzi z pracy.

I wtedy właśnie Magnolia odpala prawdziwą bombę.

— Bo potrzebujesz znaleźć się w kręgu chronionym przez Mounta. Nadal są ludzie, którzy mogą próbować cię skrzywdzić ze względu na twojego brata. Chyba że chcesz skończyć martwa.

Ludzie? Wiemy o Lagarcie, ale jeśli to, co mówi Magnolia, jest prawdą, kogoś przeoczyliśmy i nie mogę tego znieść.

Rozdział 25

Temperance

Wpatruję się w Magnolię, jakby mówiła w obcym języku.

— Kto? O czym ty mówisz?

Ta nieco onieśmielająca kobieta — z perfekcyjną fryzurą, idealnymi włosami i makijażem — spogląda na mnie ostro.

— Wiem, że nie jesteś częścią mojego świata, i nie chcę, żebyś nią była, ale nawet sobie nie zdajesz sprawy, jak fatalny ruch właśnie wykonałaś. Naraziłaś się na niebezpieczeństwo w chwili, w której rozeszła się wieść, że nie znajdujesz się już pod ochroną Mouna. Musisz postarać się tam wrócić, inaczej wkrótce będziesz tak samo martwa jak twój brat.

A więc mamy odpowiedź na jedno z pytań: nie wie, że Rafe żyje.

Ale i tak najwyraźniej ma informacje, których nie mam ja.

— Przed kim potrzebuję ochrony? — pytam, mając nadzieję, że Kane słyszy każde słowo przez uchylone drzwi sypialni. Oboje musimy wysłuchać tego, co Magnolia ma do powiedzenia.

— A jak myślisz? — pyta beczelnie, co wydaje się jej naturalnym zachowaniem, i opiera dłoń na biodrze.

Próbuję uruchomić mizerne zdolności aktorskie i uzewnętrznić nadal tkwiący we mnie smutek.

— Kane powiedział... Kane mówił, że jeśli zabiją Rafe'a, to nie będzie powodu, żeby próbowali dopaść też mnie. Nie rozumiem... — Głos mi się łamie.

Magnolia spogląda na mnie uważniej.

— Kim, do cholery, jest Kane?

Szlag! Nie tylko jestem fatalną aktorką, ale na dodatek zdradziłam część prawdziwej tożsamości Kane'a. *Świetnie, Temperance, po prostu świetnie.*

Niemal spodziewam się, że teraz Kane wypadnie z drzwi sypialni, tak się jednak nie dzieje. Sama muszę się wykaraskać z tego bałaganu i ustalić, co wie Magnolia.

— Tak kazał mi do siebie mówić — szepczę.

— Ten skurwiel, który zabił Rafe'a? — Jej głos zmienia się w syk.

Nie odpowiadam, bo uświadamiam sobie, że naprawdę koncertowo spieprzyłam sprawę. Magnolia jednak nie oczekuje odpowiedzi, bo sama ma dużo do powiedzenia.

— Mam nadzieję, że diabeł powitał go z otwartymi ramionami, bo w przeciwnym razie sama bym go zabiła.

— Jak sądzisz, kto mógłby chcieć mnie zabić? Dlaczego potrzebuję ochrony? — pytam, starając się zmienić temat.

Magnolia nie prosi o pozwolenie, tylko rusza w kierunku sofy i się rozsiada.

— Siadaj — mówi. Przysięgam, ta kobieta lubi rządzić jeszcze bardziej niż Keira.

Wykonuję jej polecenie, ale tylko dlatego, że ma informację, której potrzebuję.

— Muszę to wiedzieć. Nie będę w stanie się chronić, jeśli nie będę wiedzieć.

Przyciska po dwa palce do skroni i wypuszcza powietrze. Dopiero wtedy dostrzegam zmęczenie na jej twarzy. Magnolia może być najpiękniejszą kobietą w Nowym Orleanie, ale jest w niej twardość stali, która zahartowała się jeszcze w ciągu ostatniego miesiąca, być może pod wpływem żałoby.

— Mags, błagam. Nie proszę, żebyś mnie w to wciągała.

Spogląda na mnie.

— Nie chcę ci tego wyjaśniać. Nie musisz wiedzieć tego, co ja wiem. Nie musisz dźwigać tego brzemienia.

— Ale jeśli jestem w niebezpieczeństwie...

— Tylko dlatego ci to mówię. W przeciwnym wypadku zabrałabym tajemnicę do grobu, ale podobno spowiedź jest dobra dla duszy.

Czekam w milczeniu, bo mam wrażenie, że Magnolia potrzebuje chwili, żeby zebrać myśli.

— To moja wina. To wszystko moja wina. — Twarz Magnolii wykrzywia się z bólu. — Nigdy nie powinnam była go w to angażować. Nie powinnam przekazać Rafe'owi informacji o tej robocie. Albo przynajmniej powinnam była zadać więcej pytań, żeby wiedział, z czym ma do czynienia.

— Zaraz, to *ty* załatwiłaś mu tę robotę od... — zniżam głos, jakbym miała powiedzieć coś okropnego i chyba tak naprawdę jest. — Handlarzy żywym towarem?

Przez twarz Magnolii przebiega grymas bólu.

— Ludzie przychodzą do mnie, gdy potrzebują czegoś albo żeby coś zrobić. Wykorzystuję swoje kontakty i sprawiam, że to się dzieje. Nie powiedzieli mi, na czym polega robota, jedynie zapytali, czy znam kogoś, kto mógłby ją wykonać.

Wiedząc to, co wiem o jej przeszłości, nie jestem w stanie sobie wyobrazić, że Magnolia świadomie zrobiłaby coś takiego. Pracowała na ulicy jako nastolatka, a sprzedawanie innych kobiet do burdelu... jest po prostu *złe*.

— Ale...

Ucisza mnie szybkim gestem.

— Wiem, co chcesz powiedzieć. Ale Magnolia Maison przecież cały czas sprzedaje kobiety, więc co za różnica?

Kiwam głową.

— Moje dziewczyny mają *wybór*. Wiedzą, co robią. Daję im inne możliwości, nim przyjmą pierwszego klienta. Jeśli nie są w stanie tego znieść, pomagam znaleźć zajęcie, które pozwoli zarobić na życie bez rozkładania nóg.

— Jak w takim razie udaje ci się w ogóle znaleźć dziewczyny do pracy? — To dla mnie zagadka. Sądziłam, że tylko desperacja może je pchać do czegoś takiego.

— Jesteś bystrą dziewczyną. Co byś zrobiła, gdybyś mogła zarobić w jedną noc tysiąka za jedną rzecz albo miała harować cały dzień za stówkę? Może dwie stówki, gdybyś miała szczęście? Moje dziewczyny zarabiają bardzo dobre pieniądze. Sama sobie policz, co się bardziej opłaca. Gdy potrzebuje się pieniędzy i nie ma zbyt wielu innych opcji, nie trzeba geniusza, żeby zauważyć dobre strony takiego rozwiązania. A poza tym jestem pod ochroną Mouna, a to oznacza, że moje dziewczyny też. Ludzie wiedzą, że on nie pozwoli, żeby ktoś je skrzywdził. To byłoby jak kara śmierci.

Słucham jej i widzę inny obraz sytuacji niż do tej pory. Jednak nie o to chodzi w całej tej rozmowie.

— A więc mam uwierzyć, że nie pomagałabyś w handlu kobietami.

— Nigdy.

— A jednak mój brat został wplątany w przemyt ludzi.

— Musiałam oddać przysługę ważnemu człowiekowi. Ale nie sądziłam, że zajmuje się handlem ludźmi.

— Kolejny handlarz żywym towarem? Czy mój brat o tym wiedział? — pytam, zastanawiając się, czy jest jeszcze ktoś, o kim brat ani Kane nie wiedzieli.

Magnolia wzrusza ramionami.

— Kto?

Tego pytania nie zadaję ja, lecz Kane, który nagle wyłania się z mojej sypialni, wchodząc do salonu.

Cała krew odpływa z twarzy Magnolii. Gdy się opanowuje, robi znak krzyża.

— Jesteś pieprzonym duchem. Wiem, że jesteś duchem! — Odwraca głowę do mnie. — Co, do diabła, się dzieje, Temperance? Dlaczego masz w mieszkaniu *pieprzonego ducha człowieka, który zabił twojego pieprzonego brata*?

Siedzi na kanapie napięta jak struna, gotowa w każdej chwili zerwać się i albo uciec, albo zaatakować. Jestem wstrząśnięta jej pytaniem.

Skąd może wiedzieć, że to Kane strzelił do Rafe'a, a potem sam został zastrzelony? Magnolii tam nie było. Informacje na ten temat nigdy nie pojawiły się w gazetach. Mount wszystko zatuszował.

Więc skąd ona to wie?

— Nie jestem duchem, Mags. Jestem prawdziwy i chcę nazwiska. Teraz. — Ton Kane'a nie zostawia pola do żadnej dyskusji, jednak Magnolia wydaje się nie słyszeć groźby w jego głosie tak wyraźnie jak ja.

Zrywa się z kanapy i zanim się zorientuję, co się dzieje, doskakuje z niewielkim pistoletem w dłoni do Kane'a.

— Nie! — Zrywam się i zasłaniam go swoim ciałem, odwracając się plecami do Magnolii. Zastygam w przerażeniu, czekając, aż przesyje mnie kula, jednak tak się nie dzieje.

— Co ty, do cholery, wyprawiasz?! — Kane chwyta mnie za ramiona i wpatruje się z wściekłością. Jego niebieskie oczy są pociemniałe od gniewu, a usta zaciśnięte w cienką kreskę.

— Nie mogę pozwolić, żeby...

Chwyta mnie mocniej i odsuwa w bok, odsłaniając się przed Magnolią.

— *Nigdy* nie stawaj pomiędzy mną a kulą. *Nigdy*. Moje życie nie jest warte nawet sekundy twojego.

— Niech ktoś mi lepiej wyjaśni, co tu się w ogóle dzieje! — domaga się Magnolia drżącym głosem i spoglądam na nią.

Nadal trzyma w trzęsącej się dłoni pistolet i gładzi palcem spust.

— Skąd, do diabła, dowiedziałas się, co się wydarzyło na lotnisku? — pyta Kane.

— To nie ma żadnego pieprzonego znaczenia, prawda? A już na pewno nie będzie go miało, gdy dopilnuję, żebyś *naprawdę* zginął, a nie tylko upozorował własną śmierć.

— Rafe też nie zginął naprawdę! — wypalam, ponieważ zrobiłabym wszystko, żeby tylko odwróciła lufę pistoletu od Kane'a. — Żyje, wczoraj z nim rozmawiałam. To wszystko było ustawione.

Lufa drży.

— Nie wierzę ci. Ale wierzę, że *Saxon* nie miał problemu, żeby odebrać resztę wynagrodzenia po tym, jak udawał, że zginął.

— Odłóż broń, Mags — mówi Kane. — To nie były prawdziwe kule.

Jego słowa sprawiają jedynie, że znowu zaczyna w niego celować.

— Lepiej to udowodnij, zanim pociągnę za ten pieprzony spust i wykończę cię na miejscu. Ja nie chybiam.

Próbuję innej taktyki.

— Naprawdę sądzisz, że on jeszcze by żył, gdyby nie to, że Rafe też żyje? Sama bym go zabiła. Tak naprawdę to nawet próbowałam, zanim mi nie wyznał, że Rafe nie umarł.

Magnolia spogląda raz na mnie, raz na Kane'a.

— Chcesz porozmawiać z Ransomem? — pyta Kane. — Możemy do niego zaraz

zadzwoić, ale musisz najpierw odłożyć broń.

— Myślisz, że jestem głupia? Nie wypuszczę pistoletu z dłoni, dopóki nie zobaczę jego twarzy. I nie łudź się, że jeśli pociągnę za spust, to chybię. Nigdy nie chybiam.

Wskazuje na mnie głową.

— Ty podaj jego telefon. Nie ufam mu za grosz. A już na pewno nie ufam, że nie pociągnie za spust, gdy ja mierzę z pistoletu do ciebie. Poznaję ten wyraz twarzy. Widziałam go u Mounta tuż przed tym, nim kazał zabić kogoś, kto powiedział coś niewłaściwego Ke-Ke.

Spoglądam w oczy Kane'a i gdy kiwa głową, idę do sypialni po jego telefon.

— Potrzebne mi twoje hasło.

— Twój odcisk palca działa.

Spoglądam na niego zdumiona.

— Co? Jak to możliwe?

— Naprawdę chcesz o tym teraz rozmawiać?

Kręcę głową i przyciskam kciuk do czytnika. Telefon rzeczywiście zostaje odblokowany.

— Później będziemy musieli porozmawiać o tym, jak sprawiłeś, że to działa.

— Zadzwoń do brata, zanim spróbuję rozbroić Magnolię, ryzykując, że przypadkowo postrzeli kogoś z nas lub Harriet.

Przenoszę wzrok na Magnolię, która wprawdzie zdjęła palec ze spustu, ale nie opuściła broni.

Kiwam głową i pytam Kane'a o numer. Recytuje go z pamięci. Zanim zdążę nawiązać połączenie, Magnolia mi przerywa.

— Nie, chcę zobaczyć jego twarz. Nie wierzę, że nie macie jakiegoś podstawionego aktora, gotowego się pod niego podszyć.

Jej prośba wcale nie wydaje się szalona, właściwie powinnam była poprosić o to samo, ale nawet nie przyszło mi to do głowy.

— W takim razie musimy użyć innego numeru, ale nie jestem pewien, czy go odbierze.

— Módl się, żeby tak się stało — mówi ostrym tonem Magnolia.

Po chwili wybieram nowy numer i klikam połączenie wideo. Zanim zostaje nawiązane, wbijam w nią wzrok.

— Nie strasz nasz. Pamiętasz, co mi przed chwilą powiedziałaś? To ty nas wszystkich w to wpakowałaś. Teraz inni próbują sprzątnąć ten bałagan.

Rafe odbiera po trzecim sygnale.

— Czego, do kurwy, chcesz? Stęskniłeś się za moją piękną buźką, Saxon?

Uświadamiam sobie, że w tym momencie nie widzi nic poza sufitem, więc przechylam telefon tak, żeby kamera mogła pokazać moją twarz.

— Tempe?

Kiedy tylko Magnolia słyszy, jak brat wypowiada moje imię, wydaje z siebie okrzyk.

— O mój Boże! — Rusza chwiejnie w moją stronę, a Kane wrywa jej pistolet, zanim zdąży postawić drugi krok. — Puść mnie, dupku.

Rafe marszczy czoło.

— Magnolia? Co, u diabła, się dzieje?

— Ona...

Zanim zdążę wyjaśnić, Magnolia wrywa mi telefon i wpatruje się w mojego brata, a łzy płyną jej po twarzy.

— Myślałam, że nie żyjesz. O słodki Jezu, myślałam, że nie żyjesz.

Nigdy nie widziałam, żeby opanowana kobieta tak szybko zupełnie się rozkleiła. Magnolia kocha mojego brata, tego mogę być cholernie pewna.

Nie jestem za to pewna, co o tym myśleć, ale to nie ma w tej chwili znaczenia, bo właśnie mówi mu przez telefon wszystko, co wie.

— Nie chciałam cię w to wciągać. Nie wiedziałam, że on handluje ludźmi. To wszystko moja wina. Tak cholernie mi przykro, skarbie, Proszę, wróć do mnie do domu.

Kane jej przerywa.

— Magnolia twierdzi, że jest jeszcze ktoś. Przyszła do twojej siostry, martwiąc się, że on w jakiś sposób również jej zagraża. Nie chce nam powiedzieć, kto to jest, bo chciała zabić mnie za to, że zabiłem ciebie.

— Kto powiedział ci, że to Saxon pociągnął za spust, Mags? — pyta mój brat i sędzę, że podobnie jak my zastanawia się, czy Magnolia wie więcej, niż nam mówi.

— To nieważne, kochanie. Ważne jest tylko, żebyś do mnie wrócił cały i zdrowy.

Głos brata łagodnieje i po raz pierwszy jestem w stanie wyobrazić ich sobie razem.

— Skarbie, nie mogę wrócić, dopóki wszyscy ci dranie nie będą martwi, więc musisz nam powiedzieć wszystko, co wiesz. Kto jeszcze jest w to wplątany?

Sądziłam, że na prośbę Rafe'a Magnolia od razu wszystko wyśpiewa, ona jednak milknie na kilka sekund.

— Jeśli go nie znajdziesz, zanim się nie dowie, że go wsypałam, będę martwa. Nie podam ci nazwiska, dopóki mi nie obiecasz, że dopadniesz go pierwszy.

— Wiesz, że nie pozwoliłbym, żeby cokolwiek ci się stało — zapewnia ją Rafe.

Magnolia wpatruje się w telefon, mruży oczy.

— Sądziłam, że ten dupek zabił cię dla pieniędzy! Płakałam po tobie, nadal jestem w żałobie i ubieram się na czarno! Wiesz, że potrafię dotrzymać tajemnicy, mogłeś mi zdradzić ten plan. Nic bym nikomu nie powiedziała. Mogłeś mi zaufać.

Nie mogę się powstrzymać przed zerknięciem na Kane'a, ponieważ Magnolia brzmi niemal jak ja, kiedy poznałam prawdę. Zastanawiam się, czy mój brat odpowie podobnie jak on.

— Wiesz, że nie mogłem ci powiedzieć. Trzymałem to przed tobą w sekrecie z ważnego powodu. Nie chciałem cię narażać. A poza tym Saxon i Mount nalegali. To oni nie mieli do ciebie zaufania, nie ja.

O cholera.

Magnolia patrzy wrogo na Kane'a.

— Powinnaś była cię zastrzelić, kiedy miałam szansę.

— Podaj nam to nazwisko, Mags, a będziesz mogła razem ze swoim facetem odjechać w stronę zachodzącego słońca, skoro tylko zabijemy tych sukinsynów.

Wydyła usta i wodzi oczami w kolorze whiskey po wszystkich biorących udział w rozmowie, nim wreszcie udzieli nam informacji.

— Giles. Lewis Giles jest człowiekiem, którego musicie zabić.

Rozdział 26

Kane

Wiedziałem, kurwa.

Dobry Giles to martwy Giles. Nigdy wcześniej nie miałem wystarczającego powodu, żeby go sprzątnąć, ale teraz już mam.

— Powiedz mi wszystko. Jak daleko to sięga?

Giles jest senatorem stanowym, więc nie ma szans, żeby sam za tym stał. Jeśli zajmuje się handlem kobietami, to przekazuje je innym kupcom, którzy być może również piastują państwowe stanowiska.

— Nie wiem — mówi Magnolia gardłowym, schrypniętym głosem. — Sądziłam, że rozprawia dla kogoś narkotyki, nie że handluje ludźmi.

— Cholera, a więc są w to zaangażowani politycy? — pyta Ransom. — Jasna cholera, teraz będziemy musieli sprzątnąć połowę stanowej administracji.

— Proszę, powiedz mi, że to się nie dzieje naprawdę — mówi Temperance, po czym spogląda na mnie błagalnie.

Chciałbym jej oszczędzić pewnych rzeczy, ale nie jestem w stanie. Czas już też jakoś zakończyć aferę z Magnolią. Wyrwam jej telefon, ignorując okrzyk protestu. Wyciągam ramię, odsuwając ją od siebie i uniemożliwiając odebranie go z powrotem.

— Ty sprzątnij swój cel, ja dowiem się i czegoś więcej o Gilesie, i z kim jest powiązany. Nie zabiję go, dopóki nie rozpoznamy dokładnie, jak daleko to sięga. Nie zmieniaj swoich celów, Ransom, rozumiemy się?

Ransom kiwa głową.

— Rozumiem.

— Znajdź tego skurwiela, którego musisz zabić, i wracaj. Najwyraźniej niektórym ludziom na tobie zależy.

Temperance śmieje się, jednak brzmi w tym nutka hysterii. Magnolia wykrzykuje coś na znak zgody, jednocześnie nie przestając wymachiwać rękami i próbując odzyskać telefon. Kończę połączenie i chowam aparat do kieszeni.

— Jesteś zadowolona? On żyje i stara się to zakończyć. Nie możesz się z nim do tego czasu kontaktować, czy to jasne?

Magnolia niemal warczy.

— Co za wyniosły dupek. Zawsze wiedziałam, że jesteś typem, który lubi dominować, ale nie przypuszczałam, że zwyczajnym draniem. — Spogląda na Temperance. — Mam nadzieję, że jesteś w stanie sobie z tym poradzić.

Temperance podchodzi do mnie, a ja obejmuję ją ramieniem w talii, przyciągając do swojego boku.

— Jestem w stanie poradzić sobie ze wszystkim z jego strony.

Mam tylko nadzieję, że mówi prawdę, bo zanim to wszystko się skończy, sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót.

Rozdział 27

Temperance

Magnolia wychodzi z mojego mieszkania w podobnie dramatyczny sposób, jak tu przybyła. Gdy tylko zamykają się za nią drzwi, odwracam się do Kane'a.

— Ufasz jej?

— Tylko jeśli mogę jej patrzeć na ręce.

Jego odpowiedź nie napawa mnie ulgą.

— A więc co teraz zrobimy?

Kane przyciąga mnie do siebie i całuje w czoło.

— Wracamy do mnie.

— Wymyślimy jakiś plan i przyskrzynimy Gilesa?

Kane znowu całuje mnie w głowę.

— Ty zajmiesz się tworzeniem sztuki, a ja poszukam czegokolwiek, co mogłoby wiązać Gilesa z tą sprawą. Mam kilka kontaktów w ciemnej sieci, może będą coś wiedzieć. Przez większość życia był postacią publiczną, więc na pewno jest mnóstwo ludzi, którzy go nienawidzą i będą skłonni sprzedać. Muszę tylko znaleźć takich, którzy mają właściwe informacje.

Nie podoba mi się, jak to brzmi, ale Kane chociaż będzie bezpieczny w bat-jaskini. Przynajmniej *na razie* nie przygotuje stanowiska snajperskiego, żeby zdjąć Gilesa.

— A potem?

— Pozwól, że ja się będę tym martwić.

— Kane... — W moim głosie brzmi nuta ostrzeżenia. — Nie zgadzam się tym razem nic nie wiedzieć. Musisz mnie informować na bieżąco. Tak się umawialiśmy.

Odwraca na chwilę wzrok, po czym ujmuje moją twarz w dłonie.

— Powiem ci, kiedy tylko ustalę, co tak naprawdę się dzieje. Magnolia mogła kłamać. Ona zawsze ma jakieś własne cele. — Urywa. — Nie zrozum mnie źle. Nie ma mowy, żebym wpłatał cię w cokolwiek niebezpiecznego. A jeśli uda się to załatwić szybko, być może dowiesz się dopiero po wszystkim.

Naprawdę mi się to nie podoba.

— Ale...

— Czasami tak właśnie się to odbywa i gównie jestem w stanie na to poradzić. Ale mogę ci obiecać jedno: niezależnie od wszystkiego wrócę do ciebie do domu. Mam teraz powód, żeby żyć i nic nie powstrzyma mnie od walki o nasze wspólne życie. Czy to ci pasuje?

— Jeśli tylko do mnie wrócisz.

Dwie godziny później udało mi się rozładować część napięcia poprzez obróbkę metalu. Miałam przebliski natchnienia związane z zamówieniami od Valentyny: teraz pracuję nad rzeźbą będącą znacznie większą wersją zrobionej dla Harriet. Muszę złożyć ofertę najpierw jej: inaczej pozostanie niepokieszona. Mam nadzieję, że Valentina to zrozumie.

Gdy odkładałam młotek na miejsce, przypadkowo uderzam nim w coś, co zostało wepchnięte pomiędzy ścianę a skrzynkę z narzędziami.

To wojskowy jeep, którego kiedyś zespawałam dla Kane'a. Podnoszę rzeźbę i obracam w dłoniach.

Wykonałam ją w dniu, w którym całe moje życie obróciło się w ruinę. Teraz mogę

powiedzieć, że stało się tak, żeby mogło powstać coś większego i lepszego.

Wcześniej Kane stanowił dla mnie przede wszystkim tajemnicę. Byłam nim zafascynowana, ale nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mogę go kochać.

Teraz — wiedząc, że opracował cały ten plan z moim bratem — rozumiem, że nie ma niczego, czego nie zrobiłby, żeby mnie chronić — chociaż to naprawdę było dla mnie bolesne doświadczenie. Wielokrotnie narażał swoje życie — *dla mnie*.

Wybaczyłam mu, ale nie podziękowałam tak, jak na to zasługuje. Owijam jeepa w swoją starą koszulkę, wkładam pod pachę i ruszam do windy. Po wejściu do kabiny uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, jak się dostać na piętro.

Wciskam guzik *Zadzwoń* i po chwili odzywa się Kane.

— Utknęłaś w windzie, księżniczko?

— Nie, ale sądzę, że już czas, żebym obejrzała serce bat-jaskini.

Słyszę w głośniku śmiech.

— Dobrze.

Chwilę później winda rusza i zamiast pojechać na drugie piętro jak zawsze, zatrzymuje się na pierwszym. Gdy drzwi się otwierają, Kane stoi już za nimi, odsuwa kratę i mnie wypuszcza.

Spoglądam za niego, jednak widzę tylko pusty ciemnopopielaty korytarz.

— To wszystko? Spodziewałam się nietoperzy i może jeszcze wodospadu.

Unosi kącik ust w lekkim uśmiechu.

— Chodź, pokażę ci.

Prowadzi mnie i na chwilę zatrzymuje się przed pierwszymi drzwiami.

— Tu jest siłownia — mówi, otwierając.

Zaglądam do środka.

— Jasny gwint! — Opada mi szczeka, gdy lustruję olbrzymie wnętrze wypełnione sprzętem do ćwiczeń. — Rany! Spodziewałam się hantli i ławeczki, a ty jesteś w pełni profesjonalnie wyposażony!

Kane śmieje się.

— Staralem się. Chodźmy dalej, to nie jest ta część bat-jaskini, którą chciałaś zobaczyć.

Ma rację. Odwracam się, żeby pójść za nim do kolejnych drzwi na końcu korytarza. Na ścianie przy nich znajduje się skomplikowana klawiatura i coś, co jest skanerem siatkówki — a przynajmniej taką mam nadzieję, bo pasowałoby do mojego wyobrażenia o tym miejscu.

I mam rację.

Kane przykłada palce do kawałka szkła i spogląda w skaner, po czym drzwi się otwierają — i *naprawdę* jestem oszołomiona.

— Jasna cholera, to niemożliwe!

Mam wrażenie, jakbym właśnie weszła do Pentagonu, a nie pomieszczenia przeznaczonego dla zwykłych ludzi. Wnętrze, które oglądam, jest jak bunkier dla najważniejszych przywódców wojskowych i prezydenta. Wszystko wygląda tak wymyślnie, że boję się czegokolwiek dotknąć, żeby nie popsuć.

— Czy przygotowujesz stąd atak nuklearny? Czy też planujesz to dopiero na następny tydzień?

Kane znowu się śmieje, ale to wcale nie był do końca żart.

— Niezupełnie. To bardziej operacja „Ratujmy tyłek Ransoma”.

Moja wesołość ulatnia się i przypomina mi się, dlaczego w ogóle chciałam rozmawiać z Kanem.

— Naprawdę nie umiem nawet wyrazić, jak jestem wdzięczna za to, co robisz. To znaczy

dla mnie więcej, niż możesz sobie wyobrazić. Mam dla ciebie coś... to nic wielkiego i oczywiście nie wystarczy, ale zrobiłam ją dla ciebie i chcę, żebyś ją miał. — Wyciągam w stronę Kane'a koszulkę.

Spogląda na mnie, unosząc brwi.

— Twoją koszulkę?

— Zobacz, co jest w środku.

Gdy odwija materiał i spogląda na kawałki metalu, które zespawałam, zastanawiam się, czy rozpozna, co to jest. W tym, co tworzę, nie zawsze można dostrzec na pierwszy rzut oka, co zamierzałam odwzorować, ale wydaje mi się, że tym razem się to udało.

— To jest...

— Willys — dokańcza za mnie. — Z takich, jakie początkowo produkowane były dla armii, prawda?

Kiwam głową.

— Tak. Zrobiłaś go dla mnie?

— Jeszcze zanim... zanim to wszystko się wydarzyło. Nie miałam czasu, żeby dać ci wtedy, ale teraz chciałabym, żebyś go miał. Naprawdę jestem ci wdzięczna.

Trzyma jeepa w jednej dłoni, a drugą wyciąga do mnie.

— Nie zrobiłem tego, żebyś była mi wdzięczna. Mówiłem ci, zrobiłbym to, nawet gdybyś mnie nienawidziła. Chwilę trwało, nim zrozumiałem, czym powinna być miłość.

— Cholera, zaraz znowu się rozplączę.

— Ciii... już niedługo będzie po wszystkim, księżniczko. Obiecuję.

Kane odstawia rzeźbę na bok i obejmuje mnie ramionami. Wdycham jego zapach i chłonę siłę. Tkwimy w objęciach przez kilka minut, aż wreszcie przerywam milczenie.

— Czy fakt, że Giles jest w to zaangażowany, sprawia, że to dla ciebie trudniejsze?

Czuję, że Kane całuje mnie w głowę.

— Sam nie wiem. Na pewno nie upraszcza sprawy. Jego kontakty mogą sięgać dalej, niż to sobie uświadamiamy.

Tego właśnie się obawiam.

— I co wtedy? Czy to oznacza, że to nigdy się nie skończy?

Kane spogląda na mnie kamiennym wzrokiem.

— Skończy się. Obiecuję. Nawet gdybym musiał osobiście zabić wszystkich, którzy są w to wplątani.



Rozdział 28

Temperance

Kolejne dwa tygodnie są przedziwną mieszaniną surrealizmu i nerwów.

Nerwów, bo Lagarto nadal jest na wolności gdzieś w Meksyku. Rafe miał go na muszce koło Mexico City, jednak samochód tego dupka wyleciał w powietrze, zanim Rafe pociągnął za spust, trafiając w szybę pobliskiego sklepu. Na szczęście nikt sobie nie uświadomił, że to nie skutek wybuchu, przynajmniej wnosząc z artykułów online. Lagarto okazał się naprawdę sprytny i śliski jak wąż.

Początkowo planowałam przygotować figurę aligatora na wystawę, ale teraz każdy gad mnie wkurza.

Zamiast tego pracuję nad zdobioną czaszką i wiem, że będzie *imponująca*. To znaczy będzie, jeśli znajdę coś odpowiedniego, żeby zrobić nos. Żaden z kawałków metalu, które przycięłam do pożądanego kształtu, nie odpowiada mi do końca. Potrzebuję czegoś innego. Czegoś nowego.

Biorę telefon i wybieram numer Kane'a, chociaż jest zaledwie piętro wyżej.

— Hej, księżniczko. Potrzebujesz mnie?

To ta surrealistyczna część ostatnich tygodni. Kane i ja.

Budujemy sobie wspólne życie i okazuje się równie piękne, jak jedna z moich rzeźb. Nie jest ani idealnie, ani zwyczajnie, ale to, co się dzieje, jest nasze. Spędzamy noce w moim mieszkaniu, w większym łóżku, które Kane kupił i kazał dostarczyć, a rano zjadamy śniadanie i pijemy kawę w kawiarni, a potem jedziemy do domu Kane'a, gdzie każde z nas w samotności zajmuje się pracą.

Kane jest zagorzałym inwestorem jednosesyjnym, o czym nie wiedziałam, dopóki nie zapytałam, czym wypełnia sobie czas. Okazało się więc, że nie tylko mokrą robotą zarobił na dom i wszystko, co się w nim znajduje. Tak naprawdę jest finansowym geniuszem, co jest zarabiscie fajne.

— Tak, muszę skoczyć na złomowisko.

— A już myślałam, że chcesz obrabować bank.

— Na razie daruję sobie przestępstwa, ale potrzebuję kawałka metalu i za nic nie mogę znaleźć odpowiedniego. Pomyślałam, że może wyprawa na złomowisko pozwoli mi coś wyhaczyć, a przy okazji podsunie mi inspirację — wyjaśniam. Muszę przygotować więcej prac na wystawę; jeszcze się do tego nie zabrałam, a już najwyższa pora.

— Już schodzę. Znam miejsce, które może ci się spodobać.

— Dziękuję, skarbie.

Kończę połączenie i odkładam telefon na stół roboczy, na którym przysiadam, żeby przyjrzeć się swoim dziełom.

W ciągu dwóch tygodni poświęconych na walenie młotkiem, cięcie, gięcie i spawanie, udało mi się ukończyć więcej rzeźb, niż wcześniej uznałabym za możliwe. Co więcej, jestem naprawdę dumna z każdej z nich.

Rzeczywiście będę mogła stanąć przed nimi z dumą i przyznać się, że je stworzyłam. Każda jest wyjątkowa, nie da się jej idealnie odtworzyć. I każda zawiera w sobie jakąś część samochodową — postanowiłam, że będzie to mój swoisty podpis.

— Jasny gwint, księżniczko — Kane idzie w moją stronę, nie odrywając oczu od ozdobnej czaszki. — To naprawdę będzie niesamowite, kiedy skończysz. Już teraz robi wrażenie.

Rozciągam wargi w uśmiechu. To faktycznie wspaniałe czuć wsparcie kogoś, kto wierzy w ciebie i twoje marzenia.

— Tak sądzisz?

Zatrzymuje się przede mną i odgarnia mi z twarzy kosmyk, który wysmyknął się spod chustki.

— Wiem to. Naprawdę jesteś w tym świetna, Temperance. Wiedziałem, że tak będzie. Teraz będziesz musiała mnie przekonać, żebym nie kupił ich wszystkich, żeby je zatrzymać.

Przewracam oczami.

— Nie będziesz kupował żadnej z nich.

— Nie? — Przechyliła głowę na bok. — A to niby dlaczego?

— Bo chcesz, żebym wyrobiła sobie nazwisko w świecie sztuki. Chcesz, żeby moje rzeźby stały w tylu różnych domach w całym Nowym Orleanie, że ludzie będą błagali Valentine o więcej. Bo nie chcesz, żebym była artystką jednego przeboju. — Ta ostatnia część wypowiedzi to zasługa cichego, lecz uporczywego głosiku, który w czasie ostatnich dwóch tygodni zakradł się do mojej podświadomości.

— Przecież już sprzedałaś więcej niż jedną rzeźbę, więc nie mogłabyś być artystką jednego przeboju — mówi Kane, marszcząc brwi.

Na chwilę odwracam wzrok, po czym znowu spoglądam mu w oczy.

— Sprzedałam zaledwie kilka... i rzuciłam pracę licząc na to, że będę w stanie w ten sposób zarobić na życie. A co, jeśli nie? Co, jeśli po prostu miałam szczęście, ale nikt już nie będzie chciał kupować moich rzeźb?

Kane obejmuje mnie ramionami i przyciąga do piersi.

— Przestań. Nie, nie jesteś artystką jednego przeboju. To nie jest tylko chwilowe powodzenie. Naprawdę masz talent i zasługujesz na to, żeby odnieść sukces.

— Musisz tak mówić, ponieważ mnie kochasz.

Całuje mnie w czoło.

— To prawda. Zobaczysz, twoja wystawa to będzie petarda i będziesz miała tyle zamówień, że trudno ci będzie nadążyć. Już szukam nowych źródeł złomu dla ciebie, żeby się przygotować.

Unoszę głowę i patrzę mu w oczy.

— Naprawdę?

Kiwa głową i jego pewność jest najlepszym prezentem, jaki kiedykolwiek dostałam.

On we mnie wierzy.

Wspinam się na palce i muskam ustami jego wargi.

— Tak bardzo cię kocham — szepczę.

— Nie tak bardzo, jak ja ciebie — odpowiada, po czym zaczyna mnie całować.

Czuję przyływ podniecenia i nieważne, że pracowałam od wielu godzin — potrzebuję go. *Teraz.*

Odsuwam się, chwytam Kane'a za rękę i ciągnę w kierunku jeepa bez dachu. Idealnie nadaje się do tego, co mam na myśli.

Kane nie stawia oporu. Nie, pomaga mi się rozebrać i sam zrzuca z siebie ubranie.

— Przednie siedzenie — mówię w przerwie między namiętnymi pocałunkami. — Chcę, żebyś usiadł na przednim siedzeniu.

— Ty pierwsza — Kane podnosi mnie i sadza na miejscu pasażera. Następnie wsiada od strony kierowcy, a ja przesuwam się nad drążkiem zmiany biegów i klękam nad nim.

— Z góry przepraszam, jeśli uszkodzimy tapicerkę.

— Mam to gdzieś. Pragnę tylko ciebie. Teraz. — Przyciska usta do mojego brzucha, a

palce odnajdują moje sutki i pociągają za nie.

Gorąco, które już mi narastało między nogami, staje się jeszcze intensywniejsze. Sięgam do belki nad głową Kane'a, a on odsuwa się i patrzy, jak ustawiam się nad jego kutasem.

— Czy ta śliczna cipka jest już mokra dla mnie?

— Zawsze.

Osuwam się na niego centymetr za centymetrem, a Kane jęczy. Zaczyna unosić biodra, ja jednak potrząsam głową.

— To moja jazda. Tym razem ja tu rządę.

W lodowatych oczach Kane'a błyska ogień.

— Wydajesz mi rozkazy, księżniczko?

— Żebyś wiedział, że tak.

— Ale wiesz, że to oznacza, że gdy następnym razem przyjdę tu, gdy będziesz pracować, przełożę cię przez maskę tej chevelle i spiorę twój słodki tyłeczek tak, że będziesz błagała, żebym cię przeleciał?

Chwytam belkę i zaczynam się poruszać.

— Umowa stoi.

Potrząsa głową.

— Znalazłem kobietę idealną i jest tylko moja.

Kilka godzin później, trzymając się za ręce, idziemy przez złomowisko, szukając czegoś, co pozwoli mi dokończyć czaszkę. Już mamy pełną skrzynkę różnych skrawków metalu, ale nadal nie znalazłam tego, czego szukam.

— Czy kiedykolwiek zdarza ci się czuć, że nie powinienes być tak szczęśliwy, jak jesteś? — pytam. — Jakby to było coś niedozwolonego, ponieważ...

Zatrzymuje się i ciągnie mnie za rękę, żebym odwróciła się w jego stronę.

— Wolno ci odczuwać radość i podniecenie związane z tą wystawą niezależnie od tego, gdzie teraz znajduje się twój brat i co robi.

Wbijam wzrok w ziemię.

— Czuję się winna, że sprawy układają się dla mnie pomyślnie, a jego życie...

— Jego życie wygląda, jak wygląda, na skutek jego decyzji. — Kane unosi mi brodę dwoma palcami. — To nie ty dokonałaś takiego wyboru, tylko on.

— Ale...

Kane potrząsa głową.

— Czy to on zaharowywał się, żeby skończyć studia?

— Nie.

— Czy to on stanął na głowie, żeby zdobyć i utrzymać porządną pracę, i móc dobrze o sobie myśleć?

— Nie.

— Czy to on ma pasję, która pozwala stworzyć piękne przedmioty cieszące również innych?

Tym razem potrząsam głową, ponieważ rosnąca mi w gardle gębla sprawia, że ciężko wykrztusić choćby słowo.

Kane mówi za mnie.

— Nie. Nie robi niczego takiego. On wybrał swoją drogę, a ty wybrałaś swoją. Zbierasz, co zasiejesz, Temperance. Może i łączą was więzi krwi, ale to, co zrobił ze swoim życiem, zależało tylko od niego. Nie mogłaś go powstrzymać, choćbyś próbowała.

— Wiem.

— Nie pozwól więc, żeby sytuacja, w którą wciągnął nas wszystkich, odebrała ci choćby sekundę radości ze spełniania swoich marzeń. *To twoje osiągnięcie*. Zaslługujesz na to, żeby się tym cieszyć.

Łzy zamazują mi widok. Mrugam, nie pozwalając im wypłynąć, po czym spoglądam w oczy Kane'a i kiwam głową.

Gdy odwracam głowę, dostrzegam *to*.

Idealny kawałek metalu.

— O, proszę! — mówi Kane triumfalnie, mając na myśli uśmiech, który wypływa na moją twarz.

Wskazuję za niego.

— Tam jest!

Kane pomaga mi wyciągnąć oprawę reflektora. Podniecenie, które mnie ogarnia, nie jest związane jedynie z metalem, jaki wykorzystam do stworzenia rzeźby, lecz również z tym, co *my* budujemy.

Plącę za złom i zamawiam dostawę do domu Kane'a, po czym zawracamy do wyjścia. Kane niesie obudowę reflektora, kiedy idziemy w stronę samochodu. Nagle zauważam mężczyznę biegnącego w stronę ciemnego SUV-a.

— Co, u diabła?

Kane podąża wzrokiem za moim spojrzeniem.

— Co on robi, do cholery?

— Nie mam pojęcia, ale... — Nagle zauważam odłamanie lusterko w naszym scoucie. — Co za skurwiel!

Kane odwraca się i rusza w pościg, facet jednak zdążył wsiąść do ciemnego samochodu wyglądającego na tahoe i właśnie rusza z wizgiem opon, wyrzucając za siebie fontannę żwiru.

Biegnę do scouta i poza odłamanym lusterkiem zauważam jeszcze rysy na szybie.

Próbował wybić okno. Szyby są jednak kuloodporne, a na to nie był przygotowany.

Kane wraca, nawet niezdyszany po sprincie, i podaje mi kawałek metalu.

— Ten dupek nie zakrył swoich tablic rejestracyjnych. Znajdziemy go.

Rozdział 29

Kane

Tablica rejestracyjna należy do człowieka, który nie żyje, czyli do *Gregora Standisha*. Człowieka, na którego Mount chciał mi dać zlecenie, jednak odmówiłem, ponieważ nie sram tam, gdzie jem.

Żaden szanujący się płatny zabójca nie przyjmuje, o ile to możliwe, zleceń w miejscu zamieszkania. Oczywiście czasami nie udawało mi się tego uniknąć, jak na przykład kiedy Mount potrzebował usunąć cały kontyngent kartelu narkotykowego. To służyło sprawiedliwości, przynajmniej w moich oczach.

Nie powinno się też atakować kobiety z powodu jej mężczyzny.

Dlaczego więc facet korzystający z samochodu należącego do truposza próbuje mnie dopaść?

A może nie mnie?

Staram się zebrać jak najwięcej informacji o Standishu, żeby ustalić, kto mógłby chcieć pomścić jego śmierć, ale znajduję tylko informację o byłych żonach, które puściły go w skarpetkach.

Zanim zdążę znaleźć coś więcej, dostaję wiadomość od Ransoma.

Próbuje zaaranżować kolejną dostawę. Czas to zakończyć.

Czas najwyższy, to prawda.

Czas to wszystko zakończyć.

Mam szansę na nowe życie i nie chcę, żeby ta sprawa nad nami wisiała.

Rozdział 30

Temperance

Stoję w galerii Noble Art i szalejący dookoła chaos przygotowań wydaje mi się surrealistyczny.

Przygotowań do mojej wystawy, która ma się otworzyć *za dwa dni*.

Wzięłam sobie słowa Kane'a do serca i postanowiłam nie pozwolić, żeby zamartwianie się o Rafe'a zmniejszyło ekscytację wywołaną spełnianiem marzeń. Mogę nadal denerwować się bratem i człowiekiem, którego usiłuje wytropić, lecz jednak dobrze się bawić.

Teraz na przykład odpycham od siebie wszystkie nieprzyjemne myśli i pozwalam, żeby podniecenie buzowało we mnie jak w dziecku, które właśnie zauważyło górę prezentów pod choinką.

To jednak jest lepsze niż Boże Narodzenie i to pod każdym możliwym względem, chociaż też odrobinę przerażające. Trochę jakby stanąć przed plutonem egzekucyjnym z nadzieją, że z karabinów zamiast kul polecą konfetti.

Po pomieszczeniu krzątają się pracownicy Valentyny, ustawiając podesty dla *moich rzeźb*. Powinnam pomagać, ale jestem w stanie jedynie stać tu oszołomiona, ściskając w dłoniach folię bąbelkową, i patrzeć, jak traktują moje prace jak najcenniejsze dzieła sztuki.

Bo za to właśnie je uważają.

To szaleństwo.

Nawet nie śmiałam marzyć o takim życiu. Nie odważyłabym się, gdyby Kane mnie do tego nie popchnął. Czuję napływające do oczu łzy, co ostatnio jakoś dziwnie często mi się zdarza, jednak udaje się je powstrzymać.

— To szaleństwo, prawda? — Valentina wyłania się z zaplecza i podaje mi butelkę wody.

Przyjmuję ją i odkręcam, po czym pociągam łyk właściwie po to, żeby powstrzymać się od dziecięcej paplaniny, która byłaby wynikiem zaaferowania tym, co się dzieje dookoła.

— Pamiętam, kiedy pierwszy raz zobaczyłam całą ścianę pokrytą swoimi obrazami, a pod nimi znajdowało się moje nazwisko. To coś, czego się nie da nigdy zapomnieć.

Wpatruję się w ścianę przed sobą i obrazy namalowane — jak wiem — przez Valentynę.

— Musiałaś czuć się bardzo dumna — mówię, odwracając wzrok od aktów i spoglądając jej w twarz.

— Miałam wtedy ochotę zwymiotować, uciec z galerii i nigdy nie wracać.

— Nie wierzę. Ty? — Postanawiam nie wspominać o tym, że sama czuję, jakbym w ciągu najbliższych pięciu minut miała uciec do łazienki i zwymiotować.

Kiwa głową.

— A jednak. Jeśli sądzisz, że łatwo jest wyciągnąć coś z głębin swojej duszy, a następnie wystawić to na pokaz, gdzie będą to mogli oceniać twoi przyjaciele, rodzina, współpracownicy i zupełnie nieznanymi... to musisz być szalona. To nie jest dla mięczaków.

— Dziękuję, że to powiedziałaś — szepczę. — Teraz czuję głównie podekscytowanie, ale jakaś część mnie ma ochotę zwymiotować, a następnie zwinąć się w kąciku i płakać przez tydzień.

Valentina obejmuje mnie ramieniem i ściska.

— Wszystko będzie dobrze. Nie jest łatwo odsłonić się przed innymi, zwłaszcza tymi, którzy mogą tego nie docenić, ale powiem ci jedno — jeśli ktokolwiek palnie coś głupiego, okrutnego lub krzywdzącego o twoich rzeźbach, będzie to świadczyło przede wszystkim o nim,

nie o tobie.

Wędruję spojrzeniem do rzeźby opartej na tym samym motywie co zrobiona dla Harriet. Nagie, metalowe postacie, połączone w zmysłowej pozie.

— Wiem, że nie wszystkim będą się podobać. Niektórzy przyjdą obrzucić je kamieniami, dosłownie lub w przenośni.

Valentina znowu mnie ściska.

— Nie trać czasu na zamartwianie się. Złe recenzje są równie nieuniknione, jak wschód słońca. Pamiętaj, nawet Picasso sądził, że wszystko, co namalował, jest gównem. Poradzisz sobie. Jeśli ktokolwiek powie ci coś niemiłego, Rix zakuje go w kajdanki i spędzi on resztę wieczoru na walce z biurokracją i prawnikami na posterunku.

Z ust wyrывa mi się szczerzy śmiech i odmawiam w duchu modlitwę dziękczynną, że udało mi się poznać takich ludzi jak Valentina, którzy zmienili bieg mojego życia.

Jednak nikt nie zrobił tego w większym stopniu niż Kane. A gdyby ktoś powiedział coś niemiłego o moich rzeźbach, to jestem pewna, że nie skończyłyby na posterunku policji, lecz w szpitalu. *Na razie* wykluczam kostnicę.

Kane dzisiaj wyjechał, żeby sprawdzić trop dotyczący transportu ludzi i przekonać się, czy jest on powiązany z działalnością Lagarta, którą z kolei stara się przeniknąć Rafe. Chciałabym być w to zaangażowana, ale mimo wszystko dobrze się czuję, robiąc coś, co jest krokiem naprzód, a nie babraniem się w bagnie, w które wpackował nas mój brat.

Minęły ponad dwa miesiące, odkąd ostatni raz widziałam Rafe'a, a i to się nie liczy, bo sądziłam wtedy, że oglądam jego śmierć. Już doszłam do siebie po tym zdarzeniu... prawie. Ale nadal marzę, żeby go uściskać, a potem zjeść kolację w naszej ulubionej restauracji. To jednak niemożliwe, dopóki nie będzie pewne, że wąż — czy też jaszczur — stracił głowę.

Nie widziałam też Magnolii od czasu wizyty w moim mieszkaniu i jakaś część mnie zastanawia się, jak ona sobie z tym radzi i czy ona i mój brat planują potem razem uciec. Nadal nie jestem pewna, czy mogę jej zaufać, ale jednak jest kobietą, którą mój brat pokochał, więc przyjmę ją do rodziny z otwartymi ramionami niezależnie od tego, czy tego pragnie i czy jej się to podoba — taka już jestem.

Stoimy z Valentyną w milczeniu, przyglądając się rzeźbom, każda z nas pogrążona w myślach, gdy nagle frontowe okno galerii pęka z głośnym trzaskiem.

— O mój Boże! — krzyczy Trinity, asystentka Valentyny, kiedy wszystkie trzy instynktownie padamy na podłogę.

Z ulicy dobiega pisk opon i kulimy się, osłaniając rękoma głowy i czekając, aż zasypie nas grad kul z karabinu.

Tak się jednak nie dzieje, odgłos silnika powoli cichnie i po chwili słychać już tylko zwykły uliczny gwar.

Czuję, że ciało leżącej obok mnie Valentyny napina się.

— Muszę się dostać do telefonu. Muszę zadzwonić do Rixa.

Brzmi, jakby adrenalina zalewała jej organizm tak samo jak mój. Jestem spokojna i gotowa walczyć o życie, gdyby okazało się to konieczne. Nie wierzę, że zagrożenie minęło tylko dlatego, że samochód odjechał. Muszę zadzwonić do Kane'a.

I wtedy do mnie dociera — *to musi mieć związek ze mną.* To ja ściągnęłam kłopoty na galerię. Naraziłam na niebezpieczeństwo Valentynę i Trinity. Żołądek zaciska mi się w supeł i teraz naprawdę mam wrażenie, że zaraz zwymiotuję.

— Val? Czy już jest bezpiecznie? Co teraz zrobimy? — dopytuje się Trinity, maskując natarczywością przestrach w głosie.

Valentina wpatruje się w coś na podłodze i mój wzrok podąża w tym samym kierunku.

To coś wygląda jak... *rura*?

Co, do licha?

— Trinity, idź na zaplecze i zostań tam, aż ci powiem, że możesz wyjść — stanowczym głosem wydaje polecenie Valentina. — Dzwonię do Rixa. Ktoś za to zapłaci.

Już otwieram usta, żeby powiedzieć, że to być może przeze mnie, ale zamykam je z powrotem. Nie mogę jej nic mówić.

Muszę odwołać wystawę. Egoizmem byłoby ryzykować. Nigdy nie powinnam była się na nią zgadzać.

Lagarto musi wiedzieć, że albo Rafe, albo ktoś, kto go znał, żyje i próbuje go dopaść. W końcu cała jego organizacja została zmieciona z powierzchni ziemi.

Wtedy zaczynam myśleć logicznie. *Gdyby* to był handlarz żywym towarem, który chce się zemścić, to przecież zabiłby mnie lub nas wszystkie, żeby pokazać, na co go stać. Nie skończyłoby się jedynie na wybitym rurką oknie, *prawda?*

Przypominam sobie człowieka, którego widzieliśmy na złomowisku.

To musi się jakoś łączyć ze mną. Wiem to.

Tylko co powinnam teraz zrobić?

Godzinę później okno jest już zasłonięte płytą, a Rix zerka raz na mnie, raz na Valentine, a raz na nagranie z kamer bezpieczeństwa, które zainstalował właśnie na taką okoliczność.

Wysłałam wiadomość do Kane'a, a on odpowiedział kilka minut temu, że już jedzie. Mam nadzieję, że zanim tu dotrze, już odkryje, co się stało, bo ktokolwiek zagroził mojemu bezpieczeństwu, zdecydowanie kwalifikuje się teraz *do odstrzału*. Naprawdę nie wiem, jak mam z policjantem u boku rozwiązać tę sytuację.

— Rozpoznajesz tego dupka? — pyta Rix, a Valentina pochyla się i zagląda mu przez ramię.

Kiedy kolejny raz odtwarza nagranie, przyglądam się szczupłemu mężczyźnie, który rzuca w szybę grubą metalową rurką.

— Wygląda znajomo — mówię. — Widziałam go gdzieś wcześniej. — Mrużę oczy, wgapiając się w ekran. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent jestem pewna, że to ten sam facet, którego wczoraj widzieliśmy na złomowisku, ale nie chcę tego mówić, dopóki Kane nie wyrazi zgody.

— Może tak ci się wydaje, bo oglądamy to nagranie raz po raz — sugeruje Trinity.

Valentina klaszcze w dłonie.

— Zaraz! Ja wiem, kto to jest. Cholera. *Znam go.* Ten mały dupek... Jak mogłam go zapomnieć?

— Kto? — pyta Rix. — Bo ostatnim razem, gdy ktoś rzucił cegłą w okno galerii...

— Wszyscy wiemy, że to była moja wina, więc nie ma co tego drażnić — przerywa Trinity.

Valentina wyciąga dłoń i ściska palce dziewczyny.

— Nie przejmuj się, bo te dwie sprawy w ogóle nie są ze sobą powiązane. *To* — wskazuje na ekran. — jest asystent Gregora Standisha. Jego protegowany. Czy jak tam nazwać jego przydupasa.

Skoro tylko wypowiada nazwisko „Gregor Standish”, czuję, że żołądek zaczyna mi ciężać jak kamień. *Kurwa.* Wiedziałam.

— Jesteś pewna? — pytam, spoglądając na Valentine.

— Całkowicie. Przyszedł tu kilka miesięcy temu i zaczął marudzić, że nie wystawiamy

żadnych dzieł Standisha, przez co jesteśmy *podrzedną galeryjką i brak nam wizji*. Próbował mnie namówić, żebym konsygnowała rzeźbę, upierając się przy tym, że cena musi wynosić dwa tysiące dolarów i ani centa mniej. Spuściłam go na drzewo.

— Dlaczego teraz miałby wybić nam szybę? — pyta Rix. — Zaraz, Standish... Czy to nie on popełnił samobójstwo?

Przygryzam wargę, wiedząc, że śmierć Standisha na pewno nie była samobójstwem.

— Tak. Jego rzeźby były brzydką jak kupa sztuką nowoczesną. Jedna z nich miała zostać sprzedana na aukcji charytatywnej w Seven Sinners... — Spogląda na mnie. — Ale zamiast niej znalazła się tam twoja...

Policzki mi płoną i czuję taki ucisk w gardle, że ledwie mogę oddychać. Chciałabym móc jej powiedzieć wszystko, co wiem i co podejrzewam, ale znajdujemy się tu w towarzystwie policjanta, a nie jestem głupia. Nie powiem niczego, co mogłoby obciążyć Mounta.

Rix spogląda na mnie.

— Wiesz coś o tym?

Próbuję zetrzeć z twarzy poczucie winy, ale to właściwie niemożliwe. Czuję się winna od miesięcy. Świadomość, że gdyby rzeźba Standisha nie została przypadkowo zamieniona z moją, żyłby jeszcze, zżera mnie od środka. Z drugiej strony nie dostałabym wtedy swojej szansy.

— Temperance? — naciska Rix, kiedy przedłużająca się cisza zaczyna stawać się niezręczna.

Muszę coś powiedzieć, bo z każdą chwilą milczenia wyglądam na bardziej winną — chociaż moją jedyną zbrodnią jest zatajenie podejrzeń, że Mount kazał zabić Standisha za obsmarowanie destylarni, co zdenerwowało Keirę. Wiem z całą pewnością, że Mount gotów jest zabić za o wiele mniejsze przewinienia.

— Standish był wściekły, że moja rzeźba została omyłkowo wystawiona pod jego nazwiskiem, jak mówiła Valentina.

— I? — dociera Rix.

— I nic. Pokłóciliśmy się o to raz i nigdy później z nim nie rozmawiałam. Wkrótce potem zmarł.

Jasne, srebrzyste oczy Rixa wwiercają się we mnie, jakby próbował dostrzec prawdę bezpośrednio w moim mózgu lub w mojej duszy.

— Czy miałaś jeszcze jakieś kłopoty, które mogły być z tym związane?

Czuję zamęt w głowie. Tyle się ostatnio zdarzyło w moim życiu, że sama nie wiem, co jest z czym powiązane, no i nie mogę powiedzieć mu niczego, co mogłoby obciążyć Rafe'a lub Kane'a.

Nienawidzę tajemnic, ale nie mam wyboru. Odpowiadam krótko i zdawkowo.

— Nie wiedziałam, że miał asystenta... czy też protegowanego.

— Czy on może chcieć się zemścić? — pyta Trinity. — To znaczy... jeśli twoja rzeźba została sprzedana w miejsce dzieła Standisha, co tak go zdenerwowało, że popełnił samobójstwo, mógłby to być motyw zemsty. To znaczy, w telewizji by tak było.

Rix przygląda mi się dłużej.

— Czy wiesz coś więcej o samobójstwie Standisha? O czymkolwiek, co mogłoby sprawić, że ten facet zapragnął zemsty?

Widzę w jego srebrnych oczach, że jest świadomy powiązania Keiry z Mountem i domyśla się, że to samobójstwo mogło być tak naprawdę morderstwem. Niemniej jednak nie zamierzam tego potwierdzać, bo po pierwsze sama nie jestem całkowicie pewna, a po drugie — nie chcę.

Valentina trąca go łokciem.

— Skarbie, zamiast przesłuchiwać moją najnowszą artystkę, może pójdziesz i aresztujesz typa, który rozbił mi okno w galerii żelazną rurką, a potem go przesłuchasz. To on jest przestępcą.

Rix wstaje od biurka i spogląda raz na mnie, raz na Valentinę.

— Jeśli jest coś, o czym mi nie mówisz, muszę to wiedzieć teraz, Temperance.

Kręcę głową i wmawiam sobie, że wcale nie kłamię, bo naprawdę nic nie wiem o asystencie Standisha. Jeszcze przed chwilą nie miałam nawet pojęcia o jego istnieniu, więc całkowicie szczerze mogę powiedzieć:

— Nic nie wiem o tym facecie — Zerkam na rozbite szkło. — Poza tym, że jeśli próbuje w ten sposób odegrać się na mnie, to zapłacę za nową szybę w ramach przeprosin.

— Nic takiego — oznajmia stanowczo Valentina. — Po to właśnie mam ubezpieczenie. Aczkolwiek na dwa dni przed wystawą...

Rix pochyla się i całuje ją w czoło.

— Nie martw się, księżno. Już umówiłem kogoś, kto przyjdzie ją jutro wymienić. Mam wymiary po poprzednim razie, gdy to się stało. Przedstawienie musi trwać.



Rozdział 31

Kane

Nikt nie może straszyć mojej kobiety i przeżyć, by o tym opowiadać.

Jestem o tym przekonany do samej głębi tego, co zostało z mojej duszy. Dlatego właśnie jest mi dziesięć razy trudniej patrzeć, kiedy Temperance wchodzi na posterunek policji, żeby skonfrontować się z tym skurwielem, podczas gdy miałbym ochotę załatwić sprawę po swojemu.

Powinienem był głębiej pokopać w życiu Standisha, nie poprzestając na jego byłych żonach. Nie miałem pojęcia o asystencie, który ma nierówno pod sufitem. Mogłem zapobiec tej sytuacji, lecz *tego nie zrobiłem*. Czuję się, jakbym ją zawiódł.

Więcej nie popełnię tego błędu, moja czujność nie będzie miała granic.

Chciałem się zająć tą sprawą, ale Temperance powiedziała, że policja sama musi się z nią uporać. Naprawdę trudno było mi to zaakceptować, ale tym, co przesądziło, że to zrobiłem, były słowa: „Nie chcę, żebyś nosił ten ciężar z mojego powodu, Kane. Chcę uczynić twoje życie jaśniejszym, nie dodawać więcej cienia”.

Chodziło jej o obciążenie mi sumienia kolejną śmiercią. Nigdy jeszcze nikt nie przejmował się tym, jaki praca może mieć wpływ na mnie lub na moją duszę, ale Temperance nie przestaje mnie zadziwiać.

Ona mnie kocha.

Czasami nadal nie mogę w to uwierzyć.

Zamiast potrząsnąć nią za to, że jest taka uparta, przytuliłem więc i podziękowałem Bogu, że postawił ją na mojej drodze.

Nie zashuguję na nią. Ale nie zamierzam z niej zrezygnować.

Temperance Ransom jest moja i będzie moja, dopóki serce nie przestanie bić mi w piersi.

Patrzę, jak znika w drzwiach posterunku, powiewając włosami związanymi w kucyk. Ubrany w ciemne okulary i czapkę bejsbolową zapadam się głębiej w siedzenie cadillaca CTS-V z przyciemnianymi szybami, którego zaparkowałem po drugiej stronie ulicy, i poddenerwowany czekam niecierpliwie.

Nie takiego życia dla nas pragnę — nie chcę, żeby mierzyła się z różnymi sprawami sama, bo jestem pieprzonym trupem. *Formalnie*. Powinienem stać obok niej i mógłbym, ale jako *Ken Sax*, nie Kane Savage.

Uderzam pięścią w kierownicę, po czym opanowuję się i pogłaśniam dźwięk z nadajnika, który Temperance zgodziła się wnieść ze sobą do środka. Skoro nie mogę tam być osobiście, zamierzam słuchać każdego cholernego wypowiedzianego słowa. Jeśli ktokolwiek powie jej coś niemiłego, to żywy czy martwy znajdę sposób, żeby ją stamtąd zabrać i wywieźć tak daleko, że żaden glina jej nigdy nie znajdzie.

Po tym, kiedy okno w galerii zostało wybite, wreszcie udało mi się połączyć kropki. Rozpoznałem asystenta na zdjęciu. To ten sam dupek, którego widziałem przy barze w Seven Sinners podczas szybkich randek, i to on musiał wtedy uruchomić alarm przeciwpożarowy.

Powinienem był to zrozumieć wcześniej. Tym się w końcu zajmuję — teraz jednak miałem na głowie tyle innych zmartwień: przede wszystkim troskę o bezpieczeństwo Temperance, kiedy zainscenizowałem dwie śmierci, a następnie utrzymywałem to przed nią w tajemnicy, razem z Ransomem po kolei usuwając wszystkich, którzy mogliby stanowić zagrożenie dla jej bezpieczeństwa.

Albo prawie wszystkich. Ten skurwiel Lagarto i Giles nadal chodzą po powierzchni

Ziemi i wcale mi się to nie podoba.

Giles tylko dlatego jeszcze oddycha, że nie udało mi się go połączyć z przemitem ludzi. Mam jedynie słowo Magnolii, a jej nie ufam. Obserwowałem Gilesa od lat, ale nie potrafiłem znaleźć na niego żadnego haka. Nie wiem, czym się zajmuje, ale ten, kogo zatrudnił do zacierania śladów, jest w tym lepszy niż ja. Co jednak nie oznacza, że prędzej czy później nie popełni błędu. Mógłbym go sprzątnąć tylko na podstawie słów Magnolii, ale nigdy nie pociągam za spust, jeśli nie jestem zupełnie pewien, a w jej przypadku nie mogę wiedzieć, czy nie przyświeca jej jakiś ukryty cel — na przykład usunięcie go z klubu z moją pomocą.

Zostaje jeszcze Lagarto, którzy przymierza się do kolejnego transportu i ma olbrzymie doświadczenie w pozostawaniu w ukryciu. Na jedynym zdjęciu, jakie udało mi się zdobyć, ma kapelusz z wielkim rondem i workowate ubrania sprawiające, że fotografia na nic się nie przyda. Tylko informacji o nim brakuje nam do zakończenia całego tego bałaganu i potrzebujemy ich, żeby wreszcie móc ruszyć do przodu z własnym życiem.

Tyle że... Ransom i ja nie mamy już życia. Obydwa jesteśmy martwi z prawnego punktu widzenia i chociaż nigdy wcześniej mi to nie przeszkadzało, teraz się to zmieniło.

Nigdy wcześniej nie sądziłem, że mógłbym poznać kobietę, której chciałbym dać swoje nazwisko. *Moje prawdziwe nazwisko*, nie pseudonim. Do diabła, nigdy nie przypuszczałem nawet, że poznam kobietę, której będę pragnął przez więcej niż jedną noc.

Temperance wszystko zmieniła.

W słuchawce rozlegają się jakieś dźwięki, przerywając mi te rozmyślenia.

— Pani Ransom, pani Hendrix, dziękuję za przybycie. Wiemy, że nie tak chciały panie spędzić to popołudnie i obiecuję, że postaramy się to zakończyć jak najszybciej.

— Wiesz, że zrobię wszystko, czego potrzeba, Mac.

Ton głosu Valentyny i użycie zdrobniałego imienia policjanta mówią mi, że już wcześniej poznała człowieka, który prowadzić będzie przesłuchanie. Może to i lepiej niż gdyby miały do czynienia z kimś nieznanym. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę, że jej mąż jest policjantem, nie mogło być inaczej. Niewiele wiem o Beauregardzie „Rixie” Hendrixie, ale nie wydaje się kompletnym dupkiem.

— Chciałbym tylko zadać paniom kilka pytań o relację z panem Riddlem.

— Z kim? — pyta Temperance.

— Człowiekiem, który został zatrzymany pod zarzutami niszczenia mienia i wandalizmu.

Tym człowiekiem.

Wyobrażam sobie, że policjant pokazuje im w tej chwili zdjęcia.

— Nigdy wcześniej go nie widziałam — mówi Temperance.

— Ale on wydaje się znać panią, pani Ransom — odpowiada policjant.

— Jak to? — pyta ostrożnie Temperance.

— Twierdzi, że obrabowała pani jego szefa z kariery i spowodowała śmierć, chociaż została ona uznana za samobójstwo. Pan Riddel upiera się jednak, że śmierć pana Standisha była wynikiem spisku, mającego na celu jego zamordowanie.

— Mac, czy ty, kurwa, mówisz poważnie? — wtrąca się Rix.

Naprawdę cieszę się, że nie zostawił naszych pań samym sobie podczas przesłuchania. Najwyraźniej ma gdzieś poszanowanie policyjnych zasad, co poważam.

— Przyprowadziłem żonę i jedną z jej podopiecznych, żebyś mógł je przesłuchać na okoliczność wybitej szyby, a ty chcesz rozmawiać o jakichś niedowarzonych teoriach człowieka, który to zrobił? To świr — peroruje dalej Rix, z trudem hamując gniew i nawet nie dając Macowi szansy na wytłumaczenie się. — I pogrywa z tobą. Chce, żebyś gonił w piętę, zamiast przyjrzeć się temu, co zrobił. Valentina zamierza wnieść oskarżenie. Koniec historii.

— Rix, wiesz, że muszę...

— Nie musisz słuchać pospolitych przestępców opowiadających, jak życie ich zawiodło i dlatego nie są odpowiedzialni za to, co zrobili. A teraz spisz zeznania i pozwól nam wrócić do swoich spraw.

Postanawiam w tym momencie, że jutro wyślę mężowi Valentyny pudło paczków.

Mac ustępuje.

— Dobrze. Mamy świadka, który widział, jak on rzuca rurką. Ta kobieta powinna już być na posterunku, żeby go zidentyfikować. Jeśli potwierdzi, że to był on, będziecie wolne.

Rozmawiają jeszcze kilka minut, nim rozlega się pukanie do drzwi.

— Mac, mam coś, co będziesz chciał zobaczyć — mówi nowy głos.

— Co takiego? — pyta Mac.

— Podejrzany stracił nad sobą panowanie podczas okazania. Sprawy przybrały interesujący obrót.

— Wyślij nagranie na mój laptop.

— Powinieneś już je mieć.

— Dzięki — Słyszę jakieś hałasy, które zapewne oznaczają, że Mac gmera przy swoim komputerze. — Obejrzę to i zaraz wracam.

— Nie wydurniaj się, po prostu to puść, Mac — rozkazuje Rix.

— Dobrze, ale nie miejcie do mnie pretensji, jeśli to będzie coś, czego nie zapomnicie przez resztę życia.

Rix prychnął pogardliwie.

— To twarde babki.

Muszę się z nim zgodzić, ale i tak odczuwam niepokój na myśl o tym, co zaraz nastąpi.

Najpierw dochodzą mnie jakieś niezrozumiałe wrzaski, a potem:

— Ty suko! Zabiłaś go! Wiem, że jesteś za tą szybą! Nie spoczne, dopóki nie zniszczę kariery, którą mu ukradłaś! Następnym razem nie poprzestanę na przebicciu ci opon lub urwaniu lusterka, sprzątnę cię!

Chwytam za klamkę cadillaca, zanim facet skończy wrzeszczeć. Jestem gotowy wparować na posterunek i zabrać Temperance.

— To na pewno on. Proszę, powiedzcie, że przygwoździcie go za jaja do ściany za to, że jej groził. — Słyszę w głosie Valentyny pewność, która hamuje moją odruchową reakcję.

— Żebyś wiedziała! Macie go aresztować i oskarżyć o wszystko, co się da. Ten gnojek to kompletny świr i nie ma mowy, żeby choćby zbliżył się do mojej żony i jej podopiecznej, słyszysz mnie, Mac?

To głos Rixa. Puszczam klamkę i biorę głęboki oddech.

— Pani Ransom, czy potwierdza pani, że pan Riddel przebił pani opony i urwał lusterko?

— Tak. Nie wiedziałam, że to on, ale rzeczywiście takie zdarzenia miały miejsce. Pomoc drogowa zrobiła zdjęcia opon, mam je w mailu. Mogę również dosłać zdjęcia urwanego lusterka.

— Dobrze. Spiszemy pani zeznania dotyczące tych incydentów, a po powrocie do domu proszę przysłać zdjęcia. Ten dupek był już notowany z powodu niszczenia mienia, a teraz jego zachowanie eskalowało, do czego *sam się przyznał na posterunku policji*. Sędziemu raczej się to nie spodoba.

Dopiero kiedy Temperance wychodzi z posterunku i znowu znajduje się w zasięgu mojego wzroku, oddycham z ulgą.

Skoro tylko uda się posprzątać bałagan, w który wpakował nas Ransom, zamierzam odzyskać swoje życie, żeby nigdy już nie musiała w takiej sytuacji być sama.

Nie mam zielonego pojęcia, jak tego dokonam, ale coś wymyślę.

Nie mam innego wyjścia.

Rozdział 32

Temperance

— Ślicznie wyglądasz — mówi Kane, gdy wchodzę z sypialni do salonu w nowej sukience z okazji... *o mój Boże, mam własną wystawę w galerii!*

— Tak sądzisz? Nie przesadziłam? A może jestem niedostatecznie elegancka? Co, jeśli nie wywrę dostatecznego wrażenia?

Chwyta moją dłoń.

— Idealnie. Wyglądasz naprawdę idealnie.

Czasem żałuję, że nie mam w domu wysokiego lustra, ale teraz, spoglądając na Kane'a, stwierdzam, że właściwie nie jest mi potrzebne. Widzę wszystko w tych lodowatoniebieskich oczach.

Jedyne, czego nie widzę, to garnitur dla niego.

— Sądziłam, że przyniosłeś sobie ubrania na zmianę — mówię.

Kiwa głową.

— Owszem. — Spogląda na dzinsy, które ma na sobie. — Właśnie na nie patrzysz.

Wtedy do mnie dociera.

— Nie idziesz ze mną? — Czuję w piersi ukłucie bólu.

— Nie chcę, żeby ludzie o mnie pytali. Dzisiejszy wieczór jest *dla ciebie*.

Jego odpowiedź z jednej strony boli, ale z drugiej wywołuje uczucie ciepła w sercu. Nikt jeszcze tak bardzo nie troszczył się o moje interesy, jak Kane.

Tym razem jednak nie ma racji.

— Potrzebuję, żebyś był ze mną, Kane. *Chcę*, żebyś tam poszedł. Bez ciebie to nie mogłoby się wydarzyć i bez ciebie nie będzie to samo.

Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, jednak unoszę dłoń.

— Nie chcę słuchać twoich argumentów. Nie przyjmuję odmowy. Masz przecież pseudonim, którego używasz publicznie. Użyjesz go dzisiaj.

Unosi moją dłoń do ust i całuje.

— To najważniejszy wieczór w twoim życiu...

— I dlatego właśnie potrzebuję, żebyś tam był. Nie pójdę na swój pierwszy wernisaż sama.

Rysy mu łagodnieją.

— Jesteś pewna, że chcesz mnie u boku? Nawet pod nazwiskiem Ken Sax?

Przysięgam, czasami ten facet wydaje się idiotą, więc postanawiam wyłożyć mu to w prostych słowach.

— Nie ma znaczenia, jak będziesz się nazywać. Chcę, żebyś zawsze był u mojego boku. Kocham cię.

— Dobrze, księżniczko. Masz mnie.

Gdy wchodzę do Noble Art, żołądek kurczy mi się z nerwów mimo obecności Kane'a i tego, że na razie w galerii są tylko Valentina, Trinity i pracownicy cateringu.

A co, jeśli nikomu nie spodobają się moje prace? Patrzenie, jak rzeźba zostaje sprzedana na aukcji za wysoką kwotę, gdy nikt nie wie, że jest twojego autorstwa, to jedno, a zupełnie czym innym jest bezpośrednio obserwowanie dyskusji na temat swoich prac oraz negocjacji.

To zupełnie co innego. Za pół godziny, jeśli Bóg pozwoli, ta galeria wypełni się miłośnikami sztuki, a moim zadaniem będzie krążenie wokół nich i prowadzenie rozmów w taki sposób, żeby wyjść na osobę pełną klasy i pewności siebie.

Nie jestem pewna, czy potrafię to zrobić.

Kane ściska mocno moją dłoń.

— Hej, popatrz na mnie.

Odwracam się i widzę, że wpatruje się we mnie.

— Dasz radę. Urodziłaś się, żeby to robić, Temperance, wiem to.

Kręcę głową, bo w tej chwili kompleksy grają u mnie pierwsze skrzypce.

— Czuję się jak oszustka. Ktoś zacznie się śmiać i pytać, dlaczego galeria wypełniona jest jakimś złomem, zamiast prawdziwymi dziełami sztuki.

— Tak się na pewno nie stanie, więc przestań o tym myśleć.

Ale przecież nie może tego wiedzieć.

— A co, jeśli nikt niczego nie kupi i Valentina zmarnowała tylko czas i pieniądze?

Jakby przywołana dźwiękiem swojego imienia, Valentina pojawia się przy nas i wciska mi w dłoń kieliszek szampana.

— Weź i wypij. Wyglądasz, jakby mogło ci się to przydać.

— Biorąc pod uwagę stan mojego żołądka, nie jestem pewna, czy szampan to teraz najlepszy pomysł.

Valentina uśmiecha się do mnie współczująco, po czym sięga do tyłu po butelkę wody ze stolika i zamienia się ze mną.

— Zaufaj mi, wiem, jak się czujesz. Poradzisz sobie nawet bez chłapięcia dla kurażu. Alleluja i do przodu! Zachowuj się, jak na artystkę, którą jesteś, przystało. Pozwól, żeby ludzie zobaczyli twoją pasję. Opowiedz im to, co mnie, gdy przywoziłaś tu rzeźby. O rurze wydechowej z chevroleta novy, o tylnym lusterku land rovera, kawałku blachy ze starego willysa, o tym, jak zobaczyłaś każdą z tych części i miałaś wizję, jak możesz podarować im drugie życie, zamiast pozwolić pójść na przemiał. Masz dar, Temperance. Nie robiłabym tej wystawy, gdybym w to nie wierzyła.

Przypomina mi własne słowa i wyjaśnienia z początków tego tygodnia i stopniowo węzeł w żołądku popuszcza.

— Naprawdę sądzisz, że ludzie będą chcieli słuchać tych historii? — pytam i pociągam łyk wody.

— Oczywiście, że tak. Właśnie dzięki nim twoje rzeźby są tak niezwykle. Bierzesz zwykłe przedmioty i zmieniasz je w coś magicznego. Takie wystawy są czymś wyjątkowym dla miłośników i mecenasów sztuki, bo tylko wtedy mogą doświadczyć pasji, którą artyści wkładają w swoje dzieła, i wysłuchać wyjaśnień na temat prac. Nie mam wątpliwości, że obydwie będziemy przyjemnie zaskoczone dziś wieczorem.

— Ale...

— Żadnych ale. Nie dostałabym tylu potwierdzeń przybycia, gdyby nikt nie zamierzał nic kupować. Nie wiem nawet, jak wszystkich pomieścimy, więc lepiej żeby inspekcja przeciwpożarowa dzisiaj miała wolne. A teraz przedstaw mnie swojemu mężczyźnie, chyba jeszcze nie mieliśmy przyjemności się poznać.

Zanim zdążę się odezwać, podchodzi do nas Rix.

— Lepiej, żebyś nie próbowała przekupić inspektora, skarbie. To nie jest dobry pomysł.

Valentina się śmieje.

— Jeśli tak, to będziesz udawał, że nic nie słyszałeś. — Jej spojrzenie znowu wędruje w stronę Kane'a. — Jestem Valentina Hendrix i to moja galeria.

— Ken Sax. — Kane ściska jej dłoń, najwyraźniej czując się z tym wszystkim swobodniej niż ja.

Valentina, Rix, Kane i ja gawędzimy aż do przybycia pierwszego z gości, który chce porozmawiać z artystką.

Panie, ratuj.

To ja jestem artystką.

Rozdział 33

Kane

Galeria powoli wypełnia się gośćmi, a Temperance promienieje. Jestem z niej cholernie dumny, patrząc, jak krąży po sali, po kolei rozmawiając z miłośnikami sztuki.

Nie zauważyła jeszcze tabliczek z napisem „sprzedane” na dwóch rzeźbach, których nie mogłem pozwolić kupić komuś innemu. Wiem, że inaczej się umówiliśmy, ale wolę prosić o przebaczenie niż o pozwolenie.

Jedna przedstawia parę w spazmach ekstazy — nie ma mowy, żeby mógł ją kupić ktokolwiek obcy — a druga to zdobiona czaszka, na szukanie części do której poświęciliśmy wspólnie całe popołudnie. Czy żałuję, że wydałem tu dzisiaj sześciocyfrową kwotę? Do diabła, nie. To najlepiej wydane pieniądze od czasu aukcji, na której kupiłem „Fleur de lys”, nie wiedząc, że to ona ją stworzyła.

W ciągu kolejnej godziny widzę, jak Valentina dyskretnie umieszcza tabliczki „sprzedane” na czterech innych rzeźbach.

Mam nadzieję, że Temperance wreszcie zrozumie, że jej sztuka jest ceniona nie tylko przeze mnie, lecz również przez inne dziś tu obecne osoby.

Mąż Valentyny obserwuje mnie uważnie, ale nie okazuje zaniepokojenia. Przede wszystkim dlatego, że nie czuję obawy. Nie ma mowy, żeby połączył mnie z czymkolwiek, co kiedykolwiek zrobiłem. Jeśli chodzi o pracę, jestem jak duch. W świetle reflektorów znajduję się tylko przy Temperance, ale mój pseudonim jest stuprocentowo bezpieczny.

Wszystko dziś wieczór układa się doskonale... aż zauważam znajomą twarz w tłumie.

Kurwa, co on tutaj robi?

Giles idzie pomiędzy rzeźbami w naszą stronę, jednak zatrzymuje go niewielka grupka ludzi.

Przesuwam się w jego kierunku, czując wwiercający mi się w plecy wzrok policjanta. Jest bardzo możliwe, że on również rozpoznał Gilesa. Lata pracy w administracji stanowej sprawiły, że jego zdjęcia często ukazywały się w gazetach.

— Do diabła, mamy tu dzisiaj nawet polityków — głos Rixa rozlega się nagle za moimi plecami, co wytrąca mnie z równowagi. Sukinsyn potrafi się poruszać szybko i cicho jak kot. — Twoja dziewczyna powinna być dumna z tego, jaki tłum się tu dzisiaj pojawił.

— Ja jestem dumny za dziesięć osób niezależnie od tego, czy ona jest, czy nie.

Rix śmieje się.

— Znam to uczucie. Valentina nie sądziła, że jej obrazy są dość dobre do jej własnej galerii. Strasznie mnie to gryzło, dobijało, że nie widziała, jak niewiarygodny talent posiada. Tak mnie to denerwowało, że postanowiłem zmusić ją do zmiany zdania.

— Jak to zrobiłeś?

— Powiesiłem jeden z obrazów w galerii bez jej wiedzy i wiesz co? Sprzedał się od razu następnego dnia.

— Jest to jakiś sposób.

— Tego właśnie potrzebowała. Ja to widziałem, ona nie, więc wziąłem sprawy w swoje ręce.

Próbuję czytać między wierszami, zastanawiając się, czy gliniarz chce mi w ten sposób coś przekazać, jednak nie muszę długo się wysilać.

— Nie podobasz mi się, Sax. Nie ufam ci. Sądzę, że coś ukrywasz, a skoro Valentina

wzięła Temperance pod swoje skrzydła, to jest też w jakiś sposób związana z tobą. Muszę wiedzieć, z czym się łączy to, że moja żona wprowadziła twoją dziewczynę do swojego świata, i zaraz mi to powiesz.

Zachowuję kamienną twarz.

— Nie wiem, czym się martwisz, ale wydaje mi się, że policyjny instynkt wysłała ci fałszywy sygnał alarmowy.

Gliniarz spogląda na mnie ostro.

— Potrafię rozpoznać kogoś, kto widział zbyt dużo. Codziennie patrzę na niego w lustrze, więc nie jestem w stanie tego przeoczyć.

Odwracam do niego twarz, spuszczać z oka Gilesa.

— O co ci chodzi, stary?

— Chcę zapewnienia, że jeśli ciągnie się za tobą jakiś smród, nie odbije się to więcej na mojej kobiecie i jej galerii. — Spogląda na świeżo wstawioną szybę. — Nie podoba mi się, gdy coś uderza w moją rodzinę i zrobiłbym wszystko, żeby ją chronić.

Unoszę podbródek. Muszę przyznać, że szanuję go jeszcze bardziej za wyłożenie kart na stół.

— Rozumiem to lepiej, niż możesz przypuszczać. Ale to okno nie miało nic wspólnego ze mną i to nie był rykoszet moich działań.

— Dlaczego w takim razie nie pojawiłeś się razem z nią na posterunku? Nie wydajesz mi się typem człowieka, który pozwala swojej kobiecie zostać samej w takiej sytuacji.

Kiedy, do cholery, gliniarze stali się tak spostrzegawczy?

— Miałem inne sprawy.

— Albo nie chciałeś być widziany na posterunku policji.

— Słuchaj, człowieku, czegokolwiek szukasz, nie znajdziesz tego tutaj. Przyszedłem tu dla Temperance, to wszystko.

Rix taksuje mnie wzrokiem.

— Może i tak, ale dlaczego tak bardzo interesujesz się Gilesem?

Rozdział 34

Temperance

— Wreszcie szansa, żeby osobiście porozmawiać z piękną artystką. Cóż za okazja!

Głos, jakby znajomy, sprawia, że jeżą mi się włoski na przedramionach. Odwracam się i widzę uśmiechającego się do mnie Gilesa. Miałabym ochotę zestrzelić mu z gęby ten pełen zadowolenia uśmiezek. Jeśli ten człowiek naprawdę zajmuje się handlem ludźmi, zasługuje na coś o wiele gorszego.

I wtedy przypominam sobie — *widział mnie bez maski w klubie*. Może jednak mnie nie rozpozna? Mogę tylko mieć nadzieję. Może to głupie, ale na nic więcej nie mogę liczyć.

Wyciągam dłoń.

— Temperance Ransom — Mam zamiar dodać jeszcze jakąś zdawkową uprzejmość w stylu, że miło mi go poznać, ale nie mogę zmusić warg do wypowiedzenia tych słów, więc milknę.

Ujmuję moją dłoń i natychmiast nabieram ochoty, żeby wykąpać się w płynie dezynfekującym.

— Ransom? To rzadkie nazwisko.

Kurwa, kurwa, kurwa.

On zna mojego brata. Jak mogłam o tym zapomnieć? Przecież Magnolia skontaktowała ich w sprawie przemytu ludzi.

Przełykam gulę w gardle i udaję, że nie mam o niczym pojęcia. Tylko w ten sposób mogę uniknąć zrobienia czegoś głupiego.

— Czy jest pan zainteresowany którąś z rzeźb? Może mogłabym opowiedzieć panu coś więcej o swojej sztuce? — Próbuję skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory.

— Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o pani, moja droga. Tak naprawdę artyści to mój ulubiony gatunek ludzi.

Wszystko, co wychodzi z ust tego człowieka, ma podwójne znaczenie. Wiem to.

— Wcale nie jestem aż tak interesująca. Jestem tylko dziewczyną, która nieźle radzi sobie z młotkiem, piłą i spawarką — mówię ostrzegawczo.

— Fascynujące. A gdzie się pani tego nauczyła? Pracując w Seven Sinners?

Włosy mi się jeżą. Zebrał na mój temat informacje. Ale dlaczego?

— Słucham?

— Kiedyś tam pani pracowała, prawda? W destylarni tutaj w mieście. W tej, w której odbyła się aukcja i jeden z moich przyjaciół został przelicytowany, gdy chciał kupić pani rzeźbę. Aczkolwiek o ile dobrze pamiętam, była wystawiona pod jakimś innym nazwiskiem... Zaraz, kto to był?

Nie lubię tego człowieka i nie mam pojęcia, do czego zmierza, ale nie może to być nic dobrego.

Kane materializuje się u mojego boku, zanim zdążę poszukać go wzrokiem w tłumie. *Słodki Boże, nie pozwól, żeby Giles go rozpoznał.*

— Senatorze Giles, to przyjemność pana spotkać, proszę pana. Dobrze wiedzieć, że politycy również mogą być miłośnikami sztuki.

— Oczywiście. Właściwie... — urywa i moja prośba nie zostaje wysłuchana. — Gdzieś już pana widziałem, prawda? Czy może mi pan przypomnieć swoje nazwisko?

Kane wyciąga dłoń.

— Nie wydaje mi się, żebyśmy kiedykolwiek zostali sobie przedstawieni. — Nie wiem, jak Kane’owi udaje się zachować zimną krew, ale jest doskonałym aktorem. — Jestem Ken Sax.

— Interesujące. — Spojrzenie Gilesa wędruje ode mnie do Kane’a i z powrotem. — Piękna z was para. Gdybyście kiedykolwiek chcieli się *zabawić*, to wiecie, jak sądzę, gdzie mnie znaleźć.

Krztuszę się wodą, żeby nie musieć nic mówić, jednak Kane nie okazuje żadnej reakcji.

— A teraz może opowie mi pani o tej rzeźbie? — Giles wskazuje na dużą kompozycję przedstawiającą parę w namiętym uścisku i od razu żałuję, że przed chwilą proponowałam mu rozmowę o swojej sztuce. — Jestem zachwycony zmysłowością tego dzieła. Przypomina mi waszą dwójkę. Mam świetne miejsce, w którym mógłbym tę rzeźbę wyeksponować i gdzie zostałaby doceniona.

Mówi o klubie, wiem o tym.

Kane znowu przybywa mi z odsieczą.

— Zdaje mi się, że ta rzeźba jest już sprzedana, proszę pana. Ktoś najwyraźniej miał równie dobry gust, jak pan. — W jego głosie brzmi twarda nuta, jednak bardziej jestem zszokowana treścią słów.

— Sprzedana? Sprzedałam rzeźbę? — Spoglądam na tabliczkę ustawioną przy podeście i rzeczywiście, jest tam napisane „sprzedane”.

— Już ponad połowa jest sprzedana.

Otwieram usta ze zdumienia, spoglądając na niego.

— Mówisz poważnie?

— Całkowicie.

— W takim razie muszę chyba rozejrzeć się za czymś jeszcze dostępnym, jeśli chcę mieć szansę na jedną z nich — mówi Giles, po czym obrzuca nas ostatnim spojrzeniem i oddala się.

Jednak w tym momencie nawet Giles nie jest w stanie popsuć mi dobrego humoru.

Sprzedałam swoje dzieło! Podczas wystawy! To oznacza, że nie była to totalna klapa!

Znowu czuję pieczenie pod powiekami, ale dzisiaj nie zamierzam wylewać łez nawet ze szczęścia.

— Udało się! — szepczę.

— Gratulacje, księżniczko.

Gdy Kane obejmuje mnie ramieniem, uderza mnie nagle pewna myśl.

— Błagam, powiedz, że nie kupiłeś ich wszystkich.

Potrząsa głową.

— Tylko dwie. Pozostałe cztery trafiły do ludzi, których nigdy wcześniej nie spotkałem, ale możesz być pewna, że zapamiętam ich nazwiska, na wypadek gdyby kiedykolwiek chcieli je sprzedać. Zaklepuję sobie prawo pierwokupu.

Wzdycham ze szczęścia.

— Wiesz, jako że mieszkasz z tą artystką, możesz być pewien, że zrobi dla ciebie rzeźbę, jakąkolwiek zechcesz.

Spogląda na mnie i nawet ja nie jestem w stanie nie rozpoznać dumy w jego oczach.

— Wiem. Ale o wiele zabawniej jest planować sposoby, na które mogę je wydobyć od ludzi pragnących ich tak bardzo, jak ja.

— A co z...

Kane potrząsa głową, przerywając mi.

— Dzisiaj wieczorem nie wolno ci się nim martwić. Dzisiejszy wieczór należy do *ciebie*. Ciesz się nim. Giles nie będzie cię już niepokoił.

Kane ma rację. Nie pozwolę, żeby Giles zepsuł mi to doświadczenie. *To mój wieczór.*

Rozdział 35

Kane

Pozwolenie, żeby Temperance się ode mnie oddaliła, w momencie gdy Giles tu jest, wymaga całej mojej samokontroli. Przez kolejną godzinę dzielę uwagę między ich dwoje, a Rix z kolei obserwuje mnie, sącząc drinka.

Równie dobrze mógłby trzymać tabliczkę z napisem: „Nie spuszcze cię z oka, dopóki nie ustalę, co, do diabła, zamierzasz”.

Może się gapić, ile chce, ale i tak nie uzyska ode mnie żadnych informacji. A przynajmniej jeszcze nie teraz. Jeśli Giles i niektórzy z jego politycznych znajomych są gnidami zajmującymi się przemytem ludzi, to może lepszą karą niż jedna z moich kul byłoby przekazanie ich glinom, żeby system mógł ujawnić ich zbrodnie i wymierzyć sprawiedliwość.

To wprawdzie mało prawdopodobna możliwość, ale warta rozważenia.

Dzięki Bogu, Giles niczego nie kupuje i przez pozostałą część wieczoru nic nie zakłóca pogody ducha Temperance, ponieważ trzyma się od niej z daleka.

Nie zrobiłbym niczego, co mogłoby zepsuć jej ten wieczór, i nie pozwoliłbym na to nikomu innemu.

Odsuwam te myśli na bok i odwracam się, kiedy dzwonek nad drzwiami brzęczy, a do środka wchodzi była szefowa Temperance, Keira Mount, oraz Yve Titan, tym razem bez swych niesławnych mężów.

I tak właśnie sprzedały się pozostałe rzeźby, myślę sobie z uśmiechem.



Rozdział 36

Temperance

— Ale nadal wybierasz się na wieczór „Słodka Kicia pije whiskey”, prawda? — pyta Yve, a ja spoglądam na Keirę.

— Masz coś przeciwko temu?

Moja szefowa aż się cofa.

— Proszę, powiedz, że nie zadałaś tego pytania na serio. Jesteś zawsze mile widziana, Temperance. Przyjęłabym cię z powrotem w okamgnieniu, gdybyś zmieniła zdanie.

Odkąd odeszłam z pracy, nie wiem, jak powinnam się zachowywać w obecności Keiry, ale najwyraźniej tylko ja mam z tym problem.

— W takim razie przyjmuję, że tak — stwierdza Yve. — Teraz już nie możesz się wycofać. Moje zadanie skończone. Zdołałam twoją rzeźbę i wreszcie mogłam się z tobą zobaczyć. Wyglądasz niesamowicie i o lata świetlne lepiej, niż gdy widziałam cię ostatnio i...

— Co masz na myśli? — pytam, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziałam Yve.

— Byłyśmy u ciebie w mieszkaniu, Harriet nas wpuściła. Przyniosłyśmy jedzenie, kwiaty i kartki, ale ty spałaś w kącie, zwinięta w kłębek na fotelu. Nie pamiętasz?

Próbuję sobie przypomnieć taką sytuację, ale nie jestem w stanie.

Potrząsam głową.

— Ja, Valentina, Ariel... — urywa, widząc na mojej twarzy kompletny brak zrozumienia.

— Naprawdę przepraszam, ale nie pamiętam. Byłam w kiepskim stanie. Wszystko z tego miesiąca skrywa mgła. Gdyby Harriet nie zmuszała mnie do jedzenia, to prawdopodobnie umarłabym z głodu.

Twarz Yve łagodnieje i przybiera wyraz współczucia, ale teraz już go nie potrzebuję — nie żebym mogła jej to powiedzieć.

— Bardzo mi przykro. Musi być trudno zostać samemu na świecie. Utrata bliskich nigdy nie jest łatwa.

— Dziękuję — mówię cicho, pozwalając jej się objąć. Mimo że czuję się trochę jak oszustka, to i tak przynosi mi to pociechę. Nie wiedziałam nawet, że mam wsparcie tak niesamowitych przyjaciółek.

Z drugiej strony przypomina mi to też, że Rafe musi pozostać martwy. Nigdy nie może wrócić do życia w Luizjanie. Uświadomienie sobie tego to bolesny cios i nieoczekiwane ból przeszywa mi pierś.

Ale to nic nie szkodzi. Przynajmniej żyje.

— A teraz czy mogłabyś mi opowiedzieć o tej rzeźbie? Nie widziałam jej wcześniej, ale mój mąż chciałby ją mieć za wszelką cenę. A skoro wyjechał służbowo, to moim obowiązkiem jest go zaskoczyć. — Yve wskazuje na wielką koronę, zamocowaną na ścianie.

Gdy Yve dokonuje drugiego zakupu, tylko dwie rzeźby pozostają niesprzedane i przestają mieć poczucie, że jestem oszustką.

Dam radę.

Mogę zrealizować swoje marzenia.

Rozdział 37

Kane

Późnym wieczorem po pierwszym wernisażu Temperance leżymy razem w łóżku, a ona opiera głowę na mojej piersi.

— Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę, że to moje życie.

Spogląda na mnie z zachwytem w oczach i przysięgam sobie, że do końca życia będę robił wszystko, co w mojej mocy, żeby jak najczęściej móc oglądać taki wyraz jej twarzy.

— Uwierz w to. Jestem z ciebie cholernie dumny, księżniczko. Zaslugujesz na to wszystko.

Wodзи palcem po jednym z moich tatuaży.

— Wiesz, zrobiłam listę marzeń, kiedy postanowiłam, że jednak chcę żyć. To znaczy właściwie Harriet mnie do tego zmusiła.

— Tak? — Spoglądam w jej ciemne oczy. — I co na niej jest?

— W sumie już kilka rzeczy mogę z niej wykreślić.

— Na przykład co?

— Zaistnieć jako artystka i *być szczęśliwą*.

Narasta we mnie nieznane wcześniej uczucie zadowolenia.

— Cieszę się, że potrafię cię uszczęśliwić. Co jeszcze musimy skreślić z tej listy?

— Chcesz to robić ze mną?

— Naprawdę musisz o to pytać?

Uśmiecha się.

— Chciałabym pić wino w winnicy Harriet we Włoszech i podróżować po świecie.

— I to wszystko?

— Ostatni punkt mogę skreślić i na szczęście nie dlatego, że udało mi się go zrealizować.

— Co takiego?

— Uczcić pamięć brata — mówi i spogląda na mnie. Nie wiadomo dlaczego nagle ogarniają mnie złe przeczucia. — Bo on będzie bezpieczny, prawda?

Kiwam głową, nie mając innego wyboru. Mam tylko nadzieję, że nie kłamię.

Rozdział 38

Temperance

— Przyszłaś! — woła radośnie Yve, gdy wchodzę przez drzwi Słodkiej Kici tydzień po wernisażu w Noble Art, który Valentina określiła jako olbrzymi sukces. Oprócz tego, że kupiła rzeźbę przedstawiającą koronę, Yve zamówiła jeszcze kolejną i pracowałam nad nią przez ostatnie trzy dni.

— Oderwałam się na chwilę od pracy nad pewną rzeźbą na zamówienie, więc mam nadzieję, że klientka nie będzie zła, że realizacja trochę się opóźni.

Uśmiecha się.

— O ile tylko wyjdiesz stąd z nową bielizną i uśmiechem na twarzy, to nie będę narzekać — mówi, idąc w moją stronę, po czym obejmuje mnie ramieniem i ściska.

Jeszcze pół roku temu nie wiedziałam, jak to jest mieć przyjaciółki, ale wydaje się, że teraz mam ich kilka, a uściski są na porządku dziennym. To niesamowite, jak życie potrafi się zmienić.

Zanim w moim świecie pojawił się Kane, pracowałam w destylarni, zakładając, że będę to robić przez resztę życia, i nie uprawiałam seksu od wieków. Teraz stoję w sklepie z bielizną, w otoczeniu znajomych twarzy, i zamierzam wybrać coś zabójczego, żeby zrobić wrażenie na swoim facecie i móc zachować się jak *bardzo* niegrzeczna dziewczynka.

Tak naprawdę mam ochotę na odgrywanie ról. Może nie będziemy mogli wrócić do klubu, bo Kane nie uważa, żeby to było bezpieczne, ale pragnienie tego, co mi tam dał, nie zniknęło. Mogę sobie tego zażyczyć w domu.

W moim umyśle już tworzy się plan, kiedy widzę, że Ariel podnosi majtki i biustonosz w odcieniu grzesznej czerni.

Oczy jej się rozjaśniają, gdy mnie dostrzega.

— Hej, dziewczyno! Świetnie wyglądasz! Jak się masz? Wszystko w porządku? Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Potrzebujesz dodać kogoś do listy „tych klientów nie obsługujemy”?

Jej nadmiernie entuzjastyczne powitanie przypomina mi, jak bardzo lubię tę dziewczynę, która jest geniuszem komputerowym w większym zakresie niż prezeską firmy.

— Wszystko w porządku, sprawy dobrze się układają. Życie znajduje nowy rytm i jakoś się trzymam. — Trudno nie wyznać jej prawdy, ale dochowanie sekretu Rafe'owi znajduje się na szczycie listy priorytetów, więc nie mam wyboru.

— To dobrze. Martwiłyśmy się o ciebie. Zrobiłam nawet kilka rzeczy, których nie powinnam była...

O Jezu.

— Na przykład?

Przez chwilę wpatruje się w sufit.

— Ariel?

Krzywi się i spogląda mi w oczy.

— Zhakowałam kilka satelitów i dowiedziałam się wszystkiego. Wiem o całej maskaradzie — mówi tak cicho, żeby nikt inny jej nie usłyszał.

— Błagam, powiedz, że nikomu o tym nie mówiłaś.

Zerka na Keirę stojącą obok Yve, upewniając się, że wszyscy delektują się whiskey.

— Nie. Wszystko, co udało mi się ustalić, prowadziło do kogoś, z kim nie chcę zadzierać, bo wołałabym nie zginąć.

Wiem, że mówi o Mouncie, i nie po raz pierwszy cieszę się, że jest on skurwielem, który wzbudza powszechny strach, a jednocześnie mężem mojej byłej szefowej.

— Zdecydowanie nie powinnaś bardziej zagłębiać się w tę sytuację — radzę jej równie cicho.

Ariel kiwa głową.

— Rozumiem. Ale... Nie czuję się dobrze, zostawiając to, dopóki nie zostanie wymierzona sprawiedliwość za to, co ci się przydarzyło.

— O Boże, w co ty znowu wtykasz nos? — To pytanie zadaje, akurat do nas podchodząc, wspaniała blondynka. Pamiętam z wieczoru u Valentyny, że ma na imię Vanessa.

— To nieistotne — odpowiadam.

— W nic — mówi równocześnie Ariel.

— Cały dzień spędzam w towarzystwie nastolatków, którym wydaje się, że są sprytni, więc wiem, że obydwie łecie — stwierdza Vanessa.

— Możesz mi zaufać, jeśli powiem, że naprawdę nie chcesz wiedzieć — oznajmiam.

Vanessa przekrzywia głowę.

— Błagam, powiedz, że Ariel nie zrobiła czegoś, co zabije was obie.

— Nie robię już takich rzeczy.

— Jasne, tak jakbym mogła w to uwierzyć choćby przez sekundę. — Spogląda za Ariel.

— Gdzie masz laptop?

— Yve zabroniła mi go przynieść. Znowu.

Vanessa potrząsa głową i śmieje się głośno.

— Nie mogę uwierzyć, że w ogóle byłaś w stanie wyjść bez niego z domu.

Palce Ariel drgają.

— Zwykle tego nie robię, nigdy nie wiadomo, kiedy trzeba będzie się włamać do systemu naprowadzania pocisków w Korei Północnej, żeby uratować wolny świat.

Śmieję się w nieco wymuszony sposób, nie będąc pewną, czy Ariel żartuje, czy nie.

— Zamierzam kupić coś, na widok czego Con oszaleje... — stwierdza Vanessa, spoglądając na mnie i na Ariel, jakbyśmy byli parą nastoletnich łobuziaków. — Nie wpakujcie się w kłopoty.

Gdy tylko Vanessa odwraca się do nas plecami, Ariel zerka na mnie z ukosa.

— Jeśli potrzebujesz jakichś informacji, jednak nie możesz tutaj o tym mówić, przyjdź jutro do mnie.

Kiwam głową, bo nie chcę wpakować się w żadne kłopoty, ale są pewne informacje, których potrzebujemy. Musimy dowiedzieć się, co łączy Gilesa z handlarzami ludźmi. Musimy znaleźć Lagarta. I chciałabym, żeby mój brat wrócił do domu cały i zdrowy.

— Nie obchodzi mnie, o czym teraz gadacie, ale dzisiaj jest czas na kupowanie bielizny — mówi Yve, przyłączając się do nas. — Więc ruszcie się, nalejcie sobie tej cudownej whiskey i poszukajcie czegoś, na co będziecie mogły wydać wszystkie swoje pieniądze.

— Dziewczyno, nie masz tyle towaru, żebyśmy mogły wydać wszystko. Nie wiedziałaś, że jesteśmy dziane? — pyta Ariel z uśmiechem.

Słyszac, jak mówi o tym w tak lekki i pełen pewności siebie sposób, czuję przyływ inspiracji i wyznaczam sobie nowy cel.

Pewnego dnia będę równie kozacka jak Ariel.

Dzwonek u drzwi znowu brzęczy i widzę kolejną znajomą twarz.

— Udało ci się! — woła Ariel na widok ciemnowłosej właścicielki galerii.

— Darmowa whiskey i coś, co będzie w stanie doprowadzić mojego męża do szaleństwa? Za nic bym tego nie opuściła! — woła Valentina, po czym mnie dostrzega. — Temperance! Tak

się cieszę, że tu jesteś. Miałam do ciebie rano dzwonić, bo potrzebuję twoich danych do przelewu.

Danych do przelewu. To brzmi dumnie, chociaż chyba nie powinno być niczym niezwykłym.

— Czego tylko potrzebujesz — zapewniam. — Chociaż właściwie nie mam pojęcia, co to jest.

— Mogę to zdobyć — stwierdza Ariel z uśmiechem. — Ale zapewne wołałabyś, żebym tego nie robiła.

— O Boże, nie namawiaj jej, żeby zaczęła się nam włamywać na rachunki bankowe. Zapewne przelewałaby *na nie* pieniądze, bo jest dziwaczną i szlachetną hakerką. Albo założyłaby naszym dzieciom lokaty na opłacenie studiów — wtrąca Yve.

Ariel pokazuje jej środkowy palec, sącząc z uśmiechem wodę.

— Dlaczego pijesz wodę, a nie whiskey? — niepokoji się Valentina, mrużąc oczy.

— A ja sądzisz? — pyta Ariel lekko prowokacyjnie.

— O mój Boże! Naprawdę? Jesteś...

— W ciąży i nie mogę przestać płakać, gdy czuję się szczęśliwa, i ciągle jest mi niedobrze.

— Jasny gwint! — Kobieta o ciemnorudych włosach wchodzi przez drzwi tanecznym krokiem. — Geniuszka w ciąży! Tego się nie spodziewałam tu dzisiaj usłyszeć!

— Elle! Przyszłaś! — piszczy Vanessa i rzuca się jej na szyję.

Wszystkie zaczynają się ze sobą witać, jednak nie mogę wyrzucić z głowy słów Ariel. Płacz z byle powodu i nieustanne zbieranie się na wymioty...

Nieemożliwe.

Poważnie, nie ma mowy, żebym... Zaczynam dokonywać obliczeń w pamięci.

Nieemożliwe. Czyżby?

Może.

Niewykluczone.

Powinam być przerażona samą możliwością ciąży, zwłaszcza teraz, jednak zamiast tego zaczyna we mnie kiełkować nadzieja.

Nie jest to najlepszy moment i nie zamierzam wyciągać przedwczesnych wniosków, ale... *rany*.

Przygryzam wargę i uśmiecham się. To by było szaleństwo, prawda? Ale jedno jest pewne.

Nie zamierzam nic nikomu mówić, dopóki nie będę wiedziała na pewno.

Rozdział 39

Kane

Kiedy Temperance wychodzi ze sklepu z bielizną, z radością zauważam, że trzyma w dłoni torbę i ma uśmiech na twarzy. Taki wieczór — coś zwykłego i normalnego — był jej potrzebny.

Przez jasno oświetlone witryny widziałem, jak żegna się z przyjaciółkami, i cieszę się, że je odnalazła. Chcę, żeby to była część jej życia. Chcę, żeby miała wszystko.

Wysiadam z samochodu i otwieram jej drzwiczki.

— Moja pani — mówię, wskazując gestem, by wsiadła.

— Co za uprzejmość. Masz nadzieję, że kupiłam coś wyuzdanego i chcesz to na mnie zobaczyć, prawda? — pyta, wślizgując się na siedzenie.

— Nie dlatego otworzyłem ci drzwiczki, ale owszem, nie odmówiłbym.

— To dobrze — odpowiada z uśmiechem. — Bo mam coś *naprawdę* wystrzałowego.

Zamykam drzwiczki i obchodzę maskę, żeby usiąść za kierownicą.

— Dokąd dzisiaj jedziemy?

Spędziliśmy czas zarówno w mieszkaniu Temperance, jak i w moim domu, w zależności od tego, ile Temperance pracowała, jednak przez większość nocy byliśmy u niej. Na szczęście Harriet często wyjeżdża z miasta, inaczej obawiałbym się, że hałas, jaki robimy, mógłby przyprawić starszą panią o zawał.

Chociaż z drugiej strony to przecież Harriet...

Nie narzekam jednak. Wszystko mi jedno, gdzie śpimy, o ile tylko mam Temperance u swojego boku.

— Jedźmy do ciebie...

Gdy zawiesza głos, od razu zastanawiam się, co planuje.

Przestaliśmy chodzić do klubu z powodu Gilesa i zastanawiam się, czy jestem w stanie dawać jej wszystko, czego potrzebuje, czy też tęskni za mrocznym i podniecającym voyeuryzmem, który początkowo nas połączył.

Zaraz gdy wjadę do garażu, Temperance wyskakuje z samochodu, zanim zdążę otworzyć jej drzwiczki.

— Spiesz ci się?

Kiwa głową.

— Ale daj mi dwadzieścia minut, nim wejdiesz na górę. Obiecuję, że warto będzie czekać.

— Dla ciebie mógłbym czekać choćby przez wieczność.

Jej twarz łagodnieje. Pochylam się, żeby pocałować Temperance, po czym ona idzie na górę przygotować dla mnie coś, o czym wiem, że będzie niesamowite.

Rozdział 40

Temperance

Gdy po wyznaczonym przeze mnie czasie oczekiwania Kane wchodzi na górę, słyszę, że najpierw zagląda do sypialni. Tam jednak mnie nie ma. Nie, jestem w biurze w głębi korytarza. Biurze, którego — sądząc z zupełnie pustego biurka — chyba nigdy nie używał.

Idealnie pasuje to do moich celów.

Niezależnie od tego, jak nasze życie zmieni się w najbliższej przyszłości, czy to z powodu, który podejrzewam, czy też w związku z tym, co nawywiłaj mój brat, potrzebuję jednej nocy, podczas której nie będę myśleć ani o jednym, ani o drugim.

Potrzebuję nocy, która będzie tylko dla *nas* i wypełniona tym, co początkowo nas do siebie przyciągnęło.

Kane nie jest głupi, więc szybko odnajduje mnie w biurze, gdzie oparta o biurko stoję w świeżo zakupionej bieliźnie pokazującej więcej, niż zasłania.

Nie muszę niczego przed nim ukrywać. Chcę jedynie nadal go kusić.

— Nie wiedziałem, że mieliśmy się dziś spotkać — mówi Kane, omiatając mnie pełnym aprobaty lodowatoniebieskim spojrzeniem.

— Proszę siadać, *proszę pana* — mówię, wskazując fotel w rogu, nad którym znajduje się jedyne w pomieszczeniu źródło światła.

Kane siada z szeroko rozstawionymi nogami i kładzie dłonie na kolanach, nie odrywając wzroku od miejsca, w którym stoję na wysokich szpilkach.

Och, rzeczy, które miałabym ochotę mu zrobić... albo pozwolić, żeby on zrobił je mnie...

— Co jest w planie dzisiejszego spotkania?

— Tylko mała pokusa...

— Sądzę, że się pani przeliczyła.

Przechylałam głowę, odgarniając włosy na jedną stronę.

— Jak to?

— Nie jest pani małą pokusą... tylko ostateczną, największą. — Wędruje wzrokiem od moich stóp w górę, pieszcząc spojrzeniem moje ciało. — Te czarne szpilki, zajebicie seksowne. Te pończochy... Pragnę je zerwać zębami, nim odsunę te małe, czerwono-złote majteczki na bok i skosztuję słodkiej cipki, którą kryją.

Na początku obserwowanie innych wyzwalało we mnie dziki ogień pożądania, ale teraz uświadamiam sobie, że to był tylko katalizator, który sprawił, że ruszyłam po prawdziwą nagrodę — po mężczyznę zdolnego dać mi wszystko, czego potrzebuję, w łóżku i poza nim. Człowieka, który pomógł mi odrzucić zahamowania, zapomnieć o wszystkim prócz tego, jak się przy nim czuję.

— Pragnę tego. Pragnę wszystkiego, co możesz mi dać, wszystkiego, co mi obiecałeś.

Jego wzrok zatrzymuje się na mojej twarzy.

— Mam taką nadzieję, bo to już należy do ciebie.

Mówi ogólnikami, a ja myślę o konkretnych, ale wkrótce to zrozumie. *Już za dziesięć sekund.* Czuję pulsowanie między udami na myśl o tym, co nadchodzi.

— Chcesz zobaczyć resztę? — pytam, drocząc się z nim.

— Oczywiście.

Odpycham się od biurka i powoli obracam w kółko, widząc dokładnie, w którym momencie dostrzega brak materiału w bardzo konkretnym miejscu mojej bielizny.

— Słodki pierdolony Jezu, księżniczko...

Zerkam przez ramię i widzę, że zaciska dłonie na poręczach fotela.

— Podoba ci się?

Nozdrza mu drgają, kiedy puszcza fotel i wstaje.

— Więcej niż podoba. Jestem zajebiście zachwycony. Kocham każdy skrawek twojego ciała. — Pokonuje dzielący nas dystans i zatrzymuje się tuż za mną. Czuję jego oddech na ramieniu, kiedy chwyta jeden z moich pośladków i rozkosznie ściska.

Jęczę cicho.

— Nie ma siły, żebym się powstrzymał od dotykania cię, gdy pokazujesz mi ten śliczny tyłeczek.

— Chcę, żebyś go dotykał. — Spoglądam mu w oczy. — Chcę nawet więcej.

Wcześniej nie wiedziałam, że spojrzenie jego niebieskich oczu może tak palić. Dłoń Kane'a ześlizguje się pomiędzy moje pośladki. Wsuwa tam dwa palce.

— Chcesz, żebym pieprzył tę słodką dupkę?

— Tak.

Jęczy, przymyka powieki, przyciąga mnie szarpnięciem i zaczyna całować. Gdy jego usta pożerają moje, zatapiam się cała w pocałunku.

Kiedy oboje tracimy dech, odsuwa się i patrzy w oczy.

— Należysz do mnie.

— Wiem.

Muska mi ustami szyję, zatrzymując się w miejscu połączenia z ramieniem. Czuję, jak płomień, który rozpałił, bucha jeszcze goręcej.

Od chwili gdy wzięłam z wieszaka tę konkretną parę majteczek, wiedziałam, czego dzisiaj chcę. Dlatego też przygotowałam korek analny i butelkę żelu nawilżającego.

— Kupiłam potrzebne rzeczy... Są w szufladzie — mówię zdyszonym głosem, chociaż ledwie zaczęliśmy.

Kane odsuwa się.

— Już wcześniej wiedziałem, że jesteś idealna, ale to ostatecznie tego dowodzi.

Zaczynam się pochylać, jednak mnie powstrzymuje.

— Jeszcze nie, księżniczko. Najpierw zamierzam się nacieszyć tymi ślicznymi cyczuszkami i skosztować tej słodkiej ciasnej cipki.

Nie wiem, dlaczego bardzo podnieca mnie, kiedy tak świntuszy, ale osiągam kolejny poziom pożądania.

Odwraca mnie, chwyta obiema dłońmi w talii i sadza na biurku. Odnajduje ustami przez cienką koronkę biustonosza moje sutki i zaczyna je po kolei ssać.

Odrzucam głowę do tyłu, gdy wreszcie sięga dłonią i rozpina stanik. Centymetr za centymetrem zsuwa mi szeleccki wzdłuż ramion, budząc dreszcz rozkoszy na skórze w miejscach, które dotyka palcami. Bawi się moimi sutkami, aż stają się twarde niczym diamenty, a ja zaczynam błagać o więcej.

— Jeszcze?

— Tak, chcę dojść.

— I tak właśnie się stanie.

Kane klęka i rozsuwa mi nogi.

— Oprzyj pięty na biurku i odchyl się do tyłu.

Gdyby nie skrawek koronki, byłabym zupełnie odkryta... i wtedy Kane odsuwa materiał na bok i tak właśnie się staje.

— Tak zajebiście piękna. — Pochyla się i przesuwając językiem po mojej szparce. — I tak

zajebiecie słodka.

— Błagam...

— Jeszcze ci dogodzę, księżniczko, obiecuję.

Chwyta mnie za wewnętrzną część ud, rozchylając je bardziej, po czym przystępuje do dzieła.

Język, zęby, wargi... Używa wszystkiego, co ma do dyspozycji, żebym wykrzyczała jego imię i błagała o zepchnięcie w otchłań ekstazy, jednak za każdym razem, gdy jestem blisko, wycofuje się.

— Kane!

— Nie możesz już wytrzymać?

— Tak!

— Więc jesteś *prawie* gotowa.

Gdy szykowałam dzisiejszy wieczór, nie miałam pojęcia, że zgłaszam się do najbardziej zmysłowej tortury, jaką można sobie wyobrazić... Zaczynam sądzić, że przeliczyłam się z siłami.

Kane unosi się i mam ochotę chwycić jego głowę i przyciągnąć z powrotem między nogi, jednak jego intensywne spojrzenie powstrzymuje mnie.

— Gdzie są akcesoria?

Wskazuję głową w tył.

— Górna szuflada po prawej stronie.

— Zajebiecie niesamowita kobieta. — Znajduje je i, nie tracąc czasu, układa obok mnie.

— Pospiesz się.

Zamiast jednak odwrócić mnie i dać to, o co błagam, gładzi mnie palcami po policzku.

— Cieszę się, że poprosiłaś o to, czego potrzebujesz, Temperance. Zawsze będę ci to dawał. Zawsze.

— A co z twoimi potrzebami? — pytam.

— Zaspokajasz je samym faktem, że oddychasz.

Ogarnia mnie przyływ uczuć, chwytam go dłonią za szyję i przyciągam do pocałunku. Gdy wreszcie się odsuwam, mówię:

— Kocham cię, Kane.

Pochyla głowę, przytykając czoło do mojego.

— Niezależnie od tego, co się stanie, *zawsze* będę cię kochał.

Kiedy się odsuwa, podaje mi dłoń, a ja ją przyjmuję. Delikatnie odwraca mnie twarzą do biurka. Pochylam się, rozkoszując się chłodem blatu pod piersiami.

Pieści mój tyłek, gładząc pośladki.

— Tęskniłaś za tym, jak bawię się twoim słodkim tyłeczkiem?

Przełykam ślinę.

— Jeszcze jak.

— Więcej go nie zaniedbam, obiecuję.

Puszcza pośladek i wkłada palec pod pasek majteczek, po czym przesuwając go w stronę mojej dziurki.

— Tak zajebiecie mokra.

Jest *tak blisko* miejsca, którego pragnę, by dotknął. Zanurza palec w mojej wilgoci i okrąża nim cipkę.

— Chcesz tu mojego kutasa? — pyta.

— *Tak*. — Głos mi się łamie błagalnie, on jednak nie ulega, lecz przesuwając palec w kierunku tylnej dziurki.

— A tutaj?

Boże dopomóż, chyba nigdy nie pragnęłam niczego bardziej.

— Błagam, Kane, potrzebuję...

— Dostaniesz wszystko, czego potrzebujesz. Nie wątp w to. Ale najpierw ja chcę czegoś od ciebie.

— Czego? Zrobię wszystko.

— Chcę usłyszeć znowu, że mnie kochasz.

— Kocham cię — szepczę, a potem krzyczę: — Kocham cię, Kane! Będę cię kochać do ostatniego oddechu!

Całuje mnie w ramię.

— Ja będę cię kochał w tym życiu i w kolejnym.

— Tak, w tym życiu i w kolejnym.

W tym momencie wsuwa we mnie palec, równocześnie naciskając łechtaczkę, i porywa mnie fala orgazmu. Wyginam się na blicie, próbując zwiększyć nacisk, pragnąc więcej kontaktu, więcej wszystkiego.

Kane zrywa ze mnie majteczki. Potrząsam tyłkiem, żeby opadły na ziemię. Jestem gotowa.

Oczekiwanie nasila wszystkie wrażenia zmysłowe. Wiem, co za chwilę nastąpi. Gdy czuję na tyłku krople żelu nawilżającego, aż drżę z podniecenia. Jestem gotowa. Pragnę tego.

Potrzebuję tego.

— Najpierw musimy cię rozciągnąć. — Naciska dobrze nawilżonym palcem mój odbyty i tym razem wchodzi on bardziej gładko niż poprzednio.

— O Boże. — Wszystkie moje zakończenia nerwowe są pobudzone, mam wrażenie, że niemal śpiewają.

— Tak zajebicie ciasna... Zdusisz mojego kutasa i wiem, że będę zachwycony każdą sekundą.

Powoli pieprzy mnie w tyłek palcem, drażniąc się ze mną. Wzrok zasnuwa mi mgła, przymykam oczy, wreszcie zamykam je zupełnie i w pełni zanurzam się w tym, co czuję.

Kane wsuwa do środka drugi palec i rozkoszny ból nasila się.

— Dasz radę mnie przyjąć?

— Tak — odpowiadam bez wahania i bez wątpliwości.

— Kusicielka.

Rozsuwa palce, jakby naśladował gestem nożyczek. Wiję się po biurku. Gdy wyjmuje palce, wsuwa mi w odbyty korek analny i ustawia kutasa u wejścia do pochwy.

— Kurwa, jesteś tak mokra.

Zachwyca mnie desperacja w jego głosie, tak samo jak byłam zachwycona jego wewnętrzną walką, kiedy wzięłam mu w usta. Uwielbiam, że mam nad nim taką władzę, że pragnie mnie tak samo, jak ja jego.

Wchodzi we mnie i czuję się tak wypełniona, jak nigdy wcześniej. Mój tyłek zaciska się wokół korka, gdy Kane wbija się we mnie.

Moje krzyki jeszcze go podniecają, czuję zbliżający się orgazm. Kane sięga dłonią do przodu i odnajduje łechtaczkę. Rozpadam się na kawałki.

— Kane! — wykrzykuję, kiedy porywa mnie rozkosz, podczas gdy jego pchnięcia stają się coraz mocniejsze i szybsze... aż wychodzi ze mnie.

— Już czas.

— Błagam.

Wyciąga mi korek z pupy i odrzuca na bok, a potem wylewa więcej żelu na tylną dziurkę.

— Powiedz, jeśli nie będziesz w stanie tego wytrzymać. Zrobię to powoli.

Czuję, jak główka penisa naciska na ciasny mięsień i próbuję się rozluźnić. Jego członek wsuwa się do środka i przez chwilę czuję się, jakby mnie rozdarło.

— Jasny gwint. Nie wiem, czy się zmieści, może jesteś za duży...

Jego palce znowu odnajdują łechtaczkę i prowadzą mnie do kolejnego orgazmu, aż nagle zacznę wciskać się w niego, pragnę więcej, uczę się kochać te nowe doznania.

— Dobra dziewczynka, powolutku.

Przyjmuję jego kutasa w siebie powoli, centymetr za centymetrem. Moje zakończenia nerwowe krzyczą pod wpływem nowego rodzaju rozkoszy, mrocznej i pokręconej, tryskającej ze źródeł, do których nie chciałam się przyznać nawet sama przed sobą.

— Twoja kolej — mówię, gotowa zaryzykować.

— Na pewno?

— Tak, tylko powoli.

Granica między bólem i przyjemnością zaciera się, kiedy Kane przejmuje kontrolę i, nie przestając pieścić mojej łechtaczki, posuwa mnie w tyłek raz za razem.

Moje soki zalewają biurko, a gardło boli od krzyków rozkoszy.

Gdy wreszcie dochodzę, mam wrażenie, że każdy centymetr skóry drży mi od nowych doznań. Czuję, jakbym płynęła w niebycie, kiedy słyszę ryk Kane'a, gdy jego rozkosz wlewa się we mnie.

Potem myje mnie i niesie do łóżka, i wiem na pewno, że tego właśnie potrzebowałam.

Rozdział 41

Temperance

W niedzielne popołudnie, kończąc pewien etap pracy nad zamówioną przez Yve rzeźbą, dostaję esemesa.

Ariel: Wpadniesz? Moje zdolności są do twojej dyspozycji.

Kane nie będzie zachwycony, że moja przyjaciółka hakerka grzebie w informacjach dotyczących Gilesa, ale jako chwilowo nieobecny nie ma nic do gadania. Wyjechał pół godziny temu land roverem, żeby „załatwić kilka spraw”, co — jak zakładam — oznacza więcej niż zrobienie zakupów. Ale ufam mu, więc nie zadawałam pytań. Zamiast tego pocałowałam na pożegnanie i powiedziałam, że go kocham.

Teraz żałuję, że nie zapytałam o coś więcej, bo przynajmniej wiedziałabym, jak długo go nie będzie.

Wysłałam do Ariel wiadomość, że za pół godziny ruszam, i drugą do Kane’a, że jadę do Ariel spędzić babski wieczór.

Ona w odpowiedzi wysłała mi adres i serię emotek, a on nie odpowiada wcale.

Lepiej, żebyś był bezpieczny, myślę sobie, albo sama cię zamorduję.

Biorę szybki prysznic i motam włosy w nieporządny kok, po czym wciągam dzinsowe szorty i czarną koszulkę na ramiączkach. Dla bezpieczeństwa wybieram audi z kuloodpornymi szybami i pancernymi drzwiami. *Dzięki temu Kane łatwiej zaakceptuje, że nie będzie mnie w domu po jego powrocie*, mówię sobie.

Gdy zajeżdżam pod adres przesłany przez Ariel, uświadamiam sobie, że naprawdę nie miałam pojęcia, w co się pakuję. To nie dom, tylko posiadłość.

Podaję nazwisko osobie po drugiej stronie domofonu i po chwili brama się otwiera.

Parkuję na końcu długiego podjazdu, na wybetonowanym miejscu z boku, żeby nie blokować gigantycznych drzwi garażowych ani wejścia do domu.

Ariel otwiera, zanim zdążę wysiąść z samochodu.

— Trafiłaś!

Idę do wejścia, zauważając, że włosy Ariel, zebrane w rozsypujący się kok, i koszulka z napisem „Hangry Hangry Hippo” kontrastują nieco z luksusowym i olbrzymim domostwem.

— Naprawdę jesteś dziana, co?

Ariel uśmiecha się.

— Jestem prezeską paru firm produkujących fajne rzeczy. Ergo — zarabiam kupę kasy. Początkowo wynajmowaliśmy ten dom, ale zakochałam się z nim i wyobraziłam sobie, że tajemniczy pan Mount uznał, że może mi go sprzedać.

— Zaraz... — Patrzę na piękny hol, nowoczesny i elegancki, świeżym spojrzeniem. — Ten dom należał do Mounta?

Ariel kiwa głową.

— Najwyraźniej już go nie używał. I wprawdzie zdjęłam jego system zabezpieczeń i założyłam własny, ale czasem zastanawiam się, czy nadal może widzieć wszystko, co się tutaj dzieje. Ten koleś jest naprawdę przerażający.

Nawet nie ma pojęcia, jak bardzo, ale jedynie kiwam głową na zgodę.

— A jednak twoja była szefowa wyszła za niego i nadal żyje.

Myślę o tym, jak Keira się uśmiecha i jak czułe i rozmarzone staje się jej spojrzenie, ilekroć mówi o mężu.

— Nie tylko żyje... Jest naprawdę szczęśliwa.

— Szalona, tyle tylko mogę powiedzieć. Ale mniejsza z tym, nie po to tu przysłaś. Przysłaś, żebym pokazała ci swoje magiczne sztuczki. — Ariel prowadzi mnie przez nowoczesną kuchnię, wypełnioną lśniącymi urządzeniami z nierdzewnej stali, do długiego stołu, znad którego widać cudowną panoramę jeziora Pontchartrain.

— Niezłe lokum.

— Mount ma dobry gust. Niewiele tu zmieniłam — zdradza Ariel, odsuwając krzesło, po czym rozciąga dłonie i palce, siada przez laptopem i spogląda na mnie. — A więc jakiej informacji tym razem szukamy?

— Skąd wiesz, że potrzebuję informacji?

Przechyla głowę, gdy siadam obok niej.

— Bo wiedza to władza, więc dlaczego nie miałabyś pragnąć więcej? A zatem... powiedz, o co chodzi, i zabieram się do roboty. Nawet cię za to nie skasuję, ale mogę przyjąć ciasteczka jako dowód wdzięczności, jeśli umiesz piec.

Śmieję się.

— Kupię ci ciasteczka.

— Może być. No dobrze, jestem gotowa.

Przełykam ślinę niepewna, ile właściwie powinnam jej powiedzieć.

— Sytuacja nie jest dobra... *Wcale nie jest dobra.* To przede wszystkim znaczy, że nikt nie może wiedzieć, o czym rozmawialiśmy ani co znajdziesz.

— Cholera, aż tak poważnie?

Kiwam głową i Ariel wstaje, zatrzasnąc laptop.

Mrugam zdumiona.

— Co ro...

— Musimy się przenieść w miejsce, gdzie zajmuję się rzeczami, które wymagają większego bezpieczeństwa. Możesz o tym nie wiedzieć, ale to właśnie jest moje prawdziwe życie. Chodź.

Idę za Ariel przez sypialnię do garderoby i odwracam wzrok, gdy wprowadza kod. Panel otwiera się i Ariel wskazuje ręką przestrzeń za nim.

— To mój bezpieczny pokój.

Wchodzę do pomieszczenia, które wygląda jak luksusowy salon odzieżowy. Zdobione regały zajmują dwie ściany, pośrodku znajduje się lada, a w części wypoczynkowej stoją dwie skórzane sofy.

To znaczy wygląda do momentu, aż Ariel nie wejdzie do środka, zamykając drzwi i wciskając jakiś guzik.

Cały pokój zmienia się. Regały znikają, ukazując coś, co wygląda jak centrum dowodzenia, które Kane ma u siebie w domu.

— Masz swoją bat-jaskinię!

Ariel wyszczerza zęby w uśmiechu.

— No pewnie! — Ustawia krzesła i siadamy, a ona zaczyna podłączać laptop do czegoś, co — jak zakładam — jest bezpiecznym łączem.

— Potrafisz zacierać za sobą ślady?

— Lepiej niż ktokolwiek inny. W zeszłym roku siedem razy włamałam się do Pentagonu i nigdy mnie nie złapali. Jestem najlepsza.

W takim razie jest dokładnie tą osobą, której potrzebuję.

— To świetnie, bo chodzi o złych ludzi.

Ariel unosi rude brwi.

— Jak złych?

— *Złych*. To ludzie, którzy nie zasługują na to, żeby żyć, ponieważ zajmują się handlem innymi ludźmi.

Ariel odwraca wzrok od ekranu i spogląda mi w oczy.

— O rany. Dobrze. Więc naprawdę, naprawdę źli. *Cholera*. Rozumiem. A teraz daj mi nazwisko czy coś i mogę zacząć szukać. — Układa palce na klawiaturze i czeka.

Niemal boję się je wypowiedzieć na głos, bo przecież nie mam zgody Kane'a, żeby w ogóle to robić.

— Potrafisz dochować tajemnicy?

Ariel poważnieje.

— Znam więcej tajemnic, niżbym chciała. Jestem jak sejf. Tylko tak hakerzy pozostają przy życiu.

Biorę oddech.

— Giles.

— Imię? — pyta Ariel.

— Lewis. Jest senatorem stanowym, a kiedyś był głównym prokuratorem okręgowym.

Otwiera szerzej oczy. Zmienia pozycję na krześle i strzela palcami.

— Coraz lepiej... Dobrze, odkryjmy przeszłość tego dupka i przyskrzyńmy go za to, co robi.

Rozdział 42

Temperance

Ariel nie kłamała. Jest niemal przerażające, z jaką szybkością zanurza się w życiu Gilesa.

— Wdowiec. Jeden syn. Trzy domy. Płaci podatki, chociaż chyba należałby mu się audyt, biorąc pod uwagę, że kwoty odliczeń są dziwnie wysokie jak na jego dochody. Numer jego karty kredytowej został wykradzony sześć razy w ciągu tego roku, nieźle. To chyba karma. Ma receptę na viagrę, wystawioną przez własnego lekarza. Kupuje jakieś suplementy wzmacniające z Chin i to regularnie — mówi, nie przestając poruszać palcami po klawiaturze podczas szukania wszystkiego na temat Gilesa. Nie mogę się doczekać, aż dokopie się czegoś naprawdę istotnego.

— A działalność przestępcza?

— Na razie nic. Nadal szukam i nie ma mowy, żeby był dostatecznie dobry, by zatrzyć przede mną ślady.

Nadal wyrzuca z siebie różne informacje na temat Gilesa, jednak na razie nic nie ma z związku z tym, czego szukam. Jeszcze.

— Miał bardzo wysoki odsetek skazań za swoich prokuratorskich czasów. Cholernie wysoki w porównaniu z liczbą spraw. — Ariel milknie. — Aaaa... bo jego brat był sędzią. Tak jakby to nie był istotny konflikt interesów. Jezu, kto na to pozwolił?

— Najwyraźniej szalała tam korupcja.

— Oho, brat został zamordowany, sprawy nie rozwiązano. Policja podejrzewała związek z człowiekiem, którego wysłał do więzienia, kiedy dowody na jego niewinność zostały zgubione podczas procesu przez szefa miejscowej policji, który dziwnym trafem też zmarł wkrótce potem.

— Ariel zniża głos. — Ten facet był jakoś powiązany z organizacją Mounta. — Spogląda na mnie. — Ale to już wiedziałas, prawda?

Nic nie odpowiadam, jednak w głowie rozpętuje mi się gonitwa myśli.

— Interesujące... — Odwraca się z powrotem do ekranu. — Co dziwne, pasierb sędziego zginął sześć tygodni wcześniej. Ciało zostało zidentyfikowane na podstawie nieśmiertelników, nic innego nie ocalało. Był wojskowym snajperem.

Jej palce przestają się poruszać.

— I nikt nie pomyślał, że to może być powiązane? To znaczy, ja wprawdzie jestem miłośniczką teorii spiskowych, ale dla mnie to brzmi, jakby...

— Wystarczy.

Ariel zabiera dłonie z klawiatury.

— Ponieważ boisz się Mounta? Czy jest inny powód?

— Nie mogę powiedzieć.

Patrzy na mnie, mrużąc oczy, i sprawia wrażenie, jakby miała milion pytań, jednak powstrzymuje się od ich zadania.

— Dobrze. W normalnej sytuacji chciałabym dojść do prawdy, ale gdy pojawia się związek z Mountem, odpuszczam. A więc... czy o to ci chodziło, czy też chcesz jeszcze zbadać inne tropy?

— Czy są tam jakieś informacji na temat firmy, w której ostatnio wykupił udziały Giles?

Ariel wraca do komputera.

— Ma całą sieć spółek istniejących wyłącznie na papierze. To niemal nie do wysledzenia... ale ja jestem lepsza niż on. Jedna z nich ma aktywny rachunek bankowy na Kajmanach — urywa. — Cholera!

— Co?

— Znasz Magnolię Maison?

Dostaję gęsiej skórki.

— Tak.

— Ta jego firma regularnie jej płaci. — Ariel odchyła się na krześle. — Czy jest jakiś powód, dla którego facet podejrzewany o handel ludźmi miałby opłacać burdelmamę chronioną przez Mounta?

— Kurwa, Kane był pewien, że ona kłamie.

Ariel spogląda na mnie.

— Kane, hę?

Kurwa. Już drugi raz to zrobiłam, najpierw w obecności Magnolii, a teraz przy Ariel.

— Proszę, udawaj, że tego nie słyszałaś.

Krzyżuje ramiona na piersi.

— Mogę być o wiele skuteczniejsza, jeśli będę miała szerszy kontekst.

— Naprawdę nie mogę ci powiedzieć.

Przygląda mi się uważnie.

— Nie musisz, potrafię czytać między wierszami, ale co ma z tym wspólnego Magnolia?

Przełykam ślinę.

— Nie wiem. Ale chcę się dowiedzieć.

— Czy to nie jest najlepsza przyjaciółka żony Mounta?

— Tak.

— A więc może nie powinnyśmy jej ruszać.

— Ale jeśli zajmuje się przemytem ludzi...

Ariel wzdycha.

— Masz rację. Jest szansa, że Mount nas nie zabije.

— Zaraz, jest jeszcze jedno imię... czy też raczej ksywka... której mogłybyśmy się przyjrzeć.

— Zamieniam się w słuch.

— Lagarto. To znaczy...

— Jaszczur po portugalsku. Oczywiście, że ktoś zajmujący się handlem ludźmi powinien mieć jakąś oślizgłą ksywkę.

Jej palce znowu zaczynają fruwać nad klawiaturą i zagłębia się w odmętach ciemnej sieci w poszukiwaniu śladów człowieka, na którego polują Rafe i Kane.

Ariel milczy przez niemal dwadzieścia minut. Jak na dziewczynę, która nie żartowała — o ile mi wiadomo — na temat możliwości rozbrojenia koreańskich rakiet nuklearnych, znalezienie informacji wydaje się jej zajmować okropnie dużo czasu.

— Masz coś?

Potrząsa głową.

— Ten człowiek jest pierdolonym duchem. Lepszym przezwiskiem byłby Kameleon, nie Jaszczur. Jego imię pojawia się mnóstwo razy, kiedy mówią o nim inni, ale potrzebne mi jego prawdziwe nazwisko, żeby móc go znaleźć.

— Kurwa.

— Zaraz... Czekaj... — Ariel milknie i pochyla ekran laptopa w moją stronę. Widać na nim czarno-białe zdjęcie mężczyzny w kapeluszu z dużym rondem.

— Co?

— Czy kiedykolwiek spotkałaś człowieka, który nosiłby kapelusz w ten sposób?

— Głupio to wygląda, ale nie jest niemożliwe.

— Wiem, że to zabrzmiało jak szaleństwo, ale może Jaszczur to jednak *Jaszczurka*?

— Sądysz, że to może być...

Ariel i ja krzyżujemy spojrzenia.

Kurwa, nie ma mowy... Chociaż to naprawdę wiele by wyjaśniało... chociażby dlaczego ani Kane, ani Rafe nie byli w stanie wyśledzić tego faceta... bo to wcale nie jest facet.

Ariel przybiera ponury wyraz twarzy.

— Słyszałam dziwniejsze teorie.

— Gdzie teraz jest Magnolia? — pytam.

— Naprawdę chcesz podążać tym tropem?

Myślę o moim bracie i o Kanie, i o tym, że żadne z nas nie będzie mogło normalnie żyć, dopóki to się nie skończy.

— Nie mam innego wyboru.



Rozdział 43

Kane

— Co, do kurwy? Mówisz poważnie? — Gapię się na Mounta, jakby właśnie oznajmił mi, że ma dwa kutasy i poczwórne jaja.

— Naprawdę sądzisz, że żartowałbym na temat handlu ludźmi? Nawet ja mam swoje zasady. Niedopuszczalne jest, żeby towar zmienił właściciela w moim mieście, skoro już się o tym dowiedziałem zawczasu. Dzisiaj sprzątniesz zarówno handlarza, jak i kupca. Chcę wysłać jasny przekaz wszystkim, którzy ośmielą się choćby pomyśleć o przetrucie ludzi przez moje miasto.

Rozumiem te uczucia... ale w jednym się myli.

— Nie wykonuję twoich rozkazów — odpowiadam. — Już w ten sposób nie działamy.

Mruży niemal czarne oczy, patrząc na mnie.

— W takim razie uznaj to za odwzajemnienie przysługi, którą ci wyświadczyłem.

Ransom powiedział, że jest coraz bliżej Lagarta, więc możliwe, że i tak powinienem tam być. Kiedy tylko wyjdę z biura Mounta, gdzie nie dociera sygnał komórkowy, zamierzam zadzwonić do Ransoma i ustalić, co właściwie zamierza.

— Dobrze, przyjmę tę robotę i będziemy kwita.

— O ile tylko zakończysz to dzisiaj.

— Tak będzie.

Rozdział 44

Temperance

Kane nie odbiera moich telefonów ani nie odpowiada na wiadomości i zaczynam się martwić. Właściwie nie tyle zaczynam, co mój umysł już odtwarza wszelkie najgorsze scenariusze tego, co mogło mu się przytrafić.

Nic mu nie jest. Przecież to fachowiec. Pewnie po prostu robi zwiad czy coś w tym rodzaju i musiał wyłączyć telefon.

Chodząc nerwowo po mieszkaniu, próbuję sobie jakoś wyjaśnić to milczenie. Od czasu do czasu sprawdzam aplikację, którą Ariel zainstalowała mi w telefonie. Pozwala ona śledzić Magnolię. Nie wiem, jak Ariel to zrobiła, ale tak długo, jak Magnolia ma przy sobie telefon, wiem, gdzie jest.

Była w klubie, a teraz jest u siebie w domu. Nie mogę potwierdzić swoich zwariowanych podejrzeń, dopóki z nią nie porozmawiam, ale nie chcę konfrontować się bez Kane'a. Nie mam wątpliwości, że potrafi być niebezpieczna.

A mój cholerny brat... być może celem jego misji stanie się zabicie własnej dziewczyny, a on jeszcze o tym nie wie.

Nie mam pojęcia, czy to możliwe, żeby Magnolia okazała się Lagartem, ale wiem, że jest cholernie sprytna.

Istnieje jeszcze tylko jedna osoba, do której mogłabym zadzwonić, żeby rzuciła trochę światła na sytuację, ale na razie się waham. Jest niedzielny wieczór, a moje pytania mogą nie być mile widziane.

Ale, z drugiej strony, jaki mam wybór?

Wychodzę z aplikacji i dzwonię do byłej szefowej. Keira zna Magnolię lepiej niż ktokolwiek inny.

— Hej, Temperance, czy coś się stało?

Zapewne ja zareagowałabym podobnie, gdyby zadzwoniła do mnie późno w niedzielę...

— Właśnie staram się to ustalić. Czy mogę cię o kogoś zapytać?

Keira milczy przez chwilę.

— Wiesz, że nie mogę powiedzieć ci niczego o Mouncie, więc tego nie zrobię.

— Oczywiście że wiem, ale nie o niego chodzi.

— A o kogo?

— O Magnolię.

W słuchawce zapada długa cisza.

— Może. Co chcesz wiedzieć?

Gdy się rozłączam, zamiast ulgi czuję jeszcze większy niepokój. Ostatnim gwoździem do trumny nadziei, że moje podejrzania w stosunku do Magnolii są błędne, było to, co Keira powiedziała mi na koniec:

Magnolia przeszła przez takie rzeczy, jakich nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić. Nie lekceważ jej.

Coś jest naprawdę nie w porządku i wszystkie drogi prowadzą do Magnolii.

Ponownie otwieram aplikację i widzę, że czerwony wskaźnik się przemieścił.

Dokąd zmierzasz, Magnolio, do jasnej cholery?

Wyjechała z miasta, jednak trzyma się brzegu rzeki.

Nie wierzę w teorie spiskowe, jak Ariel, ale nie trzeba być nią, żeby mieć parę pomysłów na to, co może się dziać na brzegiem Missisipi w niedzielną noc.

Na przykład handel ludźmi.

Żołądek zaciska mi się w twardy supeł. Znowu próbuję dodzwonić się do Kane'a, który jednak nie odbiera.

— Gdzie jesteś? — pytam czterech ścian. — Co, u diabła, mam zrobić? Pozwolić na to wszystko i się nie wtrącać?

Oczywiście nikt mi nie odpowiada, ale jedno wiem na pewno.

Nie mogę tego tak zostawić.

Wkładam czarne legginsy i koszulkę oraz wysokie buty i upewniam się, że pistolet w torebce jest naładowany. Nie mam pojęcia, w co się pakuję, ale zamierzam być przygotowana.

Telefon dzwoni, kiedy siadam za kierownicą audi. *Kane.*

— Dzięki Bogu, że nic ci nie jest. Próbuję się z tobą skontaktować od paru godzin.

— Spotkanie się przeciągnęło. Mam tylko minutę. Nie wychodź dzisiaj z domu. Wróć, kiedy tylko będę mógł.

— Ale...

— Wszystko ci wyjaśnię po powrocie do domu. Przysięgam, że niczego nie zatajam, ale muszę sam to załatwić. Przez kilka godzin będę nieuchwytny. Obiecuję, że nic mi nie będzie. Kocham cię, Temperance.

Połączenie zostaje zakończone. Próbuję oddzwonić do Kane'a, ale od razu włącza się poczta głosowa.

Musiał wyłączyć telefon natychmiast po rozmowie ze mną. Jestem wystarczająco bystra, żeby zrozumieć, że teraz nie da się go wysledzić, bo ma robotę do wykonania. Musi kogoś zabić.

Kurwa. A co, jeśli to ma być Lagarto... a Kane nie wie, że to Magnolia?

Znowu włączam aplikację i sprawdzam, gdzie ona jest. Nadal porusza się drogą wzdłuż rzeki. Jeśli Kane nie jest w stanie jej powstrzymać, ja to zrobię.



Rozdział 45

Kane

To już ostatni raz.

To moja ostatnia robota.

Wiem to w chwili, w której wychodzę z biura Mounta i dzwonię do Temperance.

Wcześniej nie miałem nic do stracenia. Teraz mogę stracić wszystko.

Nie mam cienia wątpliwości, że gdybym nadal chciał żyć w ten sposób, Temperance byłaby w stanie sobie z tym poradzić, ale nie chcę jej do tego zmuszać. Nie czuję się winny z powodu rzeczy, które robiłem, ale nie muszę ich robić nadal. Mam więcej pieniędzy, niż byłbym w stanie wydać przez całe życie. Nasze dzieci, jeśli będziemy je mieli, też będą ustawione do śmierci.

Nagle w umyśle pojawia mi się wizja Temperance w ciąży, noszącej dziewczynkę wyglądającą zupełnie jak ona. Jadę w stronę starego magazynu nad rzeką, który jest idealnym miejscem do przeładunku transportu ludzi. Im jestem bliżej, tym ta wizja staje się wyraźniejsza. Wydaje się tak rzeczywista, że w końcu muszę się od niej odciąć, bo jest zbyt czysta jak na miejsce, do którego jadę, i na to, co mam zrobić.

Zanim jeszcze skręcę z drogi jakieś ćwierć mili za magazynem i zaparkuję za opuszczonym budynkiem, w umyśle pojawia mi się kolejny obraz: mojej mamy trzymającej swoją wnuczkę.

Naprawdę chciałbym jej to ofiarować.

Otwieram bagażnik i wysiadam cicho z samochodu, a następnie wyjmuję z ukrytego schowka karabinek snajperski.

To nie moje pierwsze rodeo... ale będzie ostatnim.

Trzymając się w cieniu, podążam w kierunku miejsca wskazanego przez Mounta. Czuję, jak jeżą mi się włoski na karku.

Coś jest nie tak.

Zatrzymuję się i zaczynam nasłuchiwać, czy coś się nie poruszy. Mam cholerną nadzieję, że nie idę prosto w zasadzkę ani nie zostałem wystawiony do wiatru.

Mount jeszcze nigdy mnie nie zawiódł, ale gdyby z jakiegokolwiek powodu doszedł do wniosku, że nie jestem mu już przydatny, nie wahałby się ani chwili.

Nie sądzę jednak, żeby wysłał mnie gdzieś w ciemno. Nie, po prostu wpakowałby mi kulkę w łeb jak prawdziwy mężczyzna.

Gdzieś przede mną rozlega się warkot ciężarówki. Stary silnik diesla wprawia w wibrację przerdzewiałą skrzynkę na listy znajdującą się obok bramy. Chowam się w krzakach, kiedy reflektory przecinają zapadający zmrok.

Można by sądzić, że handel ludźmi będzie się odbywał nocą, w zupełnych ciemnościach, i pewnie zwykle tak się dzieje. Równie często jednak dokonuje się w pełnym świetle dnia i na widoku. To przekazanie, jeśli rzeczywiście do niego dojdzie, to coś pomiędzy. Jest wczesny wieczór, ale wymiana ma się odbyć na uboczu, gdzie — jak sądzą sprawcy — nikt niczego nie zauważy. Jednak ja ich zobaczę, kiedy tylko ustalę, co, do kurwy, się dzieje, i znajdę właściwe miejsce.

To jeszcze jeden powód, dla którego zazwyczaj nie przyjmuję nagłych zleceń. Nie lubię niespodzianek, chcę się porządnie przygotować. Muszę dobrze znać położenie wszystkich wejść, wyjść, ruch w okolicy, wiedzieć, czy jest jakaś ochrona, czy są kamery bezpieczeństwa, chcę

poznać wszystkie dziury w ogrodzeniu i szpary w chodniku.

Istnieją przyczyny, dzięki którym jestem najlepszy w swoim fachu i mogę żądać dużych honorariów.

A teraz mam zabić handlarzy ludźmi bez żadnego przygotowania.

Pieprzony idiotyzm.

Jakaś część mnie chce zawrócić i powiedzieć Mountowi, żeby się walił, ale gdy widzę, że przez otwartą bramę wjeżdża niewielki bus z żółtym napisem „West Park Care Center” na boku, wiem, że nie mogę tego zrobić.

Wykonałbym tę robotę nawet za darmo.

Rozdział 46

Temperance

Prowadzę audi tą samą drogą, którą poruszała się Magnolia. Z każdym mijanym kilometrem coraz bardziej zastanawiam się, co ja, u licha, wyprawiam. Robiłam wprawdzie głupsze rzeczy, ale to było dawno temu. Mimo wszystko jednak ta chyba jest najgłupsza. Mdłości, podobnie jak wszelkie inne objawy mogące świadczyć o ciąży, minęły. Więc... prawdopodobnie był to fałszywy alarm.

Wyrzucam tę myśl z głowy, bo nie czas i nie miejsce, a zamiast tego skupiam się na bieżącej sytuacji, co jest tak czy siak rozsądniejszym wyborem.

Próbowałam wszystko rozgryźć, ale to jak układanie puzzli bez wzoru na pudełku: frustrujące i czasochłonne.

Kropka w apce nie przestaje się poruszać, jednak teraz wydaje się kręcić wokół jednego miejsca.

— Błagam, Boże, żeby tylko się nie zgubiła.

Wiem, nie mogę liczyć na aż takie szczęście jak zmiana zdania na temat celu wyprawy przez Magnolię — być może z powodu wyrzutów sumienia — ale to nie przeszkadza mi mieć nadziei.

A może już spakowała ludzi i przenosi ich w inne miejsce.

Na samą myśl o tym cierpnie mi skóra.

Ale przecież Magnolia handluje kobiecym ciałem... więc mimo jej protestów i wyjaśnień jest wielce prawdopodobne, że posunęłyby się jeszcze krok dalej.

Chyba że się mylę i ona po prostu szuka modnej restauracji, która jest teraz naprawdę na czasie i znajduje się poza miastem? No cóż, aż tak głupia nie jestem.

Instykt podpowiada mi, że dzieje się tu coś złego. Jeśli się mylę, zawsze mogę wrócić do domu i czekać na Kane'a, udając, że wcale nie ruszyłam w jakiś zwariowany pościg za nie wiadomo czym.

I wtedy kropka w aplikacji skręca po raz ostatni w stronę rzeki i zatrzymuje się.

Gdzie, do diabła, jesteś, Magnolio? I czy Kane też tam jest?

Rozdział 47

Kane

Siedzę na przerdzewiałym kontenerze gdzieś w rogu magazynu, skąd mam widok na bus z domu spokojnej starości, stojący na jałowym biegu. W pewnym momencie podjeżdża czarny samochód terenowy i parkuje za nim.

Gdzieś w oddali rozlega się odgłos silnika łodzi motorowej. Namierzam ją przez lornetkę. Wydaje się, że znajduje się na niej z tuzin ludzi w pomarańczowych kamizelkach. Na burcie żółtymi literami wypisane jest „Wycieczki na bagna z Sandym”.

Mount chce, żebym zastrzelił zarówno sprzedawcę, jak i kupca. Nie mam zielonego pojęcia, skąd będę wiedział, kto jest kim.

Kolejny powód, dla którego nie przyjmuję zleceń bez przygotowania.

W osobówce siedzi ktoś ważny. Jeśli to Giles, wreszcie będę miał szansę, na którą tak długo czekałem.

Łódź przybija do pomostu. Ktoś z busa wysiada, żeby pomóc ją zacumować.

Zanim ktokolwiek zdąży wyjść z łodzi na brzeg, przez bramę wjeżdża rozpędzone bmw i z piskiem hamulców wbija się w terenówkę. Drzwi obydwu samochodów otwierają się.

Z bmw wyskakuje kobieta, która zaczyna machać rękami i wrzeszczeć.

Co, do kurwy nędzy?!

Mrugam dwukrotnie i mija co najmniej sekunda, nim udaje mi się ją rozpoznać w świetle zachodzącego słońca.

Magnolia Maison.

Jezu pierdolony Chryste.

Mount wysłał mnie, żebym zlikwidował burdelmamę.

Rozdział 48

Temperance

Wduszam pedał gazu i rozpędzona mijam miejsce, w którym według aplikacji ma znajdować się Magnolia.

Cholera.

Skręcam na jakiś podjazd i powoli zawracam. Ostrożnie zbliżam się do oznaczonego miejsca.

To jakiś magazyn, który wygląda, jakby miał się za chwilę zawalić. Na podwórzu stoją jeden na drugim kontenery, z których część ma otwarte drzwi.

Gdybym zajmowała się przemytem ludzi, zapewne wybrałabym właśnie takie miejsce.

Mijam je znowu, po czym zjeżdżam na pobocze i wyłączam silnik.

To zdecydowanie najgłupsza rzecz, jaką zrobiłam w życiu. Nie wysiądę z tego samochodu.

Nie zrobię tego.

Kane by mnie zabił.

Biorę telefon i próbuję do niego zadzwonić po raz chyba dwudziesty, ale znowu łączę się z pocztą głosową.

Do cholery, Kane, gdzie jesteś? Czy jesteś tutaj?

Nie potrzebuję, żeby zawsze przybywał mi na ratunek, jednak mam świadomość, że ta sytuacja naprawdę mnie przerasta i byłoby miło, gdybym mogła się skontaktować z człowiekiem zajmującym się takimi sprawami na co dzień.

Wpatruję się w telefon i nagle wpada mi do głowy jeszcze jeden pomysł. Zanim jednak zdążę wybrać numer brata, rozlegają się krzyki.

Otwieram drzwi, żeby lepiej słyszeć.

Magnolia. Wrzeszczy jak opętana.

— Puszczaj mnie, Giles! Nie waż się mnie tknąć, do kurwy nędzy! Zabiję was obu, jeśli mnie wystawicie!

Zabiję was obu?

To znaczy... Gilesa i...

Cholera. Rafe miał to zakończyć. A to znaczy...

Jezu pierdolony Chryste.

Nie pozwolę Magnolii zabić mi brata. Zerkam na kontenery. *Ale jeśli Kane tu jest... to jej na to nie pozwoli.*

Ale Kane nigdy nie strzeliłby do kobiety. Wiem to.

Kurwa.

Wyjmuję pistolet z torebki, wysiadam z samochodu i ruszam w tamtą stronę z nadzieją, że nie będę musiała za chwilę popełnić pierwszego w życiu zabójstwa. Zaledwie zdążę zrobić dwa kroki, znowu słyszę krzyk Magnolii i kamienieję.

— Rafe! Gdzie, do kurwy, jesteś, ty kłamliwy sukinsynu? Sama cię zaraz zabiję!

Nie.

Nie.

Nie!

Rozdział 49

Kane

Jezu Chryste. Nie mam pojęcia, co tu się wyprawia, ale zdecydowanie nie spodziewałem się takiego widoku.

Giles wyskakuje z czarnego samochodu i chwyta Magnolię Maison, która tak się miota, że nie jestem w stanie w niego wymierzyć.

Pieprzona wariatka.

Lepiej, żeby to nie ona była moim drugim celem dzisiejszego wieczoru. Mount wie, że jej nie zabiję. Tę brudną robotę będzie musiał wykonać sam.

Gdy zaczyna wołać Ransoma, zawieszam palec nad spustem.

Co, do kurwy, się tu dzieje?

Brat Temperance zeskakuje z łodzi, zostawiając na pokładzie drugiego mężczyznę i dziesięć kobiet w kamizelkach ratunkowych, i rusza w kierunku Magnolii.

Błagam, niech się okaże, że to wcale nie to, co myślę. Błagam, niech się okaże, że Ransom ich podpuścił i wciągnął w pułapkę i...

Wyciąga pistolet z tylnej kieszeni, jednak nie mierzy do Gilesa, lecz prosto w Magnolię.

— Co tu, kurwa, robisz, Mags?

— Przyszłam, bo wystawiłeś mnie, żeby to gówno na mnie spadło! — Magnolia usiłuje machnąć dłonią. — Przez cały ten czas... to ty byłeś pieprzonym Jaszczurem.

Nie ma mowy, kurwa. Niemożliwe, żeby ten skurwiel mnie tak oszukał.

Nie, nie mogę w to uwierzyć.

Ransom miał dopaść Jaszczura. To niemożliwe, żeby sam nim był.

Obserwuję go przez lornetkę i w chwili, w której się uśmiecha i splota na ziemię, już wiem, że się myliłem.

— Sądziłem, że to oznacza aligatora... ale nigdy nie miałem drygu do języków obcych.

Kurwa mać.

Celuję w głowę Ransoma i opieram palec na spuście, ale nie potrafię strzelić.

Temperance nigdy mi nie wybaczy, jeśli to zrobię. Nigdy tego nie zrozumie. Nigdy nie będę w stanie jej tego wyjaśnić.

Tym bardziej że nie potrafię zrozumieć, jakim cudem sam dałem się tak wyrolować. *Ransom oszukał nas wszystkich.* Nawet rodzoną siostrę.

— Jak mogłeś mnie tak okłamać? — słyszę w ciszy głos Magnolii.

— Dlaczego tu przyjechałaś? — pyta Ransom.

— Mount — syczy Magnolia. — Najwyraźniej chciał, żebym na własne oczy zobaczyła, jaki z ciebie śmieć. — Wskazuje ręką kobiety na łodzi. — Jak mogłeś?!

Ten skurwiel! Czy dlatego Mount mnie wysłał? Bo chciał, żebym ochronił Magnolię podczas konfrontacji z Ransomem?

Zbyt wiele pytań bez odpowiedzi i zbyt wiele komplikacji, żebym był w stanie podjąć decyzję i coś zrobić.

Mount musiał o tym wiedzieć.

Dlaczego nie powiedział mi, że celem jest Ransom?

Znalezienie odpowiedzi zajmuje mi może z pół sekundy.

Bo wiedział, że odmówię, gdy mi powie.

Teraz jednak, kiedy Ransom może w każdej chwili zabić kobietę krzyczącą, że ją

okłamał... wybór staje się mniej oczywisty.

Mam tylko jedną możliwość, a jest to rzecz, której snajper nigdy, przenigdy nie powinien robić.

Mogę opuścić stanowisko i rozwiązać to twarzą w twarz.

Wyjmuję i opróżniam magazynek karabinu, zanim zostawię go na kontenerze. Sprawdzam broń podręczną.

To nie rozstrzygnie się na odległość.

Schodzę z kontenera i ruszam w stronę zadymy rozkręcającej się między pasażerami bmw i terenówki.

— Mount nigdy nie potrafił pilnować własnego nosa — mówi Ransom, spoglądając na Magnolię. — To nie miało się tak potoczyć. Nie miałaś się nigdy dowiedzieć. To miała być moja ostatnia robota i koniec. Miałem zająć się życiem.

— Dlatego człowiek Mounta znalazł rachunek bankowy na moje nazwisko założony na Kajmanach? I odkrył wpływające na niego płatności za gówno, które miało zostać przypisane mnie? Dlaczego miałbyś to zrobić, jeśli nie dlatego, że chciałeś mnie wystawić? — W głosie Magnolii pobrzmiwają desperacja i wściekłość ocierające się o histerię.

— Skarbie, musisz mi uwierzyć. Wszystko, co robiłem, robiłem dla ciebie. Dla nas.

— Nawet nie waż się mówić, że sprzedawałeś *kobiety*, żeby pomóc *mnie*. Wiesz, przez co przesłama. Wiesz, że są rzeczy, na które nigdy się nie zgodzę. Wiesz, że nigdy nie upadłabym tak nisko.

Ton głosu Ransoma nagle zupełnie się zmienia.

— Daj spokój, Mags. Oboje wiemy, że jesteś jedynie pół stopnia ponad tym. Sprzedajesz seks. Skąd możesz wiedzieć, że niektóre z twoich dziewcząt nie pochodzą ode mnie?

Magnolia odrzuca głowę w tył i ryczy:

— Kurwa, zabiję cię, Rafie Ransomie!



Rozdział 50

Temperance

Nabieram powietrza, mając wrażenie, jakby pełne było ostrych żyłek.

Nie.

Nie.

Nie.

Wcale tego nie słyszę.

To się nie dzieje.

To jakiś koszmar.

— Będziesz mnie osądzać? Ty? — Brat śmieje się głośno i fałszywie. — To chyba jakiś pierdolony żart, Mags. Jesteś kurwą, która sprzedaje kurwy. Nie jesteś lepsza ode mnie. Dlatego tak dobrze do siebie pasujemy.

Magnolia wyrywa ramię Gilesowi, robi zamach i trafia mojego brata pięścią w szczękę. Giles rzuca się do przodu i chwytą ją za gardło.

— Nie!

Wszyscy, włączając w to mnie, zamierają na ten okrzyk.

— Kto to był, do kurwy? — Rafe ogląda się, tak samo Giles. Kulę się.

Och, słodki Jezu, co jest ze mną nie tak?

Giles puszcza Magnolię i popycha w stronę Rafe'a. Chowam się za kontenerem i biegnę — aż wpadam na czyjąś twardą pierś.

Następny krzyk wyrywa mi się z gardła tuż przed tym, nim wielka dłoń zasłoni mi usta. Spoglądam w przenikliwe błękitne oczy.

Kane.

Przyciąga mnie na moment do piersi, okręca się ze mną i chce ruszyć do przodu — ale jest za późno.

Zza naszych pleców rozlega się głos Gilesa.

— Mam ich, Ransom. Oboje.

Rozdział 51

Kane

Na moich oczach rozgrywa się właśnie mój najgorszy koszmar.

Perspektywa zabicia brata Temperance to drobiazg w porównaniu z faktem, że właśnie oboje jesteśmy prowadzeni przez uzbrojonego Gilesa w stronę samochodów.

Mógłbym wyjąć pistolet zza paska i załatwić ścierwo na miejscu, ale Temperance znajduje się na linii strzału. Nie ma mowy.

Ransom nie pozwoli mu jej zabić. Mnie — oczywiście, ale nie swoją siostrę. Jestem tego stuprocentowo pewien. *Kurwa mać*. Nigdy nie sądziłem, że Ransom jest dostatecznie bystry, żeby wywinąć taki numer.

Nigdy nie powinno się lekceważyć przemytnika.

— Co, do kurwy, Tempe? — Ransom rzuca Magnolię na ziemię, kiedy przed nimi stajemy.

— Rafe? Co ty robisz? Błagam, powiedz, że to nie jest tym, na co wygląda!

Błaganie Temperance rozrywa mi serce i naprawdę jestem wściekły, że musi ona przez to przechodzić. To jeszcze gorsze niż gdy na lotnisku musiałem pociągnąć za spust na jej oczach.

— Tempe, co ty tu robisz, do diabła? — Na twarzy Ransoma odbija się zdumienie, przynajmniej póki nie spojrzy na mnie. — Wiem, że nie ma mowy, żeby Saxon zabrał cię tu ze sobą. — Kręci głową. — Coś ty odjechał, stary? Sądziłem, że lepiej ci pójdzie z jej ochroną.

— Pozwól siostrze odejść. I to natychmiast, do kurwy! — To rozkaz, nic innego. Nie ma tu pola do negocjacji.

Ransom przechyla głowę i w jego oczach błyska jakiś nowy blask.

— A dlaczego miałbym to zrobić? Dopóki tu jest, trzymam cię za jaja. Nigdy bym nie przypuszczał, aranżując wasze spotkanie, że ona aż tak się w tobie zadurzy. Ale ty, Saxon? Wiedziałem, że nie będziesz w stanie się jej oprzeć. Samotnik, o którego nikt się nigdy nie troszczył. I wtedy pojawiła się Temperance, i chwyciłeś przynętę jak sum kawałek kurzej wątróbki.

— Co? — szepcze Temperance. — To ty nas spiknąłeś? Ty wysłałeś wtedy ten liścik?

Ransom kiwa głową i wskazuje brodą Magnolię, która patrzy na niego z ziemi tak, jakby nagle wyrosły mu rogi i rozszczepione kopyta. Może zresztą się nie myli.

— Zabrałem papeterię Mags z klubu. To nie było trudne. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie rozpoznasz mojego pisma, ale nawet tego nie zakwestionowałaś, tylko poleciałaś świńskim truchtem na spotkanie i wpadłaś w sidła.

Co za skurwiel.

— Wysłałeś mnie do seksklubu? Bo chciałeś mnie umówić z płatnym zabójcą? Co, do licha, Rafe? A potem ostrzegłeś mnie, żebym tam nie wracała?

Słyszę w jej głosie walkę ze łzami i naprawdę żałuję, że nie strzeliłem do niego, mając możliwość. Nikt, nawet Rafe Ransom, nie może doprowadzać Temperance do łez.

— Sądzisz, że cię nie znam? Wiedziałem, że jeśli cię ostrzegę, będzie dwa razy bardziej prawdopodobne, że tam wrócisz. Jesteś uparta jak sam skurwysyn, zawsze taka byłaś.

— Dlaczego? Po co te wszystkie knowania?

— Pieniądze — mówi zza nas Giles. — Nigdy nie ma ich dość. Zawsze chciał więcej, żeby nigdy już nie stać się z powrotem tym biedakiem z bagien.

— Nie potrzebowaliśmy więcej pieniędzy, ty durniu! — Magnolia próbuje wstać, jednak

Giles rzuca się w jej kierunku.

Ransom wyciąga pistolet, a ja sięgam po swój w przekonaniu, że zaraz zastrzeli Magnolię, jednak zamiast tego pakuje kulę w głowę Gilesa.

Co, do kurwy?

— Nigdy nie lubiłem tego pretensjonalnego palanta — mówi Ransom w roztargnieniu, spoglądając na ciało Gilesa.

Gdy podnosi wzrok z powrotem na Temperance i na mnie, patrzy prosto w lufę mojego pistoletu.

Rozdział 52

Temperance

— Teraz mogę zatrzymać i pieniądze, i dziewczyny. Sprzedać je komuś, kto da więcej — mówi Ransom z uśmiechem.

— Tak właśnie zrobiłeś z poprzednim transportem, prawda, Ransom? — pyta Kane i nagle wszystkie elementy zaczynają się sensownie układać.

— O mój Boże, powiedz, że to nieprawda. Powiedz mi, że wcale tak się nie stało.

— Powiedz swojemu chłopakowi, żeby opuścił pierdoloną broń, o ile nie chce, żebym na twoich oczach wpakował mu w pierś cały magazynek.

— Temperance, cofnij się — rozkazuje Kane.

Brat najwyraźniej wciąż zna mnie lepiej niż Kane, bo zamiast się odsunąć, staje przed swoim mężczyzną, uniemożliwiając strzał.

— Temperance, lepiej...

— Zmusiłeś mnie, żebym patrzyła na *twoją* śmierć, a wszystko dlatego, że chciałeś więcej pieniędzy? — Mój głos staje się piskliwy, a potem się łamie. — Ilu osobom zniszczyłeś życie, Rafe? Jak mogłeś to zrobić? Mój brat by tak nie postąpił!

— Tempe...

Potrząsam głową. Przede mną stoi ktoś, kogo nie znam.

— Wszystko dla pieniędzy? Naprawdę? — szepczę. — Odlóż broń. Pozwól im odejść. Pozwól nam wszystkim odejść. A potem, kurwa, zniknij, bo już nie mam brata. Nie, jeśli mógł zrobić coś takiego.

Spojrzenie Rafe'a twardnieje.

— Sądysz, że jesteś lepsza ode mnie? Dorastałaś na tych pierdolonych bagnach tak samo jak ja. Jesteśmy tacy sami.

— Nie jesteśmy tacy sami!

— Może i nie. Bo ja nie zasłaniam własną pierś zabójcy, próbując udawać, że jest lepszy od mojego brata. Saxon jest tutaj, bo Mount wydał rozkaz swojemu ulubionemu katu. Możesz kochać płatnego zabójcę, a chcesz udawać, że nie istnieję z powodu tego, co zrobiłem? No nie sądzę.

Unosi broń wyżej, ponad moją głowę, i Kane odrzuca mnie na bok.

Uderzam o żwir, kiedy w ciemnościach nocy rozlegają się strzały.

Rozdział 53

Temperance

— Tak mi przykro, Temperance. — Magnolii trzęsie się dłoń, kiedy opuszcza mały różowy pistolet.

Magnolia zastrzeliła mojego brata. Zastrzeliła mojego brata. A Kane...

— Kane! — krzyczę i rzucam się tam, gdzie leży na ziemi. — Proszę, Boże, nie mogę znowu przez to przechodzić. Nie możesz być martwy. Nie pozwolę na to.

Nie jestem w stanie jeszcze spojrzeć na brata. Sprawdzam, czy Kane jest ranny. Jego dłoń chwyta moją i przyciska do piersi.

— Nie umrę. Nie tym razem.

— O mój Boże. Potwornie mnie wystraszyłeś.

Zerka na swoje ramię.

— To tylko draśnięcie.

Widzę krew sączącą się przez niewielkie rozdarcie koszuli i oddycham z ulgą. To nie jest śmiertelna rana.

Kane spogląda za mnie. Nie chcę się odwracać. Nie mogę się odwrócić.

Tam jest Magnolia... i dwa martwe ciała.

— Tak mi przykro.

Powtarza to w kółko szeptem. Serce mi się kraje. Tym razem jest gorzej niż na lotnisku; czuję, że moja dusza rozdziera się na strzępy. Odwracam się do brata. Jeszcze żyje.

Unosi dłoń i wyciąga ją do mnie.

— Tempe, proszę.

On żyje.

Ruszam ku niemu i klękam. Pod nim na żwirze zbiera się krew.

— Przepraszam — mówi. — Ja nie... nie... chciałem, żebyś to widziała. To nie tak miało być.

Krew sączy mu się z kącika ust. Unoszę dłoń, kiedy Kane klęka obok i uciska swoją koszulą rany na piersi mojego brata — tym razem najzupełniej prawdziwe.

— Nic nie mów. — Patrzę na Magnolię. — Dzwon po pogotowie. Już!

Sięga po telefon. Spoglądam na Rafe'a.

— Pomoc jest w drodze. Wszystko będzie dobrze.

Mój brat zdradził nas wszystkich, ale to nadal krew z krwi i kość z kości. Może dokonał błędnych wyborów i nigdy ich nie zrozumie, ale nikt i nic nie może przeszkodzić mi w próbie ratunku.

Jest jedyną rodziną, jaką mam.

— Nie mam dużo czasu. Muszę to powiedzieć.

Łzy płyną mi po policzkach. Magnolia coś mówi, jednak jej głos zlewa się z dźwiękami tła, ponieważ całą uwagę poświęcam bratu.

— Nie, ty nie umierasz, do cholery.

Przyciąga moją dłoń do twarzy.

— Tak bardzo mi przykro. Chciałem tylko być kimś.

— Nie musisz być nikim innym niż tylko sobą! Nie musiałeś tego robić!

Kiwa głową.

— Zawsze wiedziałem, że to się tak skończy. Żałuję tylko, że musiałaś to zobaczyć.

Żałuję, że przeze mnie przeszłaś przez to dwa razy. — Kaszle i rżenie, które słyszę w jego piersi, sprawia, że krew ścina mi się w żyłach.

— Rafe, błagam.

— Tak będzie lepiej. Będiesz miała nowe życie. Bądź szczęśliwa, Tempe. Żyj.

Znowu kaszle i oczy zasnuwają mu się mgłą.

— Zaopiekuj się nią albo będę cię straszył... — urywa i oczy uciekają mu w tył głowy.

— Nie! — krzyczę rozpaczliwie.

Kane przyciska mnie do piersi, jakby chciał zapobiec temu, że rozsypię się na kawałki.

Ale już za późno.

Już się rozsypałam.



Rozdział 54

Temperance

Magnolia nie zadzwoniła po pogotowie. Zadzwoniła do Mounta.

A gdy pojawia się kawaleria, Mount rozkazuje jednemu ze swoich ludzi, żeby zabrał dokądś kobiety busem, a potem mówi do Kane'a, żeby zawiózł mnie do domu. Jednemu ze swoich ludzi poleca odprowadzić audi do garażu. Ma już na nas czekać lekarz, który obejrzy Kane'owi ranę.

Dziesięć minut po wyjściu lekarza osuwam się pod prysznicem na podłogę, patrząc, jak resztki zabarwionej na czerwono wody nikną w odpływie. Łzy ciekną mi po policzkach, a pierś rozdziera ból złamanego serca.

Mój brat zdradził nas wszystkich. Brat, który dotąd zawsze mnie chronił, zawsze stawał w mojej obronie, pomagał mi.

Nie mogę pogodzić tego, co teraz zrobił, z obrazem człowieka, którego znałam od zawsze.

A przede wszystkim nie chcę.

Obmywa mnie gorąca woda. Żałuję, że nie może obmyć moich wspomnień, wypłukać ze świadomości wydarzeń dzisiejszego wieczoru.

Ale nic już nie będzie w stanie tego zrobić.

Gdy ostatnim razem opłakiwałam brata, przytłaczało mnie poczucie winy. Sądziłam, że spowodowałam jego śmierć, doprowadzając do niego Kane'a, jednak nic nie mogło być dalsze od prawdy. Tym razem nie będę miała takiego szczęścia.

Fakty pozostają niezmiennie, cokolwiek bym zrobiła.

Drzwi do łazienki otwierają się.

— Potrzebujesz czegoś? — pyta Kane, wsuwając głowę do środka.

Skoro tylko dostrzeżę mnie na podłodze, na jego twarzy odbija się ból. Rusza ku mnie, nawet nie zwracając sobie głowy zdjęciem ubrań. Wchodzi do kabiny, przykuca i obejmuje mnie ramionami.

— Tak cholernie mi przykro. — Podnosi mnie i sadza sobie na kolanach, zapominając o opatrzonej ranie, i zaczyna kołysać, tuląc mocno, podczas gdy woda przemacza nas oboje.

— Przepraszam.

— Za co?

Przyciskam twarz do jego szyi.

— Nie byłbyś częścią tego bałaganu, gdyby mój brat cię w to nie wciągnął.

— Ciii... To nie twoja wina. Nic z tego nie jest twoją winą. A poza tym...

— Co?

— Powinniśmy dziękować twojemu bratu, bo bez niego nie byłoby nas tutaj.

Nie pomyślałabym w ten sposób, ale właściwie Kane ma rację.

Rafe wszystko zaplanował jak jakiś mistrz zbrodni.

Wyrzucam to z myśli i skupiam się na mężczyźnie, który teraz mnie obejmuje.

Gdy poprzednim razem sądziłam, że mój brat umarł, wydawało mi się, że jestem całkiem sama na świecie. Tym razem jednak zostawił mi prezent.

— Będiesz mnie tak tulił jeszcze trochę?

— Jak długo zechcesz, księżniczko. Nigdzie się nie wybieram.

Następnego poranka budzę się w objęciach Kane'a. Odwracam się na drugi bok i nagle w żołądku wybucha mi rewolucja.

Cholera.

Wyskakuję z łóżka i pędzę do łazienki. Ledwie zdążam.

Kane biegnie za mną.

— Co się stało? Wszystko w porządku?

Zerkam przez ramię i widzę, że trzyma broń w dłoni. Wyganiem go ruchem ręki i znowu zaczynają targać mną torsje. W chwilę później czuję na czole wilgotną, chłodną szmatkę.

Gdy mój żołądek wreszcie się uspokaja, sięgam po ściereczkę i ocieram nią usta. Kane pomaga mi wstać. Odwracam się i spoglądam w jego zatroskaną twarz. Szukam słów, których jeszcze nie byłam gotowa wypowiedzieć.

— Sądzę... Jest możliwość... Być może... Chyba...

— Jesteś w ciąży?

Rozdział 55

Kane

Wczorajsza wizja Temperance w ciąży, którą miałem w drodze na akcję, wraca teraz ze zdwojoną siłą, niemal zwalając mnie z nóg.

— Jesteś w ciąży? — powtarzam, na wypadek gdyby nie usłyszała za pierwszym razem. Jednak kiedy na nią patrzę, widzę, że słyszała mnie dobrze.

— Sama nie wiem. Nie zrobiłam... Muszę zrobić test.

— I nawet nie wspomniałaś mi o takiej możliwości?

— Nie chciałam cię wystraszyć, gdyby to jednak nie była prawda.

Podchodzę bliżej i przyciągam ją do siebie.

— Co miałyby mnie w tym wystraszyć?

— Nigdy nie rozmawialiśmy o dzieciach ani o tym, czy je chcesz, czy miałbyś na nie miejsce w swoim życiu.

Przechylam jej głowę do góry, żeby spojrzeć w brązowe oczy.

— Jeśli chcesz mieć dzieci, to i ja chcę mieć je z tobą. Jeśli chodzi o miejsce na nie w moim życiu, to skończyłem z poprzednim. Powiedziałem Mountowi, że to moja ostatnia robota. Jedyne, co mnie przeraża, to że *stanęłaś na linii ognia, wiedząc, że możesz być w ciąży* — staram się mówić jak najspokojniej.

— Nie byłam pewna. Ja po prostu... wcale nie chciałam tego robić. Ale potem usłyszałam, jak Magnolia krzyczy...

Już wiem, co Temperance zaraz powie.

— Usłyszałaś imię swojego brata.

Kiwa głową i oczy znowu wypełniają jej się łzami.

— Nadal nie rozumiem, jak on mógł...

— Ciii... Nie myśl o tym, jeszcze się źle przez to poczujesz.

Przygryza dolną wargę i odzyskuje panowanie nad sobą.

— Musimy pojechać do apteki.

Rozdział 56

Temperance

Nie wiedziałam, że dwie minuty mogą się aż tak dłużyć. *Nigdy* bym nie przypuszczała.

— Trzydzieści sekund — mówi Kane, ściskając mi dłoń.

Jego słowa w dużej mierze uśmierzyły moje obawy na temat ewentualnej ciąży, zwłaszcza gdy powiedział, że już skończył z tamtym życiem.

Spoglądam w lodowatoniebieskie oczy, które tak bardzo pokochałam.

— Niezależnie od wszystkiego nadal będziemy ty i ja przeciwko światu, jasne?

Kane uśmiecha się.

— Niezależnie od wszystkiego. Kocham cię, Temperance.

— Nie bardziej niż ja ciebie.

Przyciąga mnie do siebie i podchodzimy do blatu, na którym leży test.

Jasny gwint.

Jest pozytywny.



Epilog

Kane

Osiemnaście miesięcy później

Gdy przejeżdżamy przez miasto, od razu zauważam, że nazwisko Gilesa zostało usunięte ze wszystkich budynków, na których kiedyś widniało. Mount zadbał, by znaleziono ciało Gilesa wśród dowodów jego zaangażowania w handel żywym towarem, co — jak przypuszczam — mogło skłonić ratusz do zapomnienia o tej rodzinie.

Nadal trudno mi uwierzyć, że tu jesteśmy.

— Jesteś pewna, że właśnie tu chcesz mieszkać? Moglibyśmy żyć gdziekolwiek.

Żona — moja piękna, niesamowita żona — spogląda na mnie z siedzenia pasażera.

— Już kupiłam dom. Za późno na zmianę zdania. — Temperance zerka we wstecznym lusterku na tylne siedzenie, gdzie śpią bliźniaczki. — Będzie im się tu podobało.

Zatrzymuję się przed znakiem stopu i też zerkam przez ramię na dziewczynki. Jak za każdym razem, uśmiecham się na ten widok. *To nasze dzieło.*

To pieprzony cud.

Ożeniłem się z ich mamą przed ich narodzinami, a jako że byliśmy wtedy na wyspie na środku południowego Pacyfiku, mogłem im nadać swoje nazwisko.

Kiedy wróciliśmy, okazało się, że przyjaciółka Temperance, Ariel, usunęła z sieci większość wzmianek o mojej śmierci. Nie ma jednak sposobu, żeby podobnie wyczyścić ludziom pamięć. Nadal dla reszty świata jestem Kenem Saxem, inwestorem jednosesyjnym, ponieważ nigdy nie będzie możliwe, żebym żył jako Kane Savage. To jednak mi nie przeszkadza, bo mam teraz życie, o którym, wybierając pseudonim, nie śmiałem nawet marzyć.

Nie wiem, jakim cudem dałem się namówić Temperance, żebyśmy kupili dom z olbrzymią działką zaledwie jedno miasteczko od miejsca, w którym dorastałem. *To znaczy wiem... Była wtedy naga.* Ale żarty na bok — nie ma niczego, czego nie zrobiłbym dla moich dziewczyn.

— Skręć tutaj. To mniej więcej półtora kilometra stąd, po prawej.

Jeszcze nie widziałem domu, który wybrała, ale nie ma znaczenia, jak wygląda, skoro będę tam ze swoją rodziną.

Minęło osiemnaście miesięcy od mojego przejścia na emeryturę, co oznacza, że mogłem patrzeć, jak Temperance rozwija karierę, która wystartowała z impetem rakiety pędzącej na Księżyc. Emocje związane ze zdradą brata były jej siłą napędową, a sztuka pozwalała się z nimi uporać. We wszystkich rzeźbach, które stworzyła, zakłęty jest smutek — jednak w każdej kolejnej jest go trochę mniej.

Czas oczekiwania na oryginalną rzeźbę Temperance Ransom wynosi ponad rok. Razem stworzyliśmy zupełnie nowe życie dla siebie i dziewczynek — i to naprawdę wspaniałe uczucie. Cholernie cudowne.

Temperance wskazuje na skrzynkę pocztową. Skręcam na długi brukowany podjazd i prowadzę, aż na końcu ukazuje się duży żółty dom wyglądający, jakby ktoś zanurzył go w słońcu.

Spoglądam na żonę, a ona się uśmiecha.

Pasuje.

Wyprowadziła mnie na światło. Koniec z życiem w podziemiu.

Pochyliłam się i kradnę pocałunek.

— Piękny.

Jej uśmiech staje się jeszcze szerszy.

— Wiedziałałam, że ci się spodoba. Jesteś gotowy, żeby zobaczyć go w środku?

— Przegrupujmy się i sprawdźmy.

Temperance

Sześć miesięcy później

— Bardzo ci dziękuję, Nan. Naprawdę jestem ci wdzięczna.

Nasza sąsiadka, Nan Prather, ściska mnie.

— Wiesz, że za nic nie zrezygnowałabym z szansy zajęcia się dziewczynkami.

Przysięgam, poczułam się, jakby dały mi nowe życie. Zawsze pragnęłam mieć wnuki.

Żałuję, że nie mogę powiedzieć mamie Kane'a, że wybrałam ten dom właśnie po to, żeby odzyskała swoją rodzinę.

Syna.

Wnuczki.

Synową, na której uściskanie kiedykolwiek zapewne nie liczyła.

Jak jednak mogłabym wytłumaczyć, że jej syn musiał upozorować własną śmierć ponad piętnaście lat temu i nie mógł jej nigdy powiedzieć, że żyje?

Gdy Kane uświadomił sobie, kim są nasi sąsiedzi — że to jego mama i człowiek, któremu jego ojciec kazał się nimi opiekować — myślałam, że będzie na mnie zły. Ale tak się nie stało.

Zamilkł na długo, pogładził miękkie jak puch włosy Adrianny i wpatrywał się w Lauren. Wreszcie, po jakichś pięciu minutach, odezwał się:

— Dobrze postąpiłaś, księżniczko. Ona kocha te dziewczynki. Gdybym sam wiedział, jak mogę jej podarować coś takiego, zrobiłbym to. Wiedziałaś o tym i znalazłaś sposób.

Podszedł do mnie i położył mi dłoń na karku, a potem pocałował w czoło.

— Zawsze dajesz mi dokładnie to, czego potrzebuję.

Gdy spoglądałam w niebieskie oczy Nan, widzę w niej Kane'a. Ona i Jeremiaś są zachwyceni, że mogli stać się honorowymi dziadkami dla dziewczynek, jednak oddałabym wszystko, żeby Nan dowiedziała się, że to coś więcej niż tytuł honorowy.

Może pewnego dnia?

Kane

— Dziękuję pani. — Biorę zostawioną przez Temperance torbę z pieluchami z rąk mamy. *To znaczy rąk Nan.* Zawsze poprawiam się w myślach, ale jakoś nie mogę się przestawić. — Jesteśmy naprawdę wdzięczni, że zajmujecie się dziewczynkami. To wiele dla nas znaczy.

— Dla mnie też.

Uśmiecha się i radość pojawiająca się na jej twarzy za każdym razem, kiedy zajmuje się moimi dziećmi, koi duszę jak nic innego nie byłoby w stanie.

Naprawdę czuję się błogosławiony, mogąc żyć w taki sposób, chociaż wcale nie zasłużyłem.

To wszystko dzięki Temperance.

— Jeszcze raz dziękuję — mówię, odwracając się do drzwi.

— To naprawdę nie problem, Kane.

Zamieram w pół kroku.

— Myślałeś, że nie poznam własnego dziecka? Już pół roku czekam, aż się przyznasz, ale

uznałam, że to dostatecznie długo.

Powoli odwracam się i na jej twarzy nadal widnieje radość. I rozpoznanie.

— Jak matka mogłaby nie poznać własnego dziecka? Nieważne, czy minęło piętnaście lat, czy pięćdziesiąt, zawsze poznałabym swojego syna.

W gardle rośnie mi gula.

— Od jak dawna wiesz?

— Od pierwszego razu, kiedy przekląłeś i przeprosiłeś tak samo, jak robiłeś to kiedyś. A poza tym dziewczynki mają identyczne oczy jak ty w ich wieku. Matka po prostu wie takie rzeczy.

— Tak mi przykro, mamó. Przepraszam — podchodzę i biorę ją w objęcia.

— Nie musisz mnie za nic przeproszać, ani teraz, ani nigdy. Dałeś mi wszystko, zmieniając bieg mojego życia. Dzięki tobie mam mężczyznę, którego kocham i który kocha mnie ze wszystkich sił. A teraz dałeś mi dwie piękne wnuczki i córkę, które mogę rozpieszczać. Mam *wszystko*, ponieważ ty kiedyś zrezygnowałeś dla mnie ze wszystkiego.

Pochylam głowę. Po twarzy płyną mi łzy i mieszają się ze łzami na policzkach mamy.

— Kocham cię, mamó.

— Wiem, Kane. Zawsze wiedziałam.

Gdy wychodzę z domu i Temperance dostrzega moją twarz, biegnie do mnie.

— Coś się stało?

Obejmuję ją i mocno ściskam.

— Nic.

— Ona wie, prawda?

Kiwam w milczeniu głową, bo gula w gardle nie chce ustąpić.

Gdy puszczam żonę, padam na kolana i dziewczynki biegną do mnie.

Pochylam głowę i dziękuję temu, kto dał drugą szansę tak złamanemu człowiekowi, jak ja.

Może i nie zasługuję na to życie, ale przynajmniej nigdy nie uznam, że jest czymś oczywistym.

Znowu udało mi się pozbierać.

Koniec

=

Podziękowania

Rany, to było coś naprawdę wyjątkowego. Wydaje mi się, że mówię to za każdym razem, i chyba faktycznie ostatnio tak jest. Można by pomyśleć, że po napisaniu dwudziestu książek z okładem to staje się łatwiejsze, ale to nieprawda. Jak zawsze, ta książka nie spłynęła po prostu magicznie z moich palców w takim kształcie, w jakim można ją teraz przeczytać — potrzebna była mała armia pomocników, żeby przelać tę opowieść z mojej głowy w taką formę, w jakiej Czytelniczki mogły się z nią zapoznać. Olbrzymie podziękowania należą się całemu mojemu zespołowi w składzie:

Jacob Wilson — Twoje nazwisko nie tylko pojawiło się na oryginalnej okładce. Twój wpływ widoczny jest na wielu z tych stron. Jesteś moją miłością, moim najlepszym przyjacielem i moją skałą. Dziękuję, że ruszyłeś ze mną w tę podróż i że każdego dnia uczysz mnie, czym jest romans. Kocham Cię.

Pam Berehulke — dziękuję za Twoje cierpliwość, oko do szczegółów i profesjonalizm. Jesteś integralną częścią mojego zespołu i nie wyobrażam sobie, że mogłabym to robić bez

Ciebie (i błagam, nie porzucaj nigdy redaktorskiego fachu, bo nie wiem, co bym bez Ciebie zrobiła).

Jamie Lynn — dziękuję, że zajmujesz się szczegółami, gdy ja pograżam się w marzeniach i rozmyślaniach o swoich fikcyjnych postaciach. Cieszę się, że jesteś częścią #SuperZespołu.

Kim i Natasha — dziękuję, że wierzyłyście w tę opowieść, nawet gdy ja miałam wątpliwości, i za Wasze szczerze uwagi. Pomogłyście mi sprawić, żeby załśniła!

Julie Deaton — Twoje orle oczy są niesamowite! Dziękuję za cudowną korektę!

Weston Carls — te zdjęcia na oryginalną okładkę są boskie! Dziękuję Ci tak bardzo! Mam nadzieję, że w przyszłości będziemy jeszcze współpracować!

Letitia Hassar — dziękuję za Twoje cierpliwość i fantastyczne umiejętności projektowe!

Moje Czytelniczki — dziękuję Wam, że mi zaufałyście i dałyście szansę opowieści, na temat której prawie nic Wam nie zdradziłam. Mam nadzieję, że lektura sprawiła Wam taką samą przyjemność, jak mnie powołanie Temperance i Kane'a do życia. Nie mogę się już doczekać, aż opowiem Wam, co będzie następane!

Wspaniałe Blogerki — dziękuję Wam za to, co robicie z taką pasją i bez wytchnienia. Naprawdę widzę i doceniam Waszą pracę. Jestem Wam bardzo wdzięczna. Milionkrotne dzięki.

O autorce

Meghan March, autorka bestsellerów „New York Timesa”, „Wall Street Journal” i „USA Today”, nigdy nie pożałowała decyzji o porzuceniu kariery prawniczej na rzecz pisania romansów. Opublikowała ponad trzydzieści powieści, które sprzedały się w milionach egzemplarzy i zostały przetłumaczone na kilkanaście języków, dzięki czemu mogą się nimi cieszyć miłośniczki romansów na całym świecie. Meghan ma duszę nomadki, a obecnie wiezie szczęśliwe życie w lasach północno-zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych wraz ze swoim prawdziwym samcem alfa.

Uwielbia kontakt z czytelniczkami.

Możesz go nawiązać za pośrednictwem strony:

www.meghanmarch.com



PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion ✓

Spis treści

Rozdział 1 Temperance Rozdział 2 Temperance Rozdział 2 Temperance Rozdział 3 Temperance
Rozdział 4 Temperance Rozdział 5 Temperance Rozdział 6 Temperance Rozdział 7 Temperance
Rozdział 8 Temperance Rozdział 9 Kane Rozdział 10 Kane Rozdział 11 Kane Rozdział 12 Kane
Rozdział 13 Kane Rozdział 14 Kane Rozdział 15 Kane Rozdział 16 Temperance Rozdział 17
Temperance Rozdział 18 Kane Rozdział 19 Temperance Rozdział 20 Kane Rozdział 21
Temperance Rozdział 22 Kane Rozdział 23 Temperance Rozdział 24 Kane Rozdział 25
Temperance Rozdział 26 Kane Rozdział 27 Temperance Rozdział 28 Temperance Rozdział 29
Kane Rozdział 30 Temperance Rozdział 31 Kane Rozdział 32 Temperance Rozdział 33 Kane
Rozdział 34 Temperance Rozdział 35 Kane Rozdział 36 Temperance Rozdział 37 Kane Rozdział
38 Temperance Rozdział 39 Kane Rozdział 40 Temperance Rozdział 41 Temperance Rozdział 42
Temperance Rozdział 43 Kane Rozdział 44 Temperance Rozdział 45 Kane Rozdział 46
Temperance Rozdział 47 Kane Rozdział 48 Temperance Rozdział 49 Kane Rozdział 50
Temperance Rozdział 51 Kane Rozdział 52 Temperance Rozdział 53 Temperance Rozdział 54
Temperance Rozdział 55 Kane Rozdział 56 Temperance Epilog Kane

